Kto uratuje klimat ■ Politycy majstrują przy kulturze ■ Cnoty na Adwent: miłość
Czeski Trump ■ Zagadka dwunożności ■ Gry dobre, bo polskie ■ Sezon na oliwę

Kraków 27 listopada – 3 grudnia 2024 nr 48 (3934) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

# TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

# Co nas czeka w tej kampanii

## NAWROCKI, TRZASKOWSKI I INNI: SZANSE, PROGNOZY I MOŻLIWE ZWROTY AKCJI

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

EKSTRA STRONY
OCALONE DZIEDZICTWA

**OSTATNI TYDZIEŃ NIŻSZYCH CEN!**
**PRZEDŁUŻAMY DO 3 GRUDNIA**
**OFERTĘ TAŃSZEJ PRENUMERATY!**

Nie czekaj – już dziś wybierz swoją prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”
i zagwarantuj sobie nieprzerwany dostęp do wartościowych treści!

# ZAPRENUMERUJ PÓKI TANIEJ

| RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ | CENA Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ | CENA Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ |
|---|---|---|
| Kwartał – 12 wydań | 160 zł | 200 zł |
| Rok – 52 wydania | 550 zł | 680 zł |
| Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA | 480 zł | |
| 4 Wydania Specjalne (kwartalniki) | 100 zł | |
| Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne | 640 zł | 770 zł |
| Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA* | 570 zł | |

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

## JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta prenumeraty Tygodnika:
**TygodnikPowszechny.pl/sklep**

## Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

# Boniecki: *Dowód na istnienie*

Jakże łatwo o pomyłkę, kiedy się mówi o miłości. Nie dlatego, że sprawa sama w sobie jest skomplikowana, ale dlatego, że samo słowo ma wiele znaczeń. Miłość i pociąg fizyczny nie są od siebie daleko, łatwo się jedno bierze za drugie. Ludzie zafascynowani sobą wiążą się i po jakimś czasie fascynacja znika. Czasem są sobą znudzeni lub po prostu rozczarowani, bo życie bywa nudne, trudne, albo po prostu całkiem inne, niż myśleli, że będzie. Ale mnie tu, w Adwencie, o inną miłość chodzi.

Miłość w życiu codziennym tropią Katarzyna Kubisiowska i Małgorzata Lebda w pierwszej rozmowie z adwentowego cyklu o cnotach Boskich – bo w intuicji Kościoła miłość jest cnotą. Ale ja chcę się chwilę zastanowić nad przykazaniem miłości. Obejmuje ono wszystkich bliźnich. Sformułowanie „a bliźniego swego, jak siebie samego" wydaje się nie do zrealizowania. A jednak bywa miłość większa niż miłość do samego siebie. Wystarczy pomyśleć o rodzicach, którzy gotowi są oddać swoje organy choremu dziecku, ryzykując zdrowie i nawet życie. Ale to przykazanie – uważamy, że jest to przykazanie największe – mówi o bliźnim w ogóle. Tu też mamy żywe dowody na to, że nie jest to czysta teoria. Ludzie potrafią zaryzykować swoje życie, by ratować nawet kogoś całkiem obcego. Nie twierdzę, że jest to doświadczenie codzienne, lecz jednak mieści się w zasobach ludzkich możliwości.

A jeśli taka moja gotowość okaże się potrzebna wobec kogoś, kogo nie znoszę, wobec kogoś, kto wyrządził mi krzywdę? Są ludzie, którzy tak nas zranili, że nie jesteśmy w stanie myśleć o nich bez tych wspomnień. Zaobserwowałem jednak, że z upływem czasu, nieraz długiego, wydobyte z zakamarków pamięci wspomnienia krzywd tracą na ostrości. Pamiętamy fakty, lecz ich znaczenie wygląda już zupełnie inaczej. Nierozdrapywana rana się goi. Pamiętam świństwo, lecz wspomnienie o nim zupełnie nie boli. Wiem z doświadczenia, że wtedy spotkanie z człowiekiem, na którego trudno mi było kiedyś nawet patrzeć, jest zupełnie pozbawione odrazy. Ale to wcale jeszcze nie znaczy, że jesteśmy lepsi, że jest w nas większy ładunek miłości bliźniego. Znaczy to raczej, że po czasie odnaleźliśmy właściwe proporcje. Rzecz, która przesłaniała inne sprawy, odzyskała właściwą skalę, ból i wściekłość odeszły. I dlatego czas jest w tym wszystkim ważny.

Miłość w rozumieniu chrześcijańskim to co innego niż przyjaźń, nawet – zaryzykujmy to stwierdzenie – co innego niż ogólna życzliwość do ludzi. Miłość to początek takiego widzenia drugich, jak ich widzi Pan Bóg (dla ludzi niewierzących to może brzmieć jak fikcja, ale i oni przecież czerpią z uniwersalnych wartości). Dla świętych to sposób istnienia. Bez złudzeń, ale też i bez uprzedzeń. Jest w tym widzeniu pewność, że w każdym jest obecna zdolność do miłości. Dlatego Bóg nikogo nie przekreśla.

Miłość do człowieka, dziecka, męża, żony, partnerki, partnera, jest śladem tego, o czym mowa w przykazaniu miłości. Miłość, o której mowa w naszym przykazaniu, jest wyciągnięciem konsekwencji z faktu, że człowiek jest do miłości zdolny. Jest też zakreśleniem drogi, którą idzie miłość zagrożona przez ludzki egoizm. „Swego nie szuka" – tak mówi o jej szlaku św. Paweł w Hymnie o miłości. Wydaje się, że w tych trzech słowach jest jej sekret. O to, że miłość, o jakiej mówi Ewangelia, istnieje wśród ludzi, jestem gotów walczyć do ostatniej kropli krwi. Bo dla mnie jest ona najmocniejszym dowodem na istnienie Boga. ©℗

**Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"**

TP JUŻ 18 GRUDNIA WYDANIE ŚWIĄTECZNE „TYGODNIKA", A W NIM M.IN.:

- medytacja bożonarodzeniowa **Piotra Sikory**
- opowieść wigilijna **Katarzyny Groniec**
- świąteczny esej **Ryszarda Koziołka**
- rozprawa o szczęściu **Łukasza Lamży**
- rozmowy m.in. z **Tiną Beattie**, **Reni Jusis** i **Maxem Cegielskim**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Politycy skupili naszą uwagę. Miniony weekend upłynął pod znakiem ogłaszania przez dwie największe partie swoich **KANDYDATÓW NA PREZYDENTA**. Z perspektywy redakcji oznacza to sporo konkretnych problemów, np. trzeba przygotować kilka wariantów okładki, a tu do końca nie wiadomo, czy PiS w ogóle ogłosi swojego... Ale to technikalia. O prawdziwych konsekwencjach weekendowych decyzji pisze **PIOTR ŚMIŁOWICZ**, a **JAROSŁAW FLIS** w rozmowie z **MARKIEM KĘSKRAWCEM** kreśli polityczną mapę Polski na najbliższe miesiące.

Politycy skupili naszą uwagę i musieli być z siebie zadowoleni: nie ma to jak sprawić, żeby o partii mówili wszyscy, narzucać narracje, konsolidować elektorat. Co ciekawe, politycy całą tę inżynierię komentują głośno i właściwie bez skrępowania, jakby istotą rzeczy było bardziej widowisko niż jego treść. W swoim felietonie **WOJCIECH BONOWICZ** wzdycha: „chciałbym, żeby jak najmniej energii zużywano na organizowanie widowisk, a jak najwięcej na... rozwiązywanie konkretnych problemów" – i tu sam się gryzie w język, bo „rozwiązywanie **KONKRETNYCH PROBLEMÓW**" to przecież jeden z najbardziej niekonkretnych frazesów, jakie zwykle padają w kampaniach.

Politycy skupili naszą uwagę, przykrywając **FINAŁ SZCZYTU KLIMATYCZNEGO COP29** w Baku, który okazał się farsą. Gdy dodać do tego fakt, że **DONALD TRUMP** nie wierzy w globalne ocieplenie, Europa zachowuje się sprzecznie, **DONALD TUSK** mówi o renegocjacji zasad handlu emisjami $CO_2$, bo szkodzą gospodarce, i nawet świeżo upieczony kandydat **KAROL NAWROCKI** zdążył wezwać do odrzucenia Zielonego Ładu („Ochrona środowiska – tak. Szaleństwo klimatyczne kosztem polskich domów, przedsiębiorców i pracowników – nie!"). Czy globalna polityka klimatyczna właśnie robi gwałtowny w tył zwrot? – **AGATA KAŹMIERSKA** i **WOJCIECH BRZEZIŃSKI** piszą w tym wydaniu o tym, jak w sporze o pieniądze na walkę z globalnym ociepleniem ginie perspektywa kosztów jej zaniechania.

A to właśnie taki „konkretny problem". Wszyscy powtarzają, że ta **KAMPANIA BĘDZIE O BEZPIECZEŃSTWIE**. Polityka klimatyczna też dotyczy bezpieczeństwa – nie narracji dającej poczucie bezpieczeństwa elektoratom, lecz bezpieczeństwa konkretnych ludzi – o czym świadczy, nieco już też chyba „przykryta", powódź na Dolnym Śląsku. ©℗

**MICHAŁ KUŹMIŃSKI**
REDAKTOR PROWADZĄCY

**Zastępca redaktora naczelnego, dziennikarz nominowany do Grand Press, twórca podkastu „TP", współautor powieści kryminalnych i wywiadu-rzeki „Ścigając zło", autor popularnonaukowej książki „Nauka w kuchni".**

**BOSKIE CNOTY NA ADWENT**

**32 Równanie emocji**
ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ LEBDĄ
*Dla mnie miłość do siebie oznacza, że nie muszę być perfekcjonistką, zadowalać każdej osoby. Słucham swojej intuicji.*

**53 Dusza Putina, błędy Zachodu**
ROZMOWA Z SYLVIE KAUFFMANN
*Pomysł, aby USA dogadały się z Rosją w sprawie Ukrainy bez udziału Europejczyków, byłby czymś dramatycznym. Liczę na zryw Europy w sferze obronności. Polska odgrywa tutaj coraz większą rolę.*

**72 Odmiana przez przypadki**
MICHAŁ WALKIEWICZ
*Jan P. Matuszyński to jeden z najlepszych polskich reżyserów filmowych. Docenia kino gatunków, ufa scenarzystom i wierzy, że przypadek może być zawodowym doradcą. Jego „Minghun" wchodzi właśnie na ekrany kin.*

GRAŻYNA MAKARA // RAFAŁ SIDERSKI // ARCHIWUM PRYWATNE // ŁUKASZ BĄK / MATERIAŁY PRASOWE

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

**6 Finał przygrywki**
PIOTR ŚMIŁOWICZ:
*Rusza kampania prezydencka*

**8 Kandydat obywatela Jarosława**
ROZMOWA Z JAROSŁAWEM FLISEM, SOCJOLOGIEM

**10-11 Komentarze**

**12-13 Informacje**

■ ■ CZYTANIA

**20-21** MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

**22 Bez kultury**
PIOTR ŚMIŁOWICZ:
*Prawie roczny dorobek resortu kultury to zaskakująca lista wpadek. Jaka przyszłość czeka kierownictwo ministerstwa?*

**26 Uwolnić wolne**
MATEUSZ PEROWICZ: *Zamiast kłócić się o kolejny wolny dzień, zawalczmy o prawo wyboru swoich świąt*

**28 Bidul i bruk**
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
*18-latkowie z ukraińskich placówek opiekuńczych ewakuowanych do Polski lądują na ulicy*

■ ■ WIARA

**32 Równanie emocji**
ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ LEBDĄ

**37 Z czym przyszli biskupi**
ANNA GOC:
*Czy spotkanie osób skrzywdzonych wykorzystaniem seksualnym z biskupami faktycznie było historyczne?*

**39 Radość Koheleta**
PAWEŁ RAKOWSKI:
*Ciesz się ulotnym życiem! – taki jest jego główny przekaz*

■ ■ ŚWIAT

**44 Dobrzy ludzie z Teksasu**
JAN RADOMSKI:
*W oczach Europejczyków polityczna mapa Ameryki jest prosta. Z bliska ten obraz się komplikuje*

TEMAT TYGODNIKA

OLIWIA JERZYŃSKA / DZIĘKI UPRZEJMOŚCI AUTORKI

**14 Opłaty klimatyczne**
AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Szczyt COP29 był farsą, przyszły prezydent USA nie wierzy w globalne ocieplenie, Europa kłóci się o pieniądze, a Donald Tusk mówi, że ograniczenia emisji szkodzą gospodarce. Czy dla polityki klimatycznej nadszedł czas rozwiewania złudzeń?

■ STRONY SPECJALNE ■

**59 Ocalone dziedzictwa. Regionalne Izby Pamięci Ziem Zachodnich i Północnych**

**70 Nagroda Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera**

■ FELIETONY ■

**31** TOMASZ STAWISZYŃSKI
**41** WOJCIECH BONOWICZ
**84** OLGA DRENDA **85** PAWEŁ BRAVO
**90** STANISŁAW MANCEWICZ
**90** BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
KAROL NAWROCKI I RAFAŁ TRZASKOWSKI
GRAF. MAREK ZALEJSKI // LESZEK SZYMAŃSKI / PAP // KLETA / BE&W

**48 Uczyńmy Czechy na powrót wielkimi**
MARTYNA WASIUTA:
*Andrej Babiš kreuje się na „czeskiego Trumpa”*

**50 Uśmiech dyktatorów**
TADEUSZ MICHROWSKI:
*Jakie nadzieje i obawy wobec prezydentury Trumpa mają przywódcy krajów afrykańskich?*

**53 Dusza Putina, błędy Zachodu**
ROZMOWA Z SYLVIE KAUFFMANN

■ ■ HISTORIA

**56 Mamo, oddycham ogniem**
MAREK RABIJ:
*40 lat temu miała miejsce katastrofa w indyjskim Bhopalu*

■ ■ NAUKA

**66 Dlaczego chodzimy**
ŁUKASZ KWIATEK:
*Wciąż nie wiemy, co pchnęło naszych małpich przodków na drogę do człowieczeństwa*

■ ■ KULTURA

**72 Odmiana przez przypadki**
MICHAŁ WALKIEWICZ

**76 Dotyk dziewczyny**
DARIUSZ KOSIŃSKI:
*Twórczynie dwóch niedawnych premier wkrótce mogą nadawać ton polskiemu teatrowi*

**79 Geralt łapie oddech**
HUBERT SOSNOWSKI:
*Gry wideo to najmocniejszy sektor polskiej kultury*

**82 Folk horror**
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Veroniki Franz i Severina Fiali „Kąpiel diabła”*

**83 Bar jak świat**
LEKTOR *o książce Ingi Iwasiów „Bambino”*

■ ■ KULTURA

**86 Czas oliwek**
BARTEK KIEŻUN:
*Marzyłem, żeby pojawić się w gaju oliwnym w samym środku sezonu i sprawdzić, jak smakuje oliwa zaraz po ekstrakcji*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

OFERTA NA BLACK FRIDAY...
... „TYGODNIK” ONLINE NA DWA LATA STR. 91

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube/TYGODNIKPOWSZECHNY

PAWEŁ SUPERNAK / PAP

**Premier Donald Tusk i Rafał Trzaskowski podczas Rady Krajowej Platformy Obywatelskiej. Warszawa, 23 listopada 2024 r.**

**Karol Nawrocki na konwencji obywatelskiej PiS. Kraków, 24 listopada 2024 r.**

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

OBRAZ TYGODNIA

# FINAŁ PRZYGRYWKI

Przedstawienie kandydatów na prezydenta przez PiS i PO wprowadza nową jakość do trwającej od 20 lat politycznej wojny między nimi. PiS, stawiając na człowieka spoza polityki, podejmuje ogromne ryzyko.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Sens walki powinien być mierzony wartościami, a nie szansami na zwycięstwo – tego cytatu z Henryka Elzenberga użył w swoim pierwszym wystąpieniu kandydat PiS na prezydenta Karol Nawrocki. Choć słowa te miały uzasadniać bliską mu doktrynę polityki historycznej, w ramach której romantyczne zrywy ceni się wyżej niż pozytywistyczny pragmatyzm, to akurat do wyboru kandydata przez PiS cytat mało pasuje. Bo wybór ten ma cechy ucieczki z pola walki, w której widzi się niewielkie szanse na wygraną.

Wystawienie prezesa IPN w prezydenckim wyścigu może dziwić. Oczywiście jest wiele racjonalnych argumentów, które podają politycy PiS, gdy się z nimi rozmawia o tym wyborze. Mówią, że Nawrocki jako kandydat „obywatelski" ma szanse powalczyć również o elektorat umiarkowanie niechętny ich partii i niezbyt wysoko (ale też nie skrajnie nisko) oceniający osiem lat jej rządów. Że hasło dążenia do „zakończenia wojny polsko-polskiej", z którym wystąpił podczas niedzielnej konwencji prezes Jarosław Kaczyński, uzasadniając wybór Nawrockiego, może trafić u części elektoratu na podatny grunt. Faktycznie: prezes IPN formalnie jest spoza PiS. Głosy żelaznego elektoratu tej partii ma i tak, a w drugiej turze szukanie poparcia u ludzi zmęczonych wojną PO z PiS wydaje się mieć sens.

**Z RACJONALNYMI** argumentami kontrastują wychodzące na jaw okoliczności tego wyboru, czyli „walka buldogów pod dywanem", w ramach której różne frakcje partyjne uzyskiwały przewagę. Każda miała też swojego kandydata: ziobryści i część PiS Przemysława Czarnka, grupa bliższa prezesowi początkowo Tobiasza Bocheńskiego, sam zaś Jarosław Kaczyński stawiał na wiernego druha Mariusza Błaszczaka. Nieprzypadkowo tę trójkę lider PiS wymienił podczas niedzielnej konwencji w Krakowie. Ostatecznie wszystkich zdystansował Nawrocki, którego od dawna forsował mający wciąż wpływ na prezesa Adam Bielan. Szef IPN w końcówce został również poparty przez wpływową frakcję Mateusza Morawieckiego.

Wskazanie na Nawrockiego spowodowało, że żadna z grup nie została do końca dowartościowana, bo jego ewentualny sukces żadnej nie wzmacnia. Nawrocki ma też niewielkie szanse na to, by – w razie minimalnej przegranej – stać się kandydatem do walki o przywództwo w PiS. Co by mogło mieć miejsce, gdyby kandydatem został Czarnek, którego akcje do końca były wysokie. Tyle że do nominacji Czarnka nie chciał dopuścić Morawiecki.

**WYBÓR NAWROCKIEGO,** co część polityków PiS niechętnie przyznaje, to również kapitulacja tej partii. Po pierwsze, wybrała kandydata niosącego ogromne ryzyko. Nie chodzi nawet o potencjalne „trupy w szafie" (już wyciągnięto mu zdjęcie ze sparingpartnerem, który okazał się przedstawicielem gdańskiego półświatka). Przede wszystkim jest to kandydat nieznany szerszej publiczności. Niedzielna konwencja miała go zaprezentować jako człowieka rodzinnego – przedstawiono jego żonę i trójkę dzieci – a zarazem nieco zmiękczyć wizerunek twardego narodowca. Jeśli nawet to się częściowo udało, poważnym problemem jest brak doświadczenia Nawrockiego w politycznych bojach.

Jego niedzielny występ nie był przekonujący. Nie tylko czytał swoje wystąpienie z kartki, ale nawet tego nie potrafił zrobić bez potknięć. Na dziś w rywalizacji na polityczną retorykę zostałby rozniesiony zarówno przez Rafała Trzaskowskiego, jak też przez Szymona Hołownię.

Impreza PiS odbyła się w słynnej hali „Sokoła", czyli w tym samym miejscu, w którym w 2014 r. wskazano na kandydata Andrzeja Dudę. Niektórzy politycy PiS widzą tu analogię: że na Dudę też początkowo nikt nie stawiał, że również miał niskie poparcie i nie był znany. Jednak te sytuacje nie są podobne. Duda w 2014 r. był politykiem jakoś rozpoznawalnym, ministrem w kancelarii prezydenta Kaczyńskiego, potem posłem, rzecznikiem PiS, wreszcie europosłem. Był też kandydatem obozu, który dysponował pełną subwencją na kampanię, a poza tym walczył o prezydenturę, a nie jej bronił. Co jednak najważniejsze: Duda okazał się wyjątkowym talentem kampanijnym, a zdolności retoryczne stały się jednym z jego mocniejszych atutów.

**TYLKO POZORNIE** obecna sytuacja przypomina więc tę z lat 2014-15, potwierdza to również politolog Antoni Dudek: – Jest faworyt i nieznany kandydat. Jednak więcej widzę różnic, dlatego nie podejmuję się prognoz. Poza jedną: jeśli Karol Nawrocki nie wejdzie do drugiej tury, w PiS zacznie się najgłębszy kryzys w dziejach tej formacji.

Gdyby kandydat PiS nie znalazł się w finale walki o prezydenturę, byłaby to sensacja, ale w przypadku takiej osoby jak Nawrocki niczego nie można wykluczyć. Zresztą, wystawiając go PiS pokazuje, że nie bardzo wierzy w sukces w wyborach prezydenckich. Jest to bowiem manewr podobny do tego, jaki partia stosowała w walkach o prezydenturę największych miast, gdy ↦

widziała niewielkie szanse na zwycięstwo. Wtedy stawiała właśnie na kandydata „ponadpartyjnego" (np. Czesława Bieleckiego w wyborach prezydenta Warszawy w 2010 r.). Ewentualna porażka kogoś takiego jest porażką głównie jego, a nie partii, choć oczywiście na nią także spada odium. Zwłaszcza w tak spektakularnej rywalizacji jak wybory prezydenckie.

**RYWALIZACJA** Karola Nawrockiego z Rafałem Trzaskowskim będzie o tyle ciekawa, że stanie się starciem kandydata spoza partii z kandydatem, którego partyjność jest bardzo silna. Będzie to zatem nowa odsłona dwudziestoletniego konfliktu obozu PO z obozem PiS.

Odbywające się w ostatni piątek prawybory prezydenckie w KO Trzaskowski wygrał z Radosławem Sikorskim właśnie dlatego, że był mocno zakorzeniony w partii. Działacze samorządowi pamiętali, że jest jednym z nich, posłowie nie zapomnieli, że wspierał ich w różnych kampaniach. Sikorski tymczasem wciąż jest w PO traktowany trochę jak obce ciało.

Prawybory okazały się też potwierdzeniem pozycji Donalda Tuska. W przeciwieństwie do Jarosława Kaczyńskiego nie obawiał się, że taki tryb wyłaniania kandydata wymknie się spod kontroli. Choć premier unikał jakichkolwiek deklaracji, kogo popiera, politycy PO i innych ugrupowań tworzących Koalicję Obywatelską trafnie odczytali, na kogo stawia. Żądanie, by prawybory odbyły się tak szybko, było wskazaniem na Trzaskowskiego. Czas grał bowiem na korzyść szefa MSZ, który był nowym kandydatem, ale szybko gonił „pewniaka", jakim był prezydent Warszawy praktycznie od 2020 r.

**WYPUSZCZENIE** w kluczowym momencie wewnątrzpartyjnego sondażu z wyraźnym wskazaniem na Trzaskowskiego, mimo że został on przeprowadzony przed ogłoszeniem prawyborów, również zostało odczytane jako poparcie kierownictwa dla Trzaskowskiego. To także wpłynęło na decyzję wielu działaczy wahających się, na kogo oddać swój głos. Tym bardziej że niektórzy nie do końca dowierzali w tajność prawyborów.

Popieranie przez premiera prezydenta stolicy nie powinno dziwić. – Tusk ma świadomość, że Trzaskowski ma za sobą dużo bardziej rozbudowane struktury, więc będzie w stanie prowadzić skuteczniejszą kampanię. Będzie też kandydatem więcej niż jednego tematu, czyli bezpieczeństwa. No i jest sprawdzony w boju, bo w 2020 r. otrzymał ponad 10 milionów głosów – mówi polityk PO.

Inny zwraca uwagę, że Trzaskowski jako prezydent RP będzie mniej nieprzewidywalny. – Rząd z czasem zawsze się politycznie zużywa, natomiast prezydent, jeśli nie popełnia błędów, niekoniecznie. Taka sytuacja powoduje, że w jego otoczeniu zaczyna dominować przekonanie, że należy odciąć się od tracącego popularność rządu, nawet jeśli wywodzi się z tego samego obozu politycznego. W takiej sytuacji z punktu widzenia premiera lepiej mieć w Pałacu Trzaskowskiego niż Sikorskiego, otorbionego przez Romana Giertycha i Michała Kamińskiego.

**WYRAŹNE ZWYCIĘSTWO** Trzaskowskiego w prawyborach pokazało też, że Platformie, w wyniku wewnętrznej rywalizacji, nie grozi rozłam. Frakcja popierająca Sikorskiego okazała się na tyle słaba, że jakiekolwiek dalsze ruchy polityczne z jej udziałem są bardzo mało prawdopodobne.

Czy tak wyraźne zwycięstwo Trzaskowskiego w prawyborach, przy zagadkowości szans Nawrockiego, pozwala postawić tezę, że prezydent Warszawy już dziś jest zdecydowanym faworytem? Tego nie chce potwierdzić nikt, pamiętając o przypadku Bronisława Komorowskiego z roku 2015. W ciągu pół roku, które zostały do wyborów, może się wiele wydarzyć. Włącznie z eskalacją wojny na wschodzie albo wręcz z incydentami na naszej granicy, co może spowodować, że prezydentura „tylnymi drzwiami" trafi do Szymona Hołowni. W przypadku wprowadzenia stanu nadzwyczajnego wyborów się przecież nie przeprowadza, a po zakończeniu kadencji Andrzeja Dudy, czyli po 6 sierpnia 2025 r., obowiązki prezydenta przejmuje w takiej sytuacji marszałek Sejmu. To jednak marginalny scenariusz.

Szansą Karola Nawrockiego jest to, że nie ma nic do stracenia. Jest tak mało znany, że może tylko zyskiwać. Byłemu dyrektorowi Muzeum Westerplatte walka, w której jest się skazanym na porażkę, nie powinna być obca.

©℗ PIOTR ŚMIŁOWICZ

GRAŻYNA MAKARA

**JAROSŁAW FLIS, SOCJOLOG:**

*Nawrocki to człowiek spoza partii, nie pogłębi walk frakcyjnych. Czarnek zwiększałby prawdopodobieństwo rozłamu w PiS*

**MAREK KĘSKRAWIEC: KO wybrała kandydata na prezydenta zdecydowaną większością głosów. Rafał Trzaskowski wedle sondaży wygrywa też wyraźnie z konkurentem z PiS. Sprawę majowych wyborów mamy załatwioną czy Trzaskowski powinien poważnie podejść do walki z Karolem Nawrockim?**

**JAROSŁAW FLIS:** Zwróciłbym uwagę na badania poparcia dla rządu, prowadzone regularnie przez CBOS; od lipca przeciwnicy gabinetu Tuska przeważają nad jego zwolennikami. Obecnie ma on gorsze notowania niż rząd PiS w lipcu 2020 r., kiedy Andrzej Duda minimalnie wygrał po raz drugi. Z drugiej strony, rząd Tuska cieszy się dziś większym poparciem społecznym niż gabinet Morawieckiego przed elekcją w październiku 2023 r.

Majowe wybory prezydenta mogą być w dużym stopniu plebiscytem poparcia dla obecnej władzy. Pamiętając o roku 2015 i porażce ówczesnego faworyta Bronisława Komorowskiego, byłbym ostrożny z prognozami.

**Czy organizacja prawyborów w KO wzmocniła obóz rządowy? Mimo różnych spekulacji, tak naprawdę chyba nie było wątpliwości, kto ostatecznie zostanie kandydatem.**

W porównaniu z poprzednimi prawyborami te były inne, poważniejsze, budzące emocje. To buduje. Radosław Sikorski co prawda przegrał wyraźnie, ale był przygotowany do walki i myślał o zwycięstwie.

Trzaskowski o wiele lepiej pasuje do profilu aparatu Platformy, był więc zdecydowanym faworytem, ale jego zwycięstwo w prawyborach jest istotne również dlatego, że stało się sygnałem, iż nie jest to tylko osobisty wybór Tuska. To zaś w drugiej turze może być ważny argument dla elektoratu lewicy i Trzeciej Drogi, które w sporej części są zdania, iż obecny rząd nie jest ich, ale właśnie Tuska.

**Trzaskowski jest też chyba łatwiejszy do przełknięcia dla samego premiera. Sikorski mógłby z racji swego charakteru być trudniejszy we współpracy jako głowa państwa.**
Prezydent Warszawy zdawał się rzucać wyzwanie Tuskowi po minimalnej porażce z Dudą w 2020 r., ale gdy Tusk wrócił na dobre do polskiej polityki, szybko się wycofał. Przedłużony proces namaszczania go na kandydata wynikał m.in. z tego, że przy wszystkich różnicach Tusk ma jedną cechę podobną do Kaczyńskiego: bardzo nie lubi, kiedy ktoś czuje się przy nim zbyt mocny. Natomiast czy Sikorski byłby bardziej krnąbrny niż Trzaskowski? W sprawach wewnętrznych nie miałby wielu możliwości, a w kwestiach międzynarodowych blokowanie działań koalicji nie byłoby zrozumiałe, na tym mógłby zyskać tylko przy rządzie pochodzącym z innej opcji politycznej. Zresztą, w jakich sprawach miałby stawać okoniem? Musiałby się czepiać drobnych rzeczy.

**Gdzie Trzaskowski może szukać wyborców, by zdobyć ponad 50 proc. głosów, zapewne dopiero w drugiej turze?**
Oprócz lewicy i Trzeciej Drogi, w liberalnej części Konfederacji, dla której sprawy zdejmowania krzyży w urzędach Warszawy czy otwartego wspierania środowisk LGBT+ nie będą miały większego znaczenia.

**Mam sygnały, że Trzaskowski będzie wygaszał swój progresywny przekaz w kampanii.**
Ten temat nie zniknie, nawet jeśli on sam rzeczywiście o nim zamilknie. Będzie go w kampanii mocno grzał PiS, bo to ich szansa, a jego słabość. Inna sprawa, że PiS może przegrzać atmosferę, jak z Tuskiem i „für Deutschland". Zbyt mocne nagłaśnianie progresywnych kwestii może też przekonać do Trzaskowskiego wyborców Partii Razem, dziś niechętnych koalicji. Pytanie, ilu ich naprawdę jest.

**Nominację PiS dostał Karol Nawrocki, który ma być jednak kandydatem obywatelskim, z poparciem partii. Gdzie ma szanse łowić brakujące procenty?**

JAN GRACZYŃSKI / EAST NEWS

**Jarosław Kaczyński na konwencji obywatelskiej PiS „Polska – Przyszłość", podczas której ogłoszono swojego kandydata na urząd Prezydenta RP. Kraków, 24 listopada 2024 r.**

To trudne zadanie, bo jeśli będzie atakował Trzaskowskiego za zbytni liberalizm i wypominał rządowi pogorszenie sytuacji Polaków, drożyznę oraz niszczenie programów społecznych PiS, to mimowolnie będzie przekonywał liberalny elektorat Sławomira Mentzena, by w drugiej turze poparł właśnie Trzaskowskiego. Tyle że chyba Nawrocki nie ma innego wyjścia, samym patriotyzmem i religijnością nie wygra.

**Może się okazać niespodzianką jak Duda?**
Będzie miał o wiele trudniej. Ma być kandydatem obywatelskim, ale wszystkie wydarzenia kampanijne będą organizowane przez aparat PiS, ewentualnie Kluby „Gazety Polskiej". W tym kontekście to jest raczej kandydat obywatela Jarosława Kaczyńskiego. Poza tym Duda był nową twarzą PiS-u jako partii, która miała się zmieniać, adorowała centrum. Widzieliśmy, jak to ostatecznie wyszło. Dzisiaj mamy kandydata, dzięki któremu ludzie wiedzą, że PiS chciałby udawać, że się zmienia. W to, że się naprawdę zmienia, niewielu wierzy. Politycy PiS nawet się nie próbują w tej kwestii zająknąć.

**Dlaczego w takim razie nie wybrano Przemysława Czarnka? Jeśli prognozy się sprawdzą i PiS przegra, Nawrocki może się okazać „pustym przelotem", Czarnek zaś to emanacja elektoratu tej partii, mógłby go mobilizować, wzmacniając całą formację. Czy Kaczyński przestraszył się, że mu Czarnek u boku za bardzo urośnie?**
Nawrocki to człowiek spoza partii, jest więc mało prawdopodobne, że nagle okaże się doskonałym rozgrywającym i przejmie PiS. To bardziej kandydat, który gwarantuje, że nie pogłębi walk frakcyjnych. Czarnek zwiększałby prawdopodobieństwo rozłamu, zwłaszcza gdyby nieznacznie przegrał, bo wtedy urósłby mocno w środowisku. Jego silna pozycja i ewentualna walka o władzę w PiS uruchomiłyby ruchy odśrodkowe, bo silny Czarnek to ogromne zagrożenie zwłaszcza dla frakcji Morawieckiego.

**Ale Czarnek i tak się wzmocni. Ma być szefem kampanii Nawrockiego.**
Ciekawe, jak będzie wyglądała naprawdę współpraca tej polskiej wersji tandemu Trump-Vance. Trochę pewnie tak, jakby to Vance startował na prezydenta, a Trump na wice, czyli dziwnie. Wyobraźmy sobie spotkanie wyborcze z elektoratem. Będzie jak koncert, na którym support, czyli Czarnek, wzbudza dużo większe emocje niż gwiazda wieczoru – Nawrocki.

**A o co walczy w tych wyborach Szymon Hołownia?**
Nie wiem, jakie są jego oczekiwania, poza marzeniem, że może kiedyś się uda. Być może walczy o uzyskanie dobrego wyniku i takiej przewagi nad kandydatką lewicy, by móc twierdzić, że zabranie mu w połowie kadencji fotela marszałka Sejmu na rzecz Włodzimierza Czarzastego jest bez sensu. Poparcie dla Trzaskowskiego przed drugą turą może być kartą przetargową w walce o utrzymanie tej funkcji, będącej jego największym politycznym sukcesem. ©℗

# List gończy za Netanjahu

**MAREK MATUSIAK**

Pół roku temu prokurator Międzynarodowego Trybunału Karnego (MTK) Karim Khan wystąpił do tej instytucji o wydanie międzynarodowych nakazów aresztowania dla trzech liderów Hamasu i dwóch przywódców izraelskich – premiera Netanjahu i ówczesnego ministra obrony Galanta – w związku z ich rolą w wydarzeniach w Izraelu i Palestynie, które trwają od 7 października 2023 r. W kolejnych miesiącach izraelska armia postarała się, by liderzy Hamasu decyzji MTK nie dożyli (dwaj na pewno, jeden prawdopodobnie). Doczekali jej za to politycy izraelscy: 21 listopada MTK przychylił się w ich sprawie do wniosku prokuratora. Uznał, że są „uzasadnione powody", by sądzić, iż Netanjahu i Galant są winni zbrodni wojennych i zbrodni przeciw ludzkości.

W pierwszej kolejności – zbrodni „głodzenia ludności cywilnej". Według Trybunału są podstawy, aby sądzić, że Netanjahu i Galant celowo pozbawili ludność Gazy żywności, wody, leków i innych środków niezbędnych do przeżycia. Trybunał uznał za prawdopodobne, że „stworzyło to warunki obliczone na zniszczenie części ludności cywilnej w Gazie, co poskutkowało śmiercią cywilów, w tym dzieci z powodu niedożywienia i odwodnienia". Sędziowie uznali też za prawdopodobną winę Netanjahu i Galanta zbrodni intencjonalnego atakowania cywilów. Obaj dołączyli do grona, w którym są już m.in. Putin i były prezydent Sudanu.

Władze Izraela odrzuciły decyzję MTK ze względu na (ich zdaniem) brak jurysdykcji Trybunału i uznały ją za antysemicką; poparcia premierowi w tej sprawie udzieliła cała izraelska klasa polityczna. Tym samym MTK dołączył do rosnącego grona podmiotów, które w oczach Izraela są antysemickie. W grupie tej są już cała ONZ, w tym jej sekretarz generalny, a także niemal wszystkie duże organizacje humanitarne i praw człowieka. Izrael odrzuca zatem *de facto* już niemal wszystkie instytucje liberalnego porządku międzynarodowego (prócz finansowych i gospodarczych).

Decyzję MTK odrzuciły Stany Zjednoczone (i urzędująca administracja, i nadchodząca). Współpracownicy Trumpa chcą wręcz objąć sędziów MTK sankcjami. Można natomiast sądzić, że dla Unii Europejskiej decyzja MTK będzie stanowić poważny problem: państwa członkowskie staną między deklarowanymi wartościami i zobowiązaniami prawnymi a ceną polityczną, która w przypadku zastosowania się do nakazu mogłaby być bardzo wysoka. ©

**Beniamin Netanjahu wśród dowódców wojskowych. Strefa Gazy, 19 listopada 2024 r.**

GPO / AFP / EAST NEWS

# Komu korzyść

**MAREK RABIJ**

Rząd konsekwentnie dąży do spełnienia danej w kampanii wyborczej obietnicy zmiany w sposobie naliczania składki zdrowotnej dla samozatrudnionych. Mniejsza o to, że prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą – nawet po podwyżkach, które zaordynował rząd PiS – płacą na ten cel, proporcjonalnie do dochodów, mniej od zatrudnionych na etacie. Od 1989 r. dogmatem państwa polskiego pozostaje założenie, że polska gospodarka stoi mikroprzedsiębiorczością i każdy rząd musi trzymać parasol ochronny nad jej kruchym rynkowym jestestwem, bo inaczej diabli wezmą nam całe PKB.

Wszystko wskazuje na to, że już od nowego roku większość samozatrudnionych zapłaci na ten cel jeszcze mniej. Na zlecenie serwisu ekonomicznego money.pl Federacja Przedsiębiorców Polskich przygotowała interesującą analizę wpływu zaproponowanych zmian na portfele osób prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą. Wynika z niej, że samozatrudnieni o miesięcznych przychodach na poziomie 5 tys. zł zaoszczędzą dzięki zmianom 104,99 zł miesięcznie – jeśli rozliczają się z fiskusem za pomocą skali podatkowej lub podatku liniowego. W przypadku ryczałtowców oszczędności przy takich przychodach wzrosną już średnio do ok. 450 zł miesięcznie. Przy przychodach na poziomie 10 tys. miesięcznie państwo zostawi samozatrudnionym ponad 420 zł miesięcznie (skala podatkowa i ryczałt) oraz 104 zł – przy podatku liniowym.

Analiza pokazuje jednak niezbicie, że największymi beneficjentami proponowanych zmian będą osoby inkasujące na JDG od 15 tys. zł wzwyż.

*Od przychodów w wysokości 60 tys. zł miesięcznie, opodatkowanych według skali podatkowej, państwo polskie od stycznia pobierze co miesiąc aż 2697,66 zł mniej niż dotychczas.*

Takich przypadków jest oczywiście niewiele, większość najlepiej zarabiających ucieka bowiem ze skali na ryczałt lub podatek liniowy – i tu oszczędności nie będą już tak spektakularne (odpowiednio 253 i 310 zł miesięcznie). Wyliczenia FPP dobitnie pokazują jednak, że obniżenie składki zdrowotnej jednej grupie społecznej nie przyniesie rezultatów, na które powołują się jej zwolennicy. Zyskają na tym najwięcej nie drobni przedsiębiorcy, sklepikarze czy rzemieślnicy, lecz doskonale wynagradzani specjaliści, którzy często są *de facto* etatowymi pracownikami dużych firm. ©℗

## NA PUNKTY

**PROKURATOR**
Prokurator generalny złożył do marszałka Sejmu wniosek o zatrzymanie i przymusowe doprowadzenie posła Zbigniewa Ziobry na posiedzenie sejmowej komisji śledczej ds. Pegasusa. Zmagający się z chorobą nowotworową polityk wcześniej cztery razy nie stawił się na wezwania tego organu i nie przedstawił usprawiedliwienia; zdaniem biegłego stan zdrowia byłego ministra pozwala mu na złożenie zeznań.

**RZECZNIK**
Chętnych na doprowadzanie jest więcej: podczas konferencji prasowej rzeczniczka prokuratora generalnego wdała się w polemikę z reporterem prawicowej TV Republika. „Ja widzę, że pan tu z taką dużą torbą. Czyżby pan już był przygotowany?" – zapytała.

**SĘDZIA**
Z pozbawianiem wolności lepiej jednak uważać: warszawski sąd uznał, że lipcowe zatrzymanie posła Marcina Romanowskiego było nielegalne. Romanowski, który usłyszał 11 zarzutów w śledztwie dotyczącym nieprawidłowości w Funduszu Sprawiedliwości, będzie się domagał odszkodowania od państwa. ©℗

# Młodość na ołtarze

**ARTUR SPORNIAK**

Podczas środowej audiencji ogólnej Franciszek zapowiedział, że w przyszłym roku – w ramach obchodów Roku Jubileuszowego – kanonizuje Carla Acutisa (na zdjęciu) i Piera Giorgia Frassatiego. Kanonizacja pierwszego odbędzie się w ramach Dni Młodzieży Szkolnej w niedzielę 27 kwietnia, a drugiego z okazji Dni Młodzieży 3 sierpnia.

To, że zmarły w 2006 r. piętnastoletni Acutis będzie wyniesiony na ołtarze, wiadomo od ogłoszenia w maju tego roku dekretu o cudzie za jego wstawiennictwem. Stwierdzenie drugiego cudu (pierwszy potrzebny był do beatyfikacji) wymagane jest przez prawo kanoniczne. Dekret o drugim cudzie za przyczyną Piera Giorgia Frassatiego Franciszek ogłosił w poniedziałek. Tak więc nie ma już formalnych przeszkód, by ogłosić obu świętymi.

Dlaczego papieżowi zależy na obu kanonizacjach w Roku Jubileuszowym? Obaj przyszli święci charakteryzowali się głęboką pobożnością, a jednocześnie realizacją zainteresowań charakterystycznych dla młodego wieku. Acutis codziennie uczestniczył w mszy i cotygodniowej spowiedzi. Kult Eucharystii i świętych szerzył na tworzonych przez siebie stronach internetowych. Ktoś powiedział, że „wyjaśnił swoim rówieśnikom, milenialsom, jak miłość do Jezusa może współistnieć z pasją do internetu".

Pier Giorgio – syn agnostyka Alfreda Frassatiego, twórcy potęgi włoskiej gazety „La Stampa" – uwielbiał góry. Uprawiał alpinizm, nie stronił od przyjaciół, a środki i czas poświęcał ubogim. Był członkiem religijnych organizacji, m.in. włoskiej Akcji Katolickiej. Odznaczał się głębokim kultem Eucharystii. Zmarł w 1925 r. w wieku 24 lat, zarażony wirusem polio przez jednego z ubogich, którymi się opiekował.

Pytanie, czy promocja tradycyjnej pobożności to skuteczny pomysł na obecny kryzys wiary wśród młodych. ©℗

MAURIZIO MAULE / ABACA / PAP

# Angielski po polsku

**PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI**

Ta scena miała miejsce lata temu w jednym z pubów krakowskiego Kazimierza. Do baru podchodzi dwoje starszych Niemców, on przybliża się do barmana i mówi bardzo wyraźnie: „Zwei Żubrówka", wznosząc dwa palce do góry. Młody barman robi teatralną pauzę, a następnie wypala: „English, please!".

Że angielski jest nad Wisłą czymś ważnym, wiemy od ponad trzech dekad. Że z jego znajomością jest u nas coraz lepiej, dowiadujemy się od stosunkowo niedawna. Potwierdza to kolejny rok z rzędu ogłoszona właśnie najnowsza edycja „Indeksu znajomości języka angielskiego" (English Proficiency Index), badania prowadzonego tym razem w 116 krajach za pomocą wystandaryzowanego testu wypełnianego przez ponad dwa miliony dorosłych obywateli całego świata. Polska znalazła się w tym rankingu na 15. miejscu, po raz kolejny wpadając do kategorii „wysoka biegłość" (*high proficiency*), i po raz kolejny wyprzedzając nie tylko wszystkie kraje byłego bloku wschodniego, ale też wiele państw starej Unii (ustępujemy liderującym Holendrom, a także m.in. Norwegom, Szwedom i Portugalczykom).

Owszem, na metodologię badania można by długo narzekać, ale taki jest koszt standaryzacji testu: wypełniają go ci, którzy z jakiegoś powodu są zainteresowani nauką angielskiego, w dodatku sprawdzana jest głównie znajomość bierna, premiująca być może kraje, w których – a tak mówi się o Polsce – częściej uczy się skomplikowanej gramatyki niż tego, jak wytłumaczyć obcokrajowcowi drogę na dworzec. Z rankingu nie dowiemy się więc np. tego, co wiemy z naszego własnego podwórka: że znajomość języków obcych to – jak pokazuje choćby egzamin ósmoklasisty – obszar dużych edukacyjnych nierówności na linii miasto–wieś.

Ale w zalewie – często słusznego – edukacyjnego malkontenctwa dajmy sobie też prawo do odtrąbienia sukcesu: Polacy po ledwie trzech i pół dekadach powszechnej nauki już nie tylko, jak ów krakowski barman, bardzo chcą mówić po angielsku, ale też często potrafią to robić. ©℗

JUSTYNA ROJEK / TVN / EAST NEWS

**PAWEŁ MOCZYDŁOWSKI, EKSPERT W DZIEDZINIE WIĘZIENNICTWA:**

*Nie powinno się na stałe przyjmować zasady, że więzień zawsze musi odbyć karę od początku do końca*

**JACEK TARAN: Ministerstwo Sprawiedliwości chce zmniejszyć liczbę więźniów o 20 tysięcy. To dobrze?**
**PAWEŁ MOCZYDŁOWSKI:** Polskie więzienia są drastycznie przeludnione i powinniśmy dążyć do zmiany tego stanu. Natomiast źle się dzieje, że podejmuje się próby regulowania tego za pomocą decyzji administracyjno-politycznych. Takie działania rodzą zrozumiały sprzeciw i stają się paliwem politycznych sporów. To powinno się odbywać w sposób naturalny.

**Naturalny, czyli jaki?**
Maleje liczba ludności, co sprzyja zmniejszeniu przestępczości, a co za tym idzie, powinna topnieć liczebność populacji więziennej. Tak się jednak nie dzieje, gdyż poprzednia władza, z pobudek populistycznych i dla osiągnięcia efektu politycznego, administracyjnie blokowała możliwość warunkowego opuszczenia więzienia. Doprowadziło to do przeludnienia, które hamuje resocjalizację, przyczynia się do wzrostu agresji, frustracji i sprawia, że więźniowie, którzy wychodzą na wolność, stają się gorsi, niż byli wcześniej. Szybko zostają wchłonięci przez zorganizowaną przestępczość, dla której stają się tanią siłą roboczą.

**Co wymaga poprawy?**
Nie powinno się na stałe przyjmować zasady, że więzień zawsze musi odbyć karę od początku do końca. Służba penitencjarna powinna być tak zorganizowana, żeby więźniom zależało na uzyskaniu statusu pozwalającego na warunkowe zwolnienie, a jeśli ten status uzyskają, to powinien on być bezwzględnie respektowany. Inaczej będzie to rodzić nieufność do systemu, uniemożliwiać dalszą resocjalizację. Włącza się wtedy myślenie: „Po co mam się starać, skoro i tak nic z tego nie mam?”. W Danii zakłada się, że co najmniej 90 proc. więźniów powinno uzyskać przedterminowe zwolnienie, a jeśli tak się nie dzieje, to uznaje się, że system nie działa tak, jak powinien. Problemem jest też nadmierna represyjność, co też wynika z nacisków politycznych i społecznych. Więźniowie muszą mieć zapewnioną odpowiednią przestrzeń życiową. Dziś w polskich więzieniach jest to 3 metry kwadratowe na osobę, natomiast Europejski Komitet do Spraw Zapobiegania Torturom oraz Nieludzkiemu lub Poniżającemu Traktowaniu albo Karaniu zaleca, by było to co najmniej 4,5 metra. Oprócz zapewnienia możliwości edukacji i pracy, nie można im zabraniać dostępu do kultury czy organizacji czasu prywatnego. Możliwość relaksu dobrze wpływa na stan emocjonalny, pozwala rozładować napięcie, które łatwo może przerodzić się w agresję. To, że zabierzemy więźniowi PlayStation, nie sprawi, że wyjdzie on z więzienia lepszy, wprost przeciwnie. Powinniśmy też dążyć do minimalizacji użycia kary odosobnienia, nie zawsze jest to konieczne.

**Zatem jeśli nie więzienia, to co?**
Uważam, że ci, którzy mają wyroki do dwóch lat, w ogóle nie powinni trafiać do więzień. Należy rozwijać systemy kar alternatywnych, które umożliwiają kontrolę nad życiem i miejscem pobytu skazywanych. Dzisiejsze technologie GPS pozwalają to bardzo precyzyjnie kontrolować. Mamy słabo rozwinięty system dozoru elektronicznego i tutaj Ministerstwo Sprawiedliwości powinno podjąć działania zmierzające do zwiększenia jego skuteczności i powszechności. ©℗

**PROF. PAWEŁ MOCZYDŁOWSKI** *jest socjologiem, kryminologiem, pułkownikiem Służby Więziennej. W latach 1990-1994 kierował Centralnym Zarządem Zakładów Karnych w Ministerstwie Sprawiedliwości.*

# Małe kroki w stronę naprawy sądów

**SPRAWIEDLIWOŚĆ** ▪ „Sprawne sądy” to nazwa programu zaprezentowanego w zeszłym tygodniu przez ministra sprawiedliwości Adama Bodnara. Ma opierać się na 10 filarach wdrażanych w latach 2025-2026, które mają przyspieszyć i usprawnić pracę sądów. Wśród propozycji znalazły się m.in. przyspieszenie digitalizacji, wzmocnienie sądów od strony kadrowej i zarządczej oraz zmiany legislacyjne dotyczące spraw frankowych i mediacji.

Bodnar podkreślał podczas konferencji prasowej, że to propozycje „nietypowe o tyle, że nie dotyczą one kwestii, które są przedmiotem bieżącego sporu polityczno-ustrojowego, ale odnoszą się bardzo konkretnie do zwiększenia sprawności sądów”.

Potrzebę cyfrowej transformacji sądów dostrzegają wszyscy; wśród filarów „Sprawnych sądów” tego zagadnienia dotyczą dwa. Przyspieszyć ma digitalizacja akt postępowania, usprawnione mają zostać sądowe rejestry, a także rozwijany ma być Portal Informacyjny służący do komunikacji na linii sąd–pełnomocnicy. Zmiany w tym obszarze są bardzo potrzebne i palące. O skali wyzwania świadczy elementarność wyznaczonych priorytetów, m.in. przygotowanie procesu skanowania papierowych akt i możliwość wnoszenia pism w sprawach karnych i cywilnych drogą elektroniczną.

Pozytywnie trzeba ocenić dostrzeżenie potrzeby administracyjnego wsparcia sądów. W nadchodzącym budżecie zaplanowano środki, aby na dwóch sędziów przypadał jeden asystent. Zwiększenie liczby etatów ma wspomóc pracę sędziów. Obecnie warunki pracy w administracji sądowej są złe i zupełnie niekonkurencyjne. Ten fakt dostrzega sam resort, planując dopuścić do konkursów również studentów IV i V roku prawa – co budzi kontrowersje. Potrzeby są jednak zdecydowanie większe. Podobnego wsparcia kadrowego potrzebują sądowe sekretariaty. Dziś samo dodzwonienie się do wielu wydziałów graniczy z cudem.

Dobrze, że Ministerstwo Sprawiedliwości dostrzega wagę małych kroków w budowaniu sprawnego i godnego zaufania wymiaru sprawiedliwości. Tylko połączenie ich z milowymi krokami na rzecz praworządności ma szansę sprawić, by postępowania w sądach nie ciągnęły się latami, a obywatele mieli przekonanie, że idąc do sądu, otrzymają nie tylko wyrok, ale również sprawiedliwość. Trzymając kciuki za wdrożenie proponowanych zmian, trudno jednak oprzeć się refleksji, czy podobnych priorytetów nie dało się nakreślić rok temu, gdy powstawał rząd. © PIOTR SOŁOWIJ

EDUARDO VERDUGO / AP / EAST NEWS

**Msza św. w parafii zamieszkanej przez ludność Tsotsil w Chajtoj, diecezja San Cristóbal de las Casas, Meksyk, luty 2016 r.**

# Rytm czy ryt – co w Watykanie mają dla Majów

**WIARA** ▪ „Nie ma rytu Majów ani mszy Majów" – wyjaśnia episkopat Meksyku w reakcji na medialną burzę, jaką wywołał komunikat Dykasterii ds. Kultu Bożego o zatwierdzeniu nowej liturgii eucharystycznej dla ludów Tsotsil, Chol, Tojolabal i Zoque. W komentarzach, niepozbawionych tonu rasistowskiego, konserwatywni publicyści z Meksyku i USA oskarżali Watykan o wprowadzanie do mszy pogańskich obrzędów.

W komunikacie z 22 listopada meksykańscy biskupi tłumaczą, że akceptacja Watykanu dotyczy kilku „drobnych modyfikacji", które nie wpływają na istotę i strukturę mszy. To, po pierwsze, uznanie liturgicznej roli „Starszego" – mężczyzny lub kobiety, którzy prowadzą modlitwę w wyznaczonych momentach liturgii, co jednak – jak piszą biskupi – nie jest równoznaczne z jej przewodniczeniem w zastępstwie kapłana.

Po drugie – świecki mężczyzna lub kobieta mogą okadzać ołtarz i ewangeliarz (dotąd robił to kapłan lub diakon). Osoba wybrana przez wspólnotę do tej funkcji musi być zatwierdzona przez biskupa, co oznacza wprowadzenie nowej „posługi" liturgicznej. Do okadzeń można używać ludowych kadzielnic i kadzideł.

I wreszcie – modlitwie dziękczynnej po komunii prowadzonej przez „Starszego" może towarzyszyć ruch, ale – jak zastrzegają natychmiast biskupi – nie chodzi o „tradycyjne, rytualne tańce", tylko o „rytmiczne kołysanie się".

Wszystkie te elementy są już od lat obecne w liturgii odprawianej w językach Azteków i Majów. Teraz zostały jedynie oficjalnie zaaprobowane, co jest rzadkością, jak stwierdził kard. Felipe Arizmendi, przewodniczący komisji Doktryny Wiary Konferencji Episkopatu Meksyku. W opublikowanym 13 listopada artykule pisał, że dopiero drugi raz od ostatniego soboru miejscowe zwyczaje zostały uznane za element liturgii mszalnej – pierwszym było zatwierdzenie przez Jana Pawła II w 1988 r. tzw. rytu zairskiego.

To właśnie jego wypowiedź tak bardzo oburzyła przywiązanych do tradycji katolików, którzy w różnorodności liturgicznej widzą zagrożenie dla jedności, wbrew stanowisku papieża i synodu, opowiadających się za decentralizacją Kościoła – prawną, liturgiczną, a nawet – do pewnego stopnia – doktrynalną.

W kolejce po watykańską aprobatę czekają już liturgie uwzględniające zwyczaje rdzennych mieszkańców Amazonii i Australii (w maju 2024 r. przekazano do Watykanu schemat „Mszy Ziemi Ducha Świętego", zwanej potocznie Mszą Aborygenów). Nic nie stoi na przeszkodzie, by o akceptację rodzimych elementów mszy wystąpiły też episkopaty innych, na przykład zachodnich krajów. Zgodnie z nauczaniem ostatniego synodu, że Eucharystia jest wyrazem „jedności, ale nie jednakowości" Kościoła.

©℗ **EDWARD AUGUSTYN**

# Malaria: komary rozniosą szczepionkę?

**ZDROWIE** ▪ Każdego dnia na świecie z powodu malarii umiera przeszło tysiąc dzieci przed 5. rokiem życia. Chorobą rocznie zaraża się 250 mln osób, a liczba ofiar sięga 600 tys. – dzieci do lat 5 są najbardziej narażone.

Za wywołanie objawów u ludzi odpowiada zakażenie protistem z rodzaju zarodźców, który cykl rozwojowy rozpoczyna u komarów. Gdy owady te przeniosą komórki zarodźca do ludzkiego krwiobiegu, patogen trafia do komórek wątroby, gdzie dojrzewa i zaczyna się mnożyć. Potem atakuje czerwone krwinki. Nawet ci pacjenci, u których zastosowano skuteczne leczenie, mogą zmagać się z poważnymi powikłaniami.

Od kilku lat dostępne są też szczepionki, których skuteczność sięga 75 proc. w ciągu roku od podania (potem wymagają szczepień przypominających). Zawierają fragment białka zarodźca, mobilizującego układ odpornościowy do produkcji przeciwciał, powstrzymujących patogen przed zadomowieniem się w wątrobie.

Testuje się też inne pomysły zapobiegania chorobie, a większość opiera się na prześladowaniach komarów – niszczeniu ich siedlisk, zakażaniu ich niebezpiecznymi dla nich patogenami czy ograniczaniu im możliwości reprodukcji. W najnowszym wydaniu czasopisma „NEJM" opisano jeszcze jeden pomysł na walkę z malarią z udziałem komarów – tym razem dla nich niegroźny.

W eksperymencie wzięło udział przeszło 40 osób i 50 komarów – od tych pierwszych uzyskano świadomą zgodę. Komary zainfekowano zmodyfikowanymi wersjami zarodźca, które przestawały się rozwijać w organizmie człowieka po kilku dniach. Uczestnicy eksperymentu byli więc najpierw wystawiani na ataki komarów z niegroźnym zarodźcem, a po kilku tygodniach – na komary przenoszące aktywną formę patogenu. Jeden ze zmodyfikowanych wariantów patogenu okazał się zapobiegać z 89-proc. skutecznością rozwojowi choroby po kontakcie z aktywnym zarodźcem. Efekt uboczny szczepienia – ślady po ugryzieniu komarów.

KIM TAYLOR / B&EW

Oczywiście, do zastosowania tej procedury na masową skalę droga bardzo daleka, ale badanie udowodniło, że ta strategia walki z malarią ma potencjał.

©℗ **ŁUKASZ KWIATEK**

MICHAŁ DYAKOWSKI / DZIĘKI UPRZEJMOŚCI AUTORA

JULIA KLOMFAS / DZIĘKI UPRZEJMOOŚCI AUTORKI

TEMAT TYGODNIKA

# OPŁATY KLIMATYCZNE

Szczyt COP29 był farsą, przyszły prezydent USA nie wierzy w globalne ocieplenie, Europa kłóci się o pieniądze, a Donald Tusk mówi, że ograniczenia emisji szkodzą gospodarce. Czy czas rozwiać złudzenia co do globalnej polityki klimatycznej?

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Sukces szczytu klimatycznego COP29 jako pierwsze odtrąbiły w mediach społecznościowych boty powiązane z azerskim rządem, wszelkie zasługi przypisując „silnej woli" prezydenta Ilhama Alijewa, który „odegrał decydującą rolę w osiągnięciu porozumienia". Sęk w tym, że wtedy salę obrad opuszczali negocjatorzy z państw najbardziej narażonych na skutki zmiany klimatu, uznając, że przedstawiony im do akceptacji dokument końcowy jest jak „splunięcie w twarz".

Porozumienie udało się osiągnąć dopiero kilkanaście godzin później i do jego opisania najczęściej używano słów „rozczarowanie" i „zdrada". „Przyjechaliśmy tu w dobrej wierze, mając na uwadze bezpieczeństwo naszych społeczności i dobro świata. Na tej konferencji zobaczyliśmy najgorsze przykłady politycznego oportunizmu, który igra z życiem najbardziej narażonych ludzi na świecie" – oświadczyła po zakończeniu obrad w niedzielę Tina Stege, wysłanniczka Wysp Marshalla.

Wyłaniająca się właśnie strategia ochrony klimatu przypomina naszą krajową politykę dotyczącą bałtyckiego dorsza. Eksperci przez lata ostrzegali: gatunek wymiera, trzeba ograniczyć połowy. Mimo to politycy w imię doraźnych korzyści grzmieli, że będą bronić interesu polskich rybaków i połowów nie zakażą. W efekcie rybacy i tak zostali z niczym, bo populacja dorsza skurczyła się do tego stopnia, że zakaz połowów ostatecznie wprowadzono, i to na większą skalę.

KATARZYNA CIBOR / DZIĘKI UPRZEJMOŚCI AUTORKI

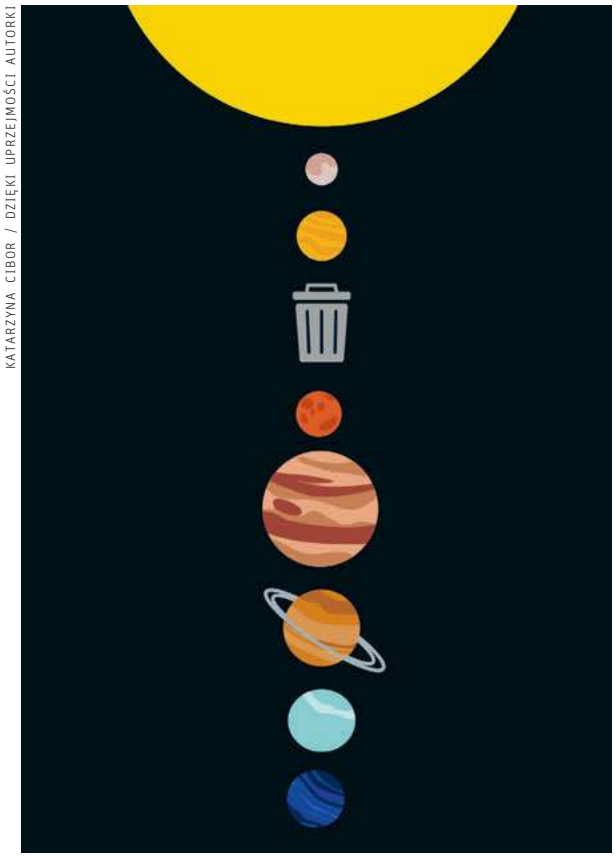

*EkoPlakat – to tegoroczna wystawa plakatów o tematyce ekologicznej autorstwa wykładowców i studentów kierunku Komunikacja wizualna na Wydziale Sztuk Projektowych Politechniki Bydgoskiej. Wybraliśmy z niej jedynie kilka, mocno reprezentatywnych dla współczesnego skrótowego języka komunikacji wizualnej.*

A gatunek w naszym regionie Bałtyku i tak zapewne wyginie.

### To żart?

Opary absurdu zawisły nad COP29 już podczas ceremonii otwarcia, gdy jego gospodarz, prezydent Alijew ogłosił, że paliwa kopalne to „dar od Boga". Widmo porażki obecne było jednak wcześniej. Nie tylko dlatego, że celem negocjacji miało być dowiedzenie się, kto i ile zapłaci za adaptację do zmiany klimatu w najbiedniejszych regionach świata – w tej kwestii nikt nigdy się nie wyrywa. Do tego ci, którzy zwykle wykładają pieniądze, byli nawet znacznie bardziej powściągliwi niż zwykle – w USA niebawem prezydenturę obejmie Donald Trump, który globalne ocieplenie uważa za „ściemę". A w Europie w zasadzie wszelkie ekoprojekty są w centrum politycznych awantur, głównie z powodu ich rzekomo za wysokich kosztów.

Atmosferę w Baku chyba najlepiej oddają słowa premiera Albanii Ediego Ramy (jednego z niewielu przywódców, którzy tam pojechali). Gdy wyszedł na mównicę, odłożył zawczasu przygotowane przemówienie i zapytał pozostałych uczestników obrad: „Co, do diabła, robimy na tych wszystkich spotkaniach, jeśli na horyzoncie nie widać zbiorowej woli politycznej, by wyjść poza słowa i zjednoczyć się w celu podjęcia znaczących działań?".

Sprawą funduszy trzeba się było jednak zająć. 15 lat temu kraje zamożne obiecały wypłacać co roku 100 mld dolarów państwom rozwijającym się. Choć wypłaty rozpoczęły się w 2000 r., obietnicę udało się w pełni zrealizować tylko raz, dwa lata temu. Tymczasem zobowiązanie z 2009 r. właśnie wygasa i w Baku miało być wynegocjowane nowe. Do Azerbejdżanu delegacje państw rozwijających się przyjechały więc z konkretami. Z ich wyliczeń i z analiz najróżniejszych ośrodków naukowych wynikało, że na stole – jeśli cele mają być osiągnięte – powinno się znaleźć co najmniej 1,3 bln dolarów rocznie. Gdy pod koniec drugiego tygodnia obrad nieoficjalnie podano, że najbogatsi zrzucą się co najwyżej na 200 mld dolarów, wysłannik Boliwii, usłyszawszy tę kwotę od dziennikarzy, wypalił: „To żart?".

I to była jedna z delikatniejszych wypowiedzi, jakie można było usłyszeć w kuluarach.

Rzecz nie tylko w tym, że po uwzględnieniu inflacji pieniędzy w zasadzie byłoby niewiele więcej, niż uzgodniono 15 lat temu w Kopenhadze, podczas gdy mnożą się wyzwania związane z coraz szybciej ocieplającym się klimatem. „Przede wszystkim chodzi o to, że jeśli nie będzie dość funduszy na mitygację [działania ograniczające emisje gazów cieplarnianych – red.], wszystko inne się zawali" – przekonywał Eamon Ryan, irlandzki minister środowiska.

W niedzielnym komunikacie po zakończeniu szczytu azerska prezydencja trąbiła o 1,3 bln dolarów, które mają trafić do krajów rozwijających się, ale zaledwie 300 mld z tej kwoty to granty i niskooprocentowane pożyczki od krajów rozwiniętych. Resztę mają stanowić m.in. prywatne inwestycje czy normalnie oprocentowane bankowe kredyty, których źródeł w zasadzie nie wskazano. Do tego pieniądze nie będą przekazywane od razu – w dokument końcowy wpisano, że to cel do 2035 r.

„Kraje rozwijające się zmuszono do przyjęcia umowy, która nie tylko nie daje im nowych funduszy, ale może zwiększyć ich zadłużenie" – mówił dziennikowi „The Guardian" Claudio Angelo z brazylijskiej organizacji Observatório do Clima.

### Pekin przoduje, Riad blokuje

Problemem było nie tylko ustalenie kwoty, ale też to, kto ma wyłożyć pieniądze. Pierwsza międzynarodowa konwencja dotycząca klimatu, zawarta podczas Szczytu dla Ziemi w Rio w 1992 r., podzieliła państwa na trzy grupy: kraje rozwinięte, państwa będące w okresie transformacji gospodarczej oraz kraje rozwijające się, w tym najuboższe. Najbogatsi, których emisje historycznie były wówczas najwyższe, mieli pomagać tym z ostatniej grupy. Tyle że wówczas np. Chiny (dziś emitujące więcej gazów cieplarnianych niż Europa i USA razem wzięte) czy kraje Zatoki Perskiej (rekordziści emisji w przeliczeniu na mieszkańca) zakwalifikowano do państw „rozwijających się", więc formalnie nie mają obowiązku cięcia emisji i należy im się pomoc. „To oczywiste, że te kategorie są przestarzałe, ale renegocjacje tamtych zapisów byłyby dziś otwieraniem puszki Pandory" – mówiła w BBC Susana Muhamad, minister środowiska Kolumbii.

Rząd w Pekinie odpowiada, że choć nie zamierza włączać się do międzynarodowej „zrzutki", to i tak pomaga – od 2016 r. ↦

przekazał na walkę ze zmianami klimatycznymi w krajach rozwijających się 24,5 mld dolarów i inwestuje tam co najmniej 3 mld rocznie w odnawialne źródła energii. Jednocześnie tempo transformacji w samych Chinach jest imponujące. W 2023 r. w czystą energię zainwestowano 273 mld dolarów (na drugim miejscu była UE, która wydała połowę tej kwoty).

– Do myślenia powinno też dawać, że w zeszłym roku zainstalowano w Chinach więcej paneli słonecznych niż USA w całej ich historii – mówi „Tygodnikowi" dr Neil Grant z berlińskiego instytutu Climate Analytics.

Jednocześnie Pekin w sprawie dekarbonizacji przyjmuje wyjątkowo skromne cele, ale zwykle dochodzi do nich przed wyznaczonym terminem. Tak było m.in. z zapowiedzią budowy 1200 GW odnawialnych źródeł energii do 2030 r. Plan wykonano w tym roku. Zgodnie z zapowiedziami szczyt emisji gazów cieplarnianych kraj ten miał osiągnąć około 2030 r. Z niezależnych analiz wynika, że mogło się tak stać już w 2024 r. (od początku tego roku chińskie emisje spadły o 1 proc.).

Strategia Zatoki Perskiej jest całkiem inna. Np. Arabia Saudyjska podczas praktycznie każdego międzynarodowego szczytu zabiega, by nie wpisywać w ustalenia końcowe „odchodzenia od paliw kopalnych". Podczas COP29 wysłannicy Riadu spowalniali lub blokowali obrady, stosując proceduralne wybiegi, i wprowadzali poprawki nieakceptowalne dla innych uczestników szczytu. Ostatniego dnia obrad wybuchł skandal, bo wyszło na jaw, że przedstawiciel saudyjskiego ministerstwa ds. energii Basel Alsubaity bez wiedzy innych uczestników zmodyfikował dwa zapisy umowy końcowej. Dostęp do pliku zapewne otrzymał od kogoś z gospodarzy szczytu.

### Plan Trumpa

Czy zbliżająca się prezydentura Donalda Trumpa przyczyniła się do fiaska COP29?

– Nikt, kogo martwi stan klimatu, nie powinien mówić, że objęcie przez władzy przez Trumpa to dobra wiadomość – mówi dr Neil Grant, przypominając, że przyszły gospodarz Białego Domu podczas kampanii wyborczej wielokrotnie obiecywał, że „wypatroszy politykę klimatyczną".

Trump zapowiedział już wycofanie USA z Porozumienia Paryskiego podpisanego w 2015 r. (państwa zobowiązały się w nim do próby ograniczenia globalnego ocieplenia do 2 st. C, a najlepiej 1,5 st. C w stosunku do ery przedprzemysłowej). Jeśli nowy amerykański prezydent rzeczywiście to zrobi, przegranymi będą kraje najbiedniejsze – odbije się to w funduszach na pomoc dla nich. Waszyngton może też próbować wycofać się z konwencji zawartej w Rio w 1992 r. „To jest jednak politycznie znacznie trudniejsze, a prawnicy specjalizujący się w kwestiach ochrony klimatu twierdzą, że mogłoby nawet okazać się niemożliwe lub skutkować sporem sądowym" – komentował dla tureckiej agencji Anadolu prof. Richard Klein ze Stockholm Environment Institute.

– Byłyby to działania przede wszystkim autodestrukcyjne, bo podważyłyby wiarygodność Waszyngtonu na arenie międzynarodowej. Co więcej, reszta państw zapewne nie pójdzie śladem Ameryki. Nie spodziewam się efektu domina – mówi „Tygodnikowi" dr Katherine Browne, badaczka Stockholm Environment Institute, która uczestniczyła w szczycie w Baku.

„Patroszenie polityki klimatycznej" na scenie krajowej może być równie wątłe. Trump może wprawdzie przekazać tereny federalne pod wydobycie ropy i gazu, zgodnie z jego wyborczym sloganem „Drill, baby, drill" (dzięki czemu, jak zapowiadał, koszty energii „w ciągu roku spadną o połowę"). Może też m.in. wycofać wprowadzone przez administrację Bidena normy środowiskowe dla elektrowni, które nazywał „regulacyjnym dżihadem". Wreszcie, teoretycznie, może próbować wycofać wprowadzoną przez poprzednią administrację ustawę o redukcji inflacji – największy w historii USA pakiet klimatyczny służący cięciu emisji. To potężna kombinacja zachęt podatkowych, dotacji i gwarancji kredytowych dla firm i indywidualnych konsumentów.

– Chociaż przyszły prezydent już zapowiedział, że spróbuje ograniczyć te przepisy, będzie to trudniejsze niż sądzi, choćby dlatego, że około 80 proc. korzyści z tej ustawy czerpią stany, które głosują na Republikanów – mówi „Tygodnikowi" prof. Patrick Kinney z wydziału zdrowia publicznego Uniwersytetu w Bostonie.

Na drodze do wycofania się z ustawy mogą stanąć także najbliżsi sojusznicy prezydenta, którzy już teraz są jej beneficjentami. To m.in. zięć Trumpa Jared Kushner, który wyłożył 200 mln dolarów na firmę inwestującą w energię słoneczną, czy Elon Musk, którego Tesla korzysta z ogromnych ulg podatkowych.

– To się po prostu amerykańskiej gospodarce opłaca, a próba odwrócenia tego kursu byłaby jak próba zawrócenia lotniskowca. Oczywiście, da się to zrobić, ale zajmie to bardzo dużo czasu – dodaje dr Browne.

### Europa rozwadnia

W tyle, zarówno za Chinami, jak i Stanami, jest Unia Europejska. Choć gdy przedstawiano założenia Zielonego Ładu, którego celem jest doprowadzenie wspólnoty do neutralności węglowej do 2050 r.,

## WYSOKA EMISJA

**EMISJE $CO_2$ (ZA 2023 R.)**

▪ Świat ▪

**37,79 MLD TON**

▪ Chiny ▪

**11,9 MLD TON**

**(31,5 PROC. GLOBALNYCH EMISJI)**

▪ USA ▪

**4,91 MLD TON**

**(13 PROC.)**

▪ Unia Europejska ▪

**2,51 MLD TON**

**(6,4 PROC.)**

▪ Arabia Saudyjska ▪

**0,73 MLD TON**

**(1,95 PROC.)**

▪ Polska ▪

**0,29 MLD TON**

**(0,8 PROC.)**

wydawała się prymuską i wzorem do naśladowania. Po pięciu latach można odnieść wrażenie, że ambitny zestaw reform pruje się w szwach, bo kolejne kraje domagają się jego rewizji.

Najbardziej widoczne było to podczas protestów rolników na początku roku, gdy Komisja Europejska wycofała się pod presją z niektórych planów, m.in. przepisów ograniczających stosowanie pestycydów (ich produkcja wiążę się z poważnymi emisjami gazów cieplarnianych) czy wymogów środowiskowych Wspólnej Polityki Rolnej. Teraz – jak mówiła ostatnio dziennikowi „Le Monde" europosłanka Zielonych Marie Toussaint, „wyzwaniem jest utrzymanie tego, co już zostało osiągnięte".

– Najpierw z powodu pandemii, a później wojny w Ukrainie, przygotowaniu i wdrażaniu Zielonego Ładu nie poświęcono dość uwagi. Jednocześnie Komisja Europejska nie miała dobrego planu, jak te wszystkie zmiany zakomunikować obywatelom. A gdy to wszystko się na siebie ponakładało, program stał się dyżurnym chłopcem do bicia, bo politycy próbują na tym ugrać swoje – mówi „Tygodnikowi" dr Andrzej Kassenberg, pionier badań i popularyzacji w Polsce ochrony środowiska, współzałożyciel Instytutu na rzecz Ekorozwoju i ekspert Koalicji Klimatycznej.

Z jednej strony – jak zauważył w najnowszym raporcie think tank Strategic Perspectives, „Unia była drugą najbardziej atrakcyjną lokalizacją dla inwestorów proklimatycznych w 2023 r. po Chinach, ale przed Stanami Zjednoczonymi". Ale z drugiej, „pozycja ta jest coraz mocniej zagrożona". To samo w swoim niedawnym raporcie podkreślał Mario Draghi, były szef Europejskiego Banku Centralnego, który uważa, że jeśli Unia ma stać się konkurencyjna, jednym z filarów jej gospodarki musi być dekarbonizacja. Bruksela nie może jednak wprowadzić takich rozwiązań jak Waszyngton czy Pekin. UE nie ma centralnie sterowanej gospodarki jak Chiny ani nie może też zagwarantować np. jednolitych ulg podatkowych jak Amerykanie, bo to leży w gestii państw członkowskich.

– Europa ma świadomość, że musi być bardziej konkurencyjna. Właśnie z tego powodu powstaje Przemysłowy Zielony Ład, który w wielu aspektach ma uzupełnić Zielony Ład i wspólne działanie jest tu kluczowe – mówi Anna Sands, kierowniczka zespołu ds. polityki środowiskowej WWF Polska. – Ze wspólnym działaniem jest jednak problem, bo dochodzi do czegoś w rodzaju rozdwojenia jaźni: z jednej strony mowa o rozwijaniu zielonych technologii, a z drugiej rośnie presja ze strony państw członkowskich, by rozwadniać wszelkie regulacje.

OLIWIA JERZYŃSKA / DZIĘKI UPRZEJMOŚCI AUTORKI

Ochrona klimatu przypomina naszą politykę dotyczącą bałtyckiego dorsza. Eksperci ostrzegali: gatunek wymiera, trzeba ograniczyć połowy. Politycy grzmieli, że będą bronić interesu polskich rybaków. W efekcie rybacy i tak zostali z niczym, a dorsz i tak zapewne wyginie.

PATRYCJA BORKOWSKA / DZIĘKI UPRZEJMOŚCI AUTORKI

I Polska właśnie w tym ostatnim obszarze, rozwadniania unijnych planów – w przeciwieństwie do realnych działań na rzecz ochrony klimatu – wyrasta na czempiona.

### Polska płaci za węgiel

Dobrym przykładem tego, jak na arenie unijnej działa Warszawa, jest wałkowana właśnie sprawa systemu handlu uprawnieniami do emisji – ETS2. Program, będący częścią Zielonego Ładu, od 2027 r. ma objąć sektor transportu i budownictwa. Premier Donald Tusk już zasugerował, że będzie chciał go renegocjować, gdy w styczniu Polska obejmie przewodnictwo w Radzie UE. „Nie dość, że Europa ma energię średnio dwa i pół raza droższą niż USA, to my jesteśmy niestety w czołówce cen energii" – stwierdził Tusk, podkreślając, że te ceny bezpośrednio zagrażają konkurencyjności naszej gospodarki.

Ta sprawa jak w soczewce skupia problemy polskiej polityki ochrony klimatu, więc warto jej się przyjrzeć bliżej. Celem Systemu Handlu Emisjami UE jest podniesienie kosztów „brudnych" branż, by wymusić na nich inwestycje w nowe, czystsze rozwiązania. W największym skrócie: jeśli ich nie wdrażają, muszą płacić za uprawnienia do emisji, a pieniądze trafiają z powrotem do kraju-emitenta i powinny być inwestowane w transformację energetyczną. Czy u nas tak się dzieje? W październiku NIK opublikował raport, według którego w latach 2013-2023 „dochody ze sprzedaży uprawnień wyniosły blisko 94 mld zł, z czego jedynie niecałe 1,3 proc. przekazano bezpośrednio na cele związane z redukcją emisji lub zarządzaniem tymi emisjami". Co stało się z pozostałymi pieniędzmi? Z raportu NIK: „System gospodarowania środkami ze sprzedaży uprawnień EU ETS w Polsce został zorganizowany w sposób uniemożliwiający jednoznaczne ustalenie faktycznego wykorzystania dochodów (...) w przypadku niemal 90 proc. uzyskanych środków". ↦

↦ Wynikało to z faktu, że pieniądze trafiały do wspólnej kasy państwa, a później nikt właściwie nie kontrolował, czy rzeczywiście wydawane są zgodnie z przeznaczeniem.

Te fundusze mogłyby iść np. na odchodzenie od węgla. Kolejne rządy wolały jednak nie ryzykować zwarcia z górniczym lobby. – I to pomimo, że cały ten sektor z ekonomicznego punktu widzenia jest kulą u nogi rozwoju sektora energetycznego. Tyle że Górny Śląsk i Lubelszczyzna to regiony, w których się wygrywa wybory – mówi dr Łukasz Tolak, adiunkt w Instytucie Stosunków Międzynarodowych Collegium Civitas. Efekt jest taki, że w ciągu ostatnich 35 lat polski podatnik dopłacił do naszego „czarnego złota" znacznie ponad 200 mld zł.

– Tylko w tym roku to było 7 mld zł, czyli 19 mln dziennie. W przyszłym roku będzie to 9 mld, 24 mln dziennie – mówi nam Jakub Wiech, redaktor naczelny portalu Energetyka24. W znakomitej większości to wydatki wyłącznie na utrzymanie etatów w sektorze węglowym. – I, co należy podkreślić, ponosimy te wydatki, by ten sektor w ogóle istniał, bo na palcach jednej ręki można policzyć rentowne kopalnie. Czemu? Bo średni koszt wydobycia jednej tony węgla to u nas około 800 zł, a sprzedajemy ją za 500 zł – dodaje Wiech.

Przeciętnemu Kowalskiemu, nawet jeśli mu nie po drodze z ekologią, ale liczy własne pieniądze, humoru nie poprawi fakt, że Polska jeszcze długo przy węglu planuje zostać. Przytłaczająca większość UE zrezygnuje z niego do 2033 r., my – przynajmniej w teorii – z węglem zostaniemy nawet po 2040 r.

**EMISJE $CO_2$ W PRZELICZENIU NA MIESZKAŃCA (ZA 2023 R.)**

Arabia Saudyjska
**22,13 TON**

USA
**14,30 TON**

Chiny
**8,37 TON**

Polska
**7,46 TON**

Unia Europejska (średnia)
**4,72 TON**

Świat (średnia)
**4,7 TON**

*Źródło: Global Carbon Budget*

### Koszt zaniechań

Pocieszeniem może być to, że choć rządowe plany dotyczące „obrony" polskich górników (jak rybaków, hutników czy włókniarek) pozostają niewzruszone, zmienia się rynek. – Do zmian już doszło dzięki fotowoltaice czy wiatrakom, i dzięki temu odchodzimy od węgla. 10 lat temu jego udział w miksie energetycznym wynosił około 80 proc., teraz to powyżej 50 proc. – mówi dr Tolak.

Problem w tym, że nie dzieje się to zgodnie z zaplanowanymi rządowymi strategiami, ale w sytuacji ich braku. Inwestycje w energetykę odnawialną są najczęściej dokonywane przez indywidualnych odbiorców, bo rosną im ceny za prąd. A rosną, bo prąd jest z elektrowni węglowych. To nie jest jednak prawdziwa transformacja i nie będzie jej bez udziału rządzących.

– A oni od lat, zamiast rzeczywiście zajmować się polityką, wolą doraźne politykierowanie. Przykładem może tu być ustawa wiatrakowa, której mimo lat awantur, wciąż nie udało się przyjąć – mówi Mirosław Proppé, prezes WWF Polska.

Teoretycznie „rozwodnienie" ETS2 ma sens, bo system będzie obejmował m.in. kwestie związane z efektywnością energetyczną budynków. – To regulacja, którą wszyscy odczujemy w portfelach, bo Polska ma w tym obszarze sięgające dziesięcioleci zapóźnienia. By je nadgonić, potrzebny jest rozległy, kosztowny i przede wszystkim efektywny program termomodernizacji – wyjaśnia dr Łukasz Tolak. Z drugiej strony, wysokie koszty przełożą się na niższe późniejsze wydatki. – Jeżeli jesteśmy w stanie zmniejszyć zapotrzebowanie na energię do ogrzewania o kilkadziesiąt procent u odbiorców końcowych, to są to niebagatelne oszczędności na ich rachunkach, ale też na tym, ile emitujemy gazów cieplarnianych, za które docelowo też trzeba płacić – dodaje dr Tolak.

Dr Kassenberg wskazuje na jeszcze jeden koszt zaniechań, którego przy swoich kalkulacjach politycy nie biorą pod uwagę. – Badacze z Uniwersytetu Stanforda wyliczyli, że społeczne koszty emisji gazów cieplarnianych w postaci m.in. utraty zdrowia czy zmniejszenia plonów to 220 dol. za każdą wyemitowaną tonę CO2. W Polsce mamy obecnie emisję rzędu 380 mln ton, co daje sumę 335 mld zł rocznie. Wynik mnożenia jasno wskazuje, ile już teraz na tym tracimy. A dodać do tego trzeba jeszcze to, ile dopłacamy z racji gwałtownych zjawisk pogodowych, takich jak tegoroczna powódź na Dolnym Śląsku, która spowodowała straty rzędu co najmniej 3,5 mld zł.

### Pan Bosak mówi o wolności

Pewnie nadużyciem byłoby twierdzenie, iż Polska w kwestii unijnej polityki kli-

POŻEGNANIE

Jackowi Ślusarczykowi
wyrazy serdecznego współczucia
z powodu śmierci brata
Andrzeja
składają
PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

matycznej zachowuje się jak petropaństwa w sprawie postanowień COP. Takie analogie mogą się jednak nasuwać na widok tego, jak Warszawa działała m.in. w sprawie odbudowy zasobów przyrodniczych (nasz kraj zagłosował przeciw temu prawu i pomimo rekomendacji własnego Ministerstwa Środowiska), czy dyrektywy zakazującej wprowadzania na unijny rynek towarów przyczyniających się do wylesiania. Zanim KE sama zaproponowała odroczenie tej dyrektywy, nasi politycy wyjątkowo chętnie powtarzali, że to cios w konkurencyjność polskiej gospodarki. I – jak z dorszem – strzelali w kolano tym, których, jak twierdzą, chcą bronić.

– Sprowadzanie do nas taniego drewna jest nie tylko sprzeczne z naszymi globalnymi interesami w sensie stabilizacji klimatu, bo niszczy lasy deszczowe i inne obszary najcenniejsze z punktu widzenia zasobności przyrody i efektów klimatycznych. To jednak również działanie przeciwko naszej rodzimej gospodarce leśnej – mówi Mirosław Proppé. Jego zdaniem naszych polityków „charakteryzuje nie tylko brak wiedzy, ale też wyjątkowa niechęć do niej". Efekt jest taki, że gdy Bruksela coś proponuje, Warszawa wysłuchuje tych planów i nie ma w ich sprawie nic do powiedzenia. Gdy jednak zaczyna się ich realizacja, a plany mają być wprowadzane w życie, zaczynają się protesty – dodaje prezes WWF Polska.

**PROGNOZOWANY WZROST TEMPERATURY (JEŚLI EMISJE UTRZYMAJĄ SIĘ NA OBECNYM POZIOMIE)**

- do 2030 r.

**1,5° C**

- do 2050 r.

**2° C**

- do 2100 r.

**2,6-3,1° C**

*Źródło: 2024 UN Emissions Gap Report*

Dr Kassenberg: – A na koniec przed kamerami staje np. taki pan Krzysztof Bosak z Konfederacji i mówi, że polityka klimatyczna Unii nie może ograniczać swobód obywatelskich Polaków. Tylko że nie można realizować swojej wolności kosztem innych, a wolność to również odpowiedzialność. Przez zanieczyszczenia powietrza (smog) przedwcześnie umiera rocznie 50 do 90 tys. ludzi. To tak, jakby w ciągu roku zniknęła ludność Wejherowa czy Jaworzna. Czy to jest odpowiedni koszt wolności dla polityków?

## Po co to robimy

Krajobraz po COP29 nie wygląda optymistycznie. Do lutego wszystkie państwa mają przedstawić w ONZ swoje plany na kolejną dekadę, gdy chodzi o cięcia emisji gazów cieplarnianych. Świat, w tym także Polska, uważnie liczy więc, ile to będzie kosztować. A biorąc pod uwagę gospodarczy wyścig między USA, Chinami i Europą, plany mogą nie być zbyt ambitne. W tej debacie o rentowności i pieniądzach ginie jednak to, co w niej najważniejsze, czyli – po co w ogóle to robimy.

Z danych Światowej Organizacji Meteorologicznej wynika, że ten rok znów pobije rekordy ciepła. Podobnie jak cała mijająca dekada, która ma być najgorętszą w historii pomiarów. Jednocześnie emisje gazów cieplarnianych wpompowywanych przez ludzkość, zamiast spadać, ciągle rosną. Możemy już zapomnieć o granicy ocieplenia 1,5 st. C, która umożliwiłaby uniknięcie katastrofalnych zjawisk pogodowych, czy 2 stopni, którą świat raczej osiągnie nie u końca wieku, lecz już w 2030 r. Zresztą, wedle ostrożnych szacunków ekspertów ONZ, jesteśmy na ścieżce, w której wartość globalnego ocieplenia może przekroczyć 3 stopnie. A to oznacza ekstremalne zjawiska pogodowe, które mogą po prostu zagrażać naszemu życiu.

Jeśli nie uratujemy klimatu, gospodarki ratować nie będzie po co.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

**TYGODNIK POWSZECHNY** ▪ **www.TygodnikPowszechny.pl**

**Redaktor naczelny** Piotr Mucharski
**Redaktor senior** ks. Adam Boniecki
**Zastępcy redaktora naczelnego:** Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
**Dyrektor artystyczny** Marek K. Zalejski
**Wiara:** Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
**Kraj:** Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
**Świat:** Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
**Historia:** Wojciech Pięciak
**Nauka:** Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
**Kultura:** Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
**Fotoedycja:** Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
**Wydanie internetowe:** Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
**TP Typografia:** Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
**Korekta:** Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
**Promocja marki:** Monika Lech
**Marketing i sprzedaż:** Marek Bednarz, Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
**Rozwój cyfrowy:** Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Iwona Kuciel, Joanna Pelka, Patryk Stanik (kierownik)
**Redaktor wydań specjalnych:** Michał Okoński
**Felietony:** Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
**Menedżer produktu WWW:** Bartłomiej Swojak
**Stale współpracują:** Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja, Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

**WYDAWCA** Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
**Zarząd:** Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
**Asystentka zarządu ds. prawnych:** Sylwia Ligierska
**Adres wydawcy i redakcji:** ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
**Reklama, promocja:** tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
**Prenumerata:** tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
**Projekt graficzny:** Marek Knap i Marek Trojanowski

**Druk:** Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

# Kordowicz:
## *Kamień Kaaba*

„W sercu najważniejszego meczetu w Mekce znajduje się Kaaba – kamienna struktura, którą wznieśli wspólnie Ibrahim (Abraham, hebr. Awraham) z Ismailem (Izmaelem, hebr. Iszmaelem). Zbudowali ją, gdy Ibrahim przyjechał odwiedzić swoją żonę Hadżar (Hagar) i syna, zamieszkujących w dolinie Mekki. Zostawił ich tam kilka lat wcześniej na polecenie Allaha. Według Biblii hebrajskiej młodociany Iszmael – uniknąwszy śmierci z pragnienia (zob. Rdz 21, 9-21) – wraz z Hagar „osiadł w pustyni Paran; i wzięła mu matka jego żonę z ziemi Micraim [czyli Egiptu]" (Rdz 21, 21; Cylkow).

Średniowieczny midrasz też opowiada o ojcowskich odwiedzinach. Izmael wziął sobie za żonę kobietę spośród córek Moabu, na imię jej było Aisza. Po trzech latach Abraham udał się do swojego syna Izmaela, przysiągłszy Sarze, że nawet nie zsiądzie z wielbłąda w miejscu, gdzie Izmael mieszka. Przybył tam w południe i zastał tylko żonę Izmaela. Odbyli następującą rozmowę: „Gdzie jest Izmael?". „Poszedł razem z matką po owoce i daktyle z pustyni". „Daj mi trochę chleba i wody, bo jestem słaby po podróży przez pustynię". „Nie mam ani chleba, ani wody". „Kiedy Izmael wróci do domu, powiedz mu: Pewien starzec przyszedł z ziemi Kanaan, aby cię zobaczyć, i powiedział: »Wymień próg swojego domu, bo nie jest dobra dla ciebie«".

Kiedy Izmael wrócił do domu, żona opowiedziała mu, co się wydarzyło. Syn mędrca jest jak połowa mędrca i Izmael zrozumiał. Jego matka posłała po żonę dla niego z domu swojego ojca, a na imię jej było Fatima. Po kolejnych trzech latach Abraham znów udał się do Izmaela, ponownie złożywszy taką samą jak wprzódy przysięgę swojej ślubnej. Sytuacja na miejscu się powtórzyła – tym razem synowa wyjaśniła, że Izmael poszedł wraz z matką pasać wielbłądy na pustyni. Poproszona o trochę chleba i wody, kobieta spełniła prośbę. Abraham pomodlił się do Świętego – Błogosławiony On – w intencji swojego syna i dom Izmaela wypełnił się wszelakim dobrem i błogosławieństwem. Kiedy Izmael wrócił do domu, żona opowiedziała mu, co się wydarzyło, i Izmael wiedział, że ojciec nadal go kocha, „[j]ak się lituje ojciec nad dziećmi" (Ps 103, 13). Zwróćmy uwagę na imiona Izmaelowych żon: tak, są arabskie, w dodatku z najbliższego kręgu Mahometa. Zastanawiające, że w obu tradycjach ojciec nie porzucił syna – czyżby podobna wrażliwość? ©

**Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.**

O. WACŁAW

# Oszajca:
## *Permanentny koniec świata*

Kłopoty z powtórnym przyjściem Jezusa na świat mamy od czasów apostolskich. W Ewangelii Łukasza Jezus mówi, że „nie przeminie to pokolenie, aż się to stanie", ale się nie stawało. Piotr Apostoł: „Kochani (...), przede wszystkim wiedzcie, że w dniach ostatecznych pojawią się szydercy, zainteresowani zaspokajaniem własnych zachcianek. Będą oni drwić: No i co z obietnicą Jego przyjścia?! Jakoś, odkąd zasnęli ojcowie, wszystko trwa tak, jak od początku stworzenia (...). To jedno, kochani, miejcie na uwadze: U Pana jeden dzień jest jak tysiąc lat i tysiąc lat jak jeden dzień. Pan nie zwleka z dotrzymaniem obietnicy, choć niektórzy uważają, że zwleka. Tymczasem On po prostu okazuje cierpliwość względem was. On nie chce, aby ktoś zginął. Przeciwnie, chce, aby wszyscy się opamiętali".

Jak widać, niełatwo przyszło naszym praojcom pogodzić się z tym, że muszą żyć dalej na takim świecie, jaki jest, i że przyjście Jezusa niekoniecznie odbędzie się zgodnie ze scenariuszem pisanym przez apokaliptycznych proroków. Przeciwnie, ten dzień musi być dniem nie smutku, ale radości. To dlatego w każdej mszy ogłaszamy, że „oczekujemy przyjścia naszego Pana", a nawet staramy się ten dzień przyśpieszyć. Wierząc w niczym nieuwarunkowaną miłość Boga, zgodnie z obietnicą, „oczekujemy nowego nieba i nowej ziemi, w których na stałe zamieszka sprawiedliwość". Nie czekamy więc na żaden koniec świata, ale dalsze jego istnienie.

Nie ma więc już na co czekać, szkoda czasu. Bóg nie potrzebuje przychodzić, gdyż nigdy nigdzie nie odszedł. On zna tylko jedną formę czasownika być – Jestem. Jeśli ktoś do kogoś ma przychodzić, z kimś się jednać, to my z Bogiem, a nie On z nami, gdyż On się „gniewem nie unosi", ani złego nie pamięta. Nie musi nam niczego wybaczać, bo to my się na Niego gniewamy, a nie On na nas. Rzecz w tym, żeby umieć to dostrzec w tym, co tu i teraz się dzieje.

Jest rok 2018, ostatni dzień pobytu papieża Franciszka w Chile. Franciszek leci z Santiago do Iquique. Podchodzą do niego stewardzi Paula i Carlos, i proszą o błogosławieństwo. Na pytanie papieża, czy są małżeństwem, odpowiadają, że tak, ale tylko cywilnym. Franciszek bez wahania proponuje im ślub kościelny i żartując, pyta Carlosa: „Jesteś pewien?". Ten odpowiada: „Tak! Weźmy ślub!". Tak też wygląda przychodzenie Boga. ©

**O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.**

KARD. GRZEGORZ

# Ryś:
## *Księga czynów Boga*

„Ja, Jan, ujrzałem na prawej dłoni Zasiadającego na tronie księgę opieczętowaną siedmioma pieczęciami (...). A nie mógł nikt – na niebie ani na ziemi, ani pod ziemią – otworzyć księgi ani na nią patrzeć. A ja bardzo płakałem, że nie znalazł się nikt godny, by księgę otworzyć ani na nią patrzeć. I mówi do mnie jeden ze Starców: Przestań płakać! Oto zwyciężył Lew z pokolenia Judy, Odrośl Dawida, tak, że otworzy księgę i siedem jej pieczęci. I ujrzałem między tronem z czterema Istotami żyjącymi a kręgiem Starców stojącego Baranka, jakby zabitego (...). On poszedł i z prawicy Zasiadającego na tronie wziął księgę" (Ap 5, 1-7).

Po co otwiera się księgę? Po co się przełamuje chroniące jej treść pieczęcie? Czy nie po to, by ją przeczytać? Oczywiście, że tak. Księgi są po to, by je czytać. Jednak przez następne trzy rozdziały Apokalipsy Baranek łamie kolejne pieczęcie Bożej księgi, ale jej nie odczytuje. Natomiast każde przełamanie pieczęci uruchamia jakieś Boże działanie.

Najwyraźniej to nie jest księga, która ma być (jedynie) przeczytana; to jest księga, która ma się wydarzyć. Księga, której treść się dzieje. To nie jest księga tajemnej wiedzy, którą poznać mogą jedynie „wybrani"; to jest zapis ostatecznych i zwycięskich czynów Boga, które dotykają każdego – objawiając ukryty dotychczas sens dziejów każdego człowieka i całego świata.

Taki jest charakter Bożego Słowa w ogóle.

Bóg nie mówi po to, by sobie „pogadać". Boże Słowo nie jest jedynie nośnikiem informacji i wiedzy. Nie! Słowo Boga jest mocne. Stwórcze. Zbawcze. Przekształcające. Nawracające. Zwycięskie. Słowo Boga jest Bożym czynem. Ono nie tylko brzmi, ale się dokonuje!

Powie ktoś: Nie zawsze to widać. Nie zawsze Słowo Boga dzieje się w życiu naszym, w dziejach świata, a nawet Kościoła. Nie zawsze zdaje się objawiać sens tego, co się dzieje.

Tak, to prawda. Tym Bożym Słowem/Wydarzeniem, które stanowi klucz do zrozumienia (najpierw) i przeżycia (konsekwentnie) naszej osobistej historii i historii świata, jest Słowo wcielone: zwycięski Lew Judy, którym okazuje się... Baranek zabity.

Tylko Słowo/Wydarzenie Paschalne, tylko Śmierć i Zmartwychwstanie Baranka – przyjęte nie jako tajemna teoria, lecz jako dyscyplina życia – dają „nadzieję, która nie zawodzi" (por. Rz 5, 5). ©

**Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.**

*Prawdziwie praktykuje duchowo ten, kto odzyskał wolność, szczególnie wobec własnego wewnętrznego świata myśli i pragnień.*

HENRI LE SAUX

*Wszystko można przenikać, lecz niczego nie należy chwytać. Wszystko skądś przychodzi i dokądś zmierza – jeśli próbuje się to chwycić, z pewnością się to utraci.*

WANG BI

Wybrał PIOTR SIKORA

### CZYTANIA LITURGICZNE (1 – 8 XII)

**1. niedziela Adwentu:** Jr 33, 14-16; Ps 25; 1 Tes 3, 12 – 4, 2; Łk 21, 25-28. 34-36;
**Poniedziałek:** Iz 2, 1-5; Ps 122; Mt 8, 5-11;
**Wtorek:** Iz 11, 1-10; Ps 72; Łk 10, 21-24;
**Środa:** Iz 25, 6-10a; Ps 23; Mt 15, 29-37;
**Czwartek:** Iz 26, 1-6; Ps 118; Mt 7, 21. 24-27;
**Piątek:** Iz 29, 17-24; Ps 27; Mt 9, 27-31;
**Sobota:** Iz 30, 19-21. 23-26; Ps 147; Mt 9, 35 – 10, 1. 5a. 6-8;
**Uroczystość Niepokalanego Poczęcia NMP:** Rdz 3, 9-15. 20; Ps 98; Flp 1, 4-6. 8-11; Łk 1, 26-38.

KRAJ

# BEZ KULTURY

Prawie roczny dorobek resortu kultury w rządzie Donalda Tuska to zaskakująca lista wpadek, takich jak skandal wokół odejścia dyrektor PISF Karoliny Rozwód czy problemy z wykorzystaniem środków z KPO. Jaka przyszłość czeka kierownictwo ministerstwa?

PIOTR ŚMIŁOWICZ

23 października 2024 roku. Posiedzenie sejmowej komisji kultury i środków przekazu. Pod koniec pięciogodzinnych obrad podsumowujące wystąpienie ma minister Hanna Wróblewska. „Kultura nie powinna być deprawowana politycznie, kultura jest tym, co powinno nas łączyć" – kończy. Za chwilę głos próbuje jeszcze zabrać poseł PiS Marek Suski. Gdy szef komisji Piotr Adamowicz z KO na to nie pozwala, Suski wypala: „Ty debilu!".

Scenka ta dobrze obrazuje poziom emocji i napięcia wokół instytucji nadzorowanych przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Wbrew wydźwiękowi cytowanych słów Wróblewskiej, działania obecnego kierownictwa resortu trudno uznać za tonujące.

Bulwersujące okoliczności odejścia Karoliny Rozwód z Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej nie są, jak wiele na to wskazuje, tylko wypadkiem przy pracy, ale przejawem szerszego zjawiska. Ze środowiska menadżerów kultury oraz od osób składających wnioski o dofinansowania dowiadujemy się, że w MKiDN panuje chaos, a decyzje są opóźniane albo na ostatnich etapach zmieniane.

### Agnieszka Holland: komu mam wierzyć?

Pod koniec urzędowania Bartłomieja Sienkiewicza, który z resortu przeniósł się do europarlamentu, jego poprzednik Piotr Gliński kolportował listę „stu konkretów" ministra kultury, jak złośliwie nazywał popełnione błędy. Znalazły się tam różne instytucje, w których wymieniono dyrektorów przed upływem kadencji, pod pretekstem, że „nie realizują programu". W istocie, jak przekonywał Gliński, zastosowano wybieg, żeby wyrzucić nie swoich dyrektorów i przejąć kontrolę.

Strona rządowa ma swoją narrację. Podczas wspomnianego posiedzenia komisji minister Wróblewska broniła się, że to obecna ekipa przywróciła powoływanie dyrektorów instytucji kultury w otwartych konkursach, co jest „zmianą kopernikańską". Z kolei dyrektor Departamentu Dziedzictwa Kulturowego Piotr Rypson przekonywał, że każdy tydzień potwierdza katastrofalny obraz instytucji kultury, pozostawiony przez poprzednie kierownictwo, i posunął się wręcz do skojarzenia tego stanu z sytuacją, w której podnosi się długo leżący kamień i dostrzega znajdujące się pod nim robactwo. Jego zdaniem cały problem z funkcjonowaniem resortu pod kierownictwem prof. Glińskiego miał polegać na tym, że sam dokonał zbyt wielu zmian i przez to nowi dyrektorzy byli zbyt słabo przygotowani do pełnienia swych funkcji. Mieli też za dużo pieniędzy do wydania, co owocowało inflacją nieprzemyślanych pomysłów.

Jednak dokładniejsza analiza działalności resortu kultury już za obecnej władzy pozwala postawić tezę, że w wielu sferach wcale nie jest lepiej niż było, jest tylko inaczej. – W ministerstwie wszystko stoi, ma się wrażenie, że nikt nie panuje nad całością. Przez rok nie przygotowano żadnej inicjatywy, czy to ustawodawczej, czy organizacyjnej, od początku do końca – mówi warszawski menadżer kultury.

Potwierdzeniem tych obserwacji może być historia odwołania dyrektor PISF Karoliny Rozwód, którą opisał ze szczegółami jako pierwszy portal OKO.press. Z tekstu wynikało, że Rozwód padła ofiarą intrygi swojej zastępczyni Kamili Dorbach, działającej w porozumieniu z wiceministrem Andrzejem Wyrobcem (PO) oraz dyrektorem Departamentu Prawa Autorskiego i Filmu Maciejem Dydo. Ponieważ Rozwód chciała odwołania zastępczyni, ta ostatnia miała doprowadzić do napiętej sytuacji, w wyniku której wyłoniona kilka miesięcy wcześniej w transparentnym konkursie Rozwód została przez samą minister Wróblewską zmuszona do rezygnacji. Grożono jej też (w razie oporu) zawiadomieniem do prokuratury, w związku z podjętą przez dyrektorkę PISF decyzją o finansowaniu jednego z filmów – mimo że Rozwód była na końcu łańcucha decyzyjnego w tej sprawie, a finansowanie zostało obiecane przez poprzednika, Radosława Śmigulskiego.

Rozwód początkowo uległa presji, ale po kilku dniach zdecydowała się cofnąć rezygnację, zarzucając Wróblewskiej stosowanie „gróźb bezprawnych". Wtedy to (zbieżność czasowa miała być przypadkowa) zawiadomienie o możliwości popełnienia przez Rozwód przestępstwa zostało przez PISF (czyli jej dotychczasową zastępczynię) skierowane do prokuratury.

Historia ta zaszokowała środowisko, czego wyrazem były dramatyczne słowa Agnieszki Holland podczas współKongresu Kultury na początku listopada. „Jeżeli nawet ludzie, których szanuję, których objęcie władzy w resortach mi bliskich przyjęłam z ulgą i radością, jeśli nawet oni zachowują się w taki sposób, to komu mam wierzyć?" – komentowała Holland.

### Wnioski jeszcze przed kontrolą

Instrumentalne posługiwanie się zarzutami o domniemanych malwersacjach zdarzało się kierownictwu resortu kultury także w przypadkach innych instytucji. Tak było w sprawie byłej dyrektor Instytutu Adama Mickiewicza Barbary Schabowskiej. Abstrahując od jej oceny, trzeba zauważyć, że np. cofnięcie dotacji dla tej instytucji tłumaczono wynikami kontroli, która... miała się dopiero odbyć.

Przypadek Instytutu Adama Mickiewicza jest o tyle charakterystyczny, że pokazuje kruczek prawny, który obecnej ekipie pozwolił na zmianę personalną. Najpierw podjęto decyzję o połączeniu IAM z Biurem „Niepodległa", a gdy dokonano tam potem wymiany dyrektora, wszczęto procedurę ponownego rozdzielania IAM i „Niepodległej". Ta ostatnia ma zostać włączona do Muzeum Historii Polski, ale proces ten się opóźnia z powodu niedowładu organizacyjnego w MKiDN. Nową dyrektor IAM została zastępczyni minister Wróblewskiej, gdy ta była dyrektorką Zachęty, Olga Wysocka.

Co do samego Muzeum Historii Polski, sporo o sposobie działania obecnego kierownictwa resortu kultury mówi głośna historia odwołania, po 18 latach urzędowania, dyrektora Roberta Kostry. Protestowało przeciw temu wiele autorytetów, niezależnie od politycznej opcji. Minister Wróblewska w swoim wystąpieniu podczas wspomnianego posiedzenia tłumaczyła decyzję nieprawidłowościami finansowymi. Nie były to jednak zarzuty dużego kalibru, a sam Kostro od razu przekonująco się do nich ustosunkował.

O innej przyczynie odwołania Kostry opowiedział poseł KO Krzysztof Mieszkowski. Wypomniał Kostrze, że dopuścił do tego, by huczne otwarcie nowego gmachu MHP było wykorzystane przez PiS w kampanii parlamentarnej w 2023 roku. Dzięki temu rządzący zrobili sobie tam wyborczy happening, podczas którego ↦

JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL // MONTAŻ „TP"

↦ Mateusz Morawiecki kłamliwie atakował PO, że robiła wszystko, by muzeum nie powstało.

### Polityka konkursowa

Choć nowe kierownictwo resortu szczyci się organizowaniem konkursów przy decyzjach personalnych, w przypadku MHP nowy dyrektor Marcin Napiórkowski, choć sam ceniony w środowisku, powołany został bez konkursu. Ale nawet tam, gdzie się odbył, decyzja bywa czasem odmienna od konkursowego rozstrzygnięcia.

Tak było w przypadku Instytutu Teatralnego, gdzie przeprowadzono coś na kształt procedury konkursowej, w której najlepiej wypadł Paweł Sztarbowski. Jednak na dyrektora została powołana Justyna Czarnota-Misztal, preferowana w resorcie jako lepiej widziana w środowisku.

Zarazem to samo środowisko teatralne zostało zaskoczone zamiarem odwołania wieloletnich dyrektorów Teatru Narodowego w Warszawie Jana Englerta i Krzysztofa Torończyka. Resort zapowiedział bowiem, że niebawem przeprowadzi konkursy w kilku czołowych instytucjach, w tym w Narodowym. Ludzie związani z tą sceną odpowiedzieli listem protestacyjnym, tym bardziej że – według plotek – na zwycięzcę szykowany jest Michał Kotański, od niedawna dyrektor Teatru Telewizji, co oznaczałoby zmianę oblicza Teatru Narodowego na bardziej „progresywny". Że taki eksperyment może się skończyć skandalem, pokazuje powołanie Moniki Strzępki na dyrektora zarządzanego przez magistrat stolicy Teatru Dramatycznego.

Personalny „reset" ma dotyczyć też pism kulturalnych. W tym kontekście pojawiło się zamieszanie przy konkursie na nowego redaktora naczelnego miesięcznika „Teatr", który miałby zastąpić kierującego nim od 2006 r. Jacka Kopcińskiego. Ostatnio członkowie rady miesięcznika, znani zresztą z sympatii do bardzo różnych opcji politycznych, napisali list podważający rzetelność konkursu, bo w komisji nie ma przedstawiciela krytyki teatralnej.

JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL // MONTAŻ „TP"

### Gdzie są pieniądze z KPO

Emocje wywołuje też możliwość utraty przez Polskę części z prawie 130 mln zł, jakie dla instytucji kultury mają trafić z Krajowego Planu Odbudowy. Na początku czerwca minister Hanna Wróblewska i nadzorująca ten program wiceminister Marta Cienkowska z Polski 2050 uroczyście ogłaszały, że będzie można składać wnioski o granty i stypendia w ramach „Programu wspierania działalności podmiotów sektora kultury i przemysłów kreatywnych na rzecz stymulowania ich rozwoju".

Obecna ekipa obsługę wniosków z KPO powierzyła Narodowemu Instytutowi Muzyki i Tańca. NIMiT sobie z tym zadaniem nie radzi, a podmioty zainteresowane pozyskaniem środków narzekają na wyjątkowo skomplikowaną procedurę, konieczność podpisywania weksli zobowiązujących do zwrotu niewydanych pieniędzy, i generalnie atmosferę zniechęcającą do składania wniosków. Tymczasem pieniądze trzeba wykorzystać do końca roku, inaczej przepadną.

Skądinąd wcześniej NIMiT był uznawany za instytucję, która dobrze sobie radzi z konkursami dotacyjnymi. Dziś jest gorzej, odkąd za zasady konkursów odpowiada zewnętrzna kancelaria prawna – ta sama, która zajmowała się fuzją Orlenu z Lotosem.

Co ciekawe, NIMiT-em wciąż kieruje osoba powołana za czasów PiS, Paula Lis-Sołoducha; minister Wróblewska dopiero wszczęła wobec niej procedurę odwołania.

### Skomplikowane procedury

Wiceminister Marta Cienkowska w rozmowie z „Tygodnikiem" przyznaje, że NIMiT popełnił błędy, choć, jak podkreśla, „środków z KPO nikt nigdy jeszcze nie wdrażał, co w połączeniu z dużym zainteresowaniem i innymi od krajowych programów procedurami rozliczeń, przysporzyło trudności". Zwraca uwagę, że w ramach KPO dla kultury realizowana jest też inwestycja infrastrukturalna, prowadzona bezpośrednio przez ministerstwo, i tam wszystko idzie zgodnie z planem. Zaś pion grantowo-stypendialny miał być decyzją rządu PiS prowadzony przez cztery instytucje, w tym także takie, które nigdy nie były operatorem europejskich grantów. – Weryfikując przygotowanie instytucji oraz doświadczenie w wydatkowaniu środków publicznych, zdecydowaliśmy się umieścić przyznawanie dofinansowań w jednej instytucji, czyli w NIMiT. Była ona najlepiej przygotowana, a jednocześnie miała największe doświadczenie w dystrybucji programów o dużych budżetach. Do końca października słyszeliśmy zapewnienia ze strony dyrektor NIMiT o pełnej koordynacji, ale mieliśmy też sygnały o nieprawidłowościach, m.in. w komunikacji z wnioskodawcami. Sam proces obsługi grantów okazał się również nieprzemyślany. Stawiamy go na nogi – mówi Cienkowska. I zwraca uwagę, że NIMiT jest instytucją autonomiczną, więc resort ma ograniczone możliwości nacisków. – Wszczęliśmy procedurę odwoławczą dyrektor NIMiT, ale jako wiceminister mogę oddzia-

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

**NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE** goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

ływać prośbą, pismem, sugestią – przekonuje.

Cienkowska dodaje też, że resort miał do wyboru albo działać na podstawie istniejących regulaminów, ryzykując, że nie wszystkie środki uda się wykorzystać, albo w ogóle z nich zrezygnować. Wybrano pierwszą opcję.

– Zgadzam się, że w KPO są skomplikowane procedury. Będziemy je upraszczać w drugim naborze oraz konsultować regulamin – zapowiada wiceminister. Przekonuje też, że jest jeszcze szansa, iż w tym roku prawie żadne pieniądze z KPO nie zostaną stracone, jeśli „tylko" uda się do 31 grudnia podpisać wszystkie umowy i wypłacić środki. – NIMiT wprowadził zmiany przy zawieraniu umów, pracuje też nad komunikacją z beneficjentami. Proces przyspieszył, czego dowodem są realizowane przelewy. Wiem, że 30 beneficjentów zrezygnowało z podpisania umów, ale w skali 2 tys. złożonych projektów ta liczba mieści się w marginesie dla tego typu programów – przekonuje Cienkowska.

Sprawa NIMiT i KPO pokazuje też kolejny problem obecnego kierownictwa resortu. Minister z czasów PiS Piotr Gliński w niedawnym wywiadzie dla Wirtualnej Polski wyśmiewał się z Wróblewskiej, że ta odżegnuje się od „ręcznego sterowania". Przyznał, że sam tego nie unikał. „Ja wiem, że łatwo teraz będzie stworzyć nagłówek, iż Gliński przyznaje się do ręcznego sterowania ministerstwem kultury, inwestycjami. Ale to po prostu elementarz zarządzania. Ono polega także na tym, że wyznacza się cele, ludzi, środki, ale później dzień po dniu trzeba monitorować, czy wszystko idzie do przodu. Ja tak robiłem i choćby dlatego istnieje muzeum w Sulejówku" – mówił były wicepremier.

Prawdą jest jednak to, że Hanna Wróblewska, która jako dobra dyrektorka Zachęty miała w środowisku duży kredyt zaufania, stopniowo go traci. – Resort kultury nie zdał egzaminu z zarządzania przez fachowca – twierdzi jeden z menadżerów kultury.

Po korytarzach ministerstwa krąży anegdota, która nabiera dodatkowego wymiaru w obliczu zamieszania wokół PISF. Według niej znana osoba reprezentująca środowisko filmowe spotkała się na początku roku z premierem Donaldem Tuskiem i zażądała odwołania ówczesnego dyrektora PISF Radosława Śmigulskiego. Tusk miał się wściec i podjąć decyzję, że na czele resortu kultury postawi kogoś ze środowiska, by nikt z twórców nie przychodził więcej do niego z takimi sprawami. W ten sposób przypieczętowany został też los Bartłomieja Sienkiewicza, który w tym czasie wahał się, czy startować do PE, czy jednak może zostać w resorcie, gdzie nie dał się poznać jako osoba wyciągająca dłoń do artystów.

### Czy Wróblewska odejdzie

Teraz także wobec jego następczyni jest coraz więcej zastrzeżeń i nie można wykluczyć, że i ona niebawem będzie musiała odejść. W środowisku można usłyszeć, że być może na jej miejsce szykuje się wiceminister Andrzej Wyrobiec, znacznie lepiej umocowany w strukturach PO, choć ostatnio nieco obciążony aferą wokół PISF. Jego nazwisko było już wymieniane przy okazji dymisji Bartłomieja Sienkiewicza. Dziś to do niego zwracają się z większymi problemami przedstawiciele środowiska uważający, że Wróblewska jest niedecyzyjna.

Są też menedżerowie kultury, którzy nie podzielają krytycznych opinii o obecnym kierownictwie resortu. Zwracają uwagę, że przygotowana została ustawa o zdrowotnym i emerytalnym zaopatrzeniu artystów (choć wciąż jest w fazie projektu), jest szykowana ustawa o książce, która ma m.in. wprowadzić zerowy VAT na książki. – Trzeba zrozumieć, że ministerstwo to ogromna, bezwładna instytucja publiczna, w której czasem nie wie prawica, co czyni lewica. Zarządzać tym jest trudno, zwłaszcza jeśli wiceministrowie są z różnych ugrupowań – przekonuje menadżerka kultury.

W samym ministerstwie za symboliczną dla jego dalszego funkcjonowania uznawana jest niedawna śmierć wieloletniego dyrektora finansowego resortu Wojciecha Kwiatkowskiego, który był „pamięcią instytucjonalną" ministerstwa i bez którego nie może ono sprawnie funkcjonować.

Producent filmowy Maciej Strzembosz napisał ostatnio na Facebooku pamflet na działalność obecnego kierownictwa ministerstwa, który zatytułował „MKiDN, czyli Ministerstwo Katastrof i Dobrowolnych Nieszczęść". Tytuł, choć przesadzony, oddaje atmosferę wokół resortu.

©℗ PIOTR ŚMIŁOWICZ

## Artyści są głodni

**Z PONAD 62 TYS. OSÓB** pracujących w obszarze kultury jedynie 11 proc. jest zatrudnionych na umowę o pracę, 37 proc. pracuje na umowę o dzieło, 18,7 proc. jest na samozatrudnieniu, 13,9 proc. na umowach zlecenia, a 15,3 proc. wykonuje obowiązki bez żadnej umowy.

**4053 ZŁOTYCH**

Tyle wyniósł średni miesięczny przychód z pracy artystycznej w 2023 r.

**58 PROC. OSÓB** pracujących w sektorze kultury zarabia mniej, niż wynosi płaca minimalna, a mediana przychodów z pracy artystycznej wyniosła w 2023 r. 2730,50 zł. Przeciętne miesięczne wynagrodzenie brutto w instytucjach kultury to z kolei 5444,41 zł – było niższe niż średnie zarobki brutto w całej gospodarce narodowej.

**PROBLEM WYNAGRODZEŃ TWÓRCÓW** kultury i ich zabezpieczenia społecznego stał się jednym z kluczowych tematów ostatniego współKongresu Kultury na początku listopada. Jednym z rozwiązań ma być ustawa o zabezpieczeniu społecznym artystek i artystów. Wciąż pozostaje jednak problem braku zabezpieczeń emerytalnych osób wykonujących zawody artystyczne przez ostatnie trzydzieści lat, które w wyniku zmian po 1989 r. wypadły z systemu. W wyniku zmian ustrojowych zlikwidowano specjalny system ubezpieczeń społecznych, uwzględniający specyfikę wykonywanego przez artystów zawodu. Weszli oni do powszechnego systemu, ale dla wielu nieregularność uzyskiwania dochodów oraz rodzaj umów, na podstawie których je otrzymywali – umowy o dzieło – sprawiły, że teraz, po przejściu na emeryturę, zaczynają otrzymywać głodowe świadczenia. © PIOTR KOSIEWSKI

# Uwolnić wolne

MATEUSZ PEROWICZ

**Zamiast kłócić się o kolejny wolny dzień, zawalczmy raczej o prawo wyboru, w które z licznych świąt pracownicy chcieliby odpoczywać albo pielęgnować swe uczucia patriotyczne i religijne.**

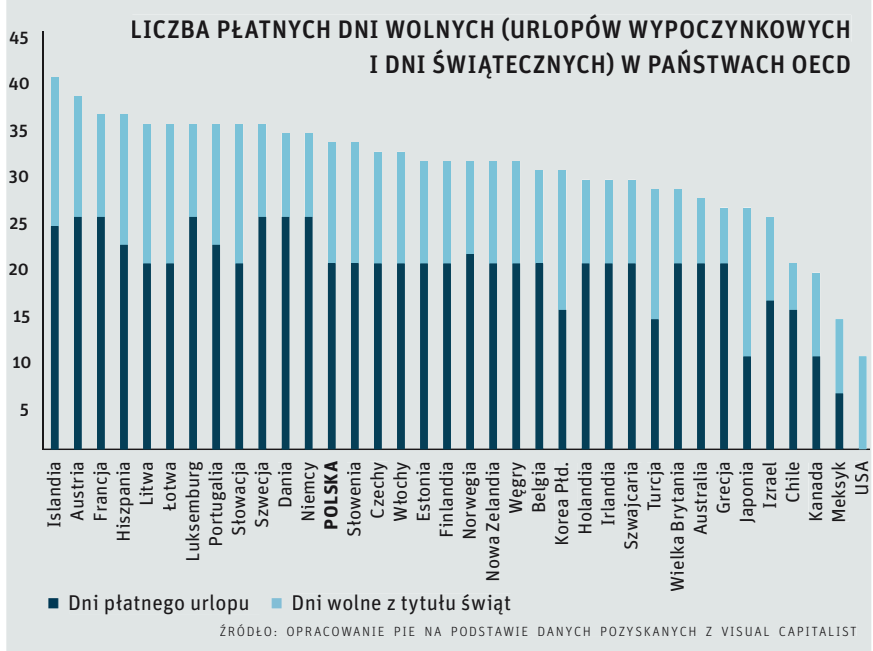


Prawo zapewnia nam łącznie 33 dni wolne, licząc święta i 20 dni urlopu (o ile pracujemy mniej niż 10 lat). W internecie hulają jednak instrukcje wyjaśniające, w jakie dni warto wziąć wolne w 2025 r., by przechytrzyć pracodawców i maksymalnie wydłużyć wypoczynek. Drugie dno tej sprawy jest takie, że Polacy to jeden z najbardziej przepracowanych narodów Unii Europejskiej, cierpiący masowo na wypalenie zawodowe.

W dyskusji o uczynienie Wigilii dniem wolnym słuszne argumenty padają z obu stron. Zwolennicy zmiany mówią o tym, że to jeden z najważniejszych dni w roku, oznaczający dużą ilość zajęć domowych, więc brak pracy zawodowej tego dnia można wytłumaczyć łatwiej niż w niejedno inne święto. Przeciwnicy wyliczają, jakim kosztem dla gospodarki będzie przestój wigilijny, zwłaszcza że 25 i 26 grudnia są przecież ustawowo wolne, co dawałoby nam trzydniowy zakaz pracy. To zaś wydaje się przesadą.

### W połowie stawki

Każdy z nas zdaje sobie sprawę, że Wigilia nie jest dniem, w którym pracujemy na 100 procent. Panuje pewien niepisany konsensus, wedle którego część zespołu wychodzi wcześniej do domu w Wigilię, a część w sylwestra. Ten model oddolnego porozumienia sprawdza się od lat, choć oczywiście zdarzają się przypadki, kiedy nie uda się dogadać. Ważniejsze jest pytanie, czy naprawdę musimy się aż tak umęczyć tego dnia, skoro coroczne statystyki ujawniają, jak wiele marnujemy w okresie świątecznym jedzenia. Być może w Wigilię powinniśmy przede wszystkim racjonalniej podejść do przygotowania wspólnej wieczerzy, zamiast oczekiwać wybawienia od pracy?

W rankingu państw OECD gwarantujących największą ilość wolnego, Polska z 33 dniami plasuje się w połowie stawki. Daleko nam zarówno do Islandii oferującej aż 40 takich dni, jak i do Stanów Zjednoczonych, gdzie płatnego urlopu nie ma, a świąt państwowych jest 10.

Mamy więc całkiem sporo wolnego, co przyznają nawet przedstawiciele Lewicy. Ministra funduszy Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz sugeruje, by zamienić Wigilię na inne święto i zlikwidować wolne np. 6 stycznia, w mniej znaczące święto Trzech Króli.

Jednocześnie jednak Stowarzyszenie Sieć Solidarności zbiera podpisy pod projektem ustawy o uczynienie wolnym dniem 4 czerwca. Z kolei do kancelarii Prezydenta Andrzeja Dudy wpłynęła petycja o to samo w kwestii 2 maja. Oznaczałoby to wraz z Wigilią kolejne trzy wolne dni lub ustanowienie ich kosztem likwidacji innych świąt.

Takie roszady wywołałyby protesty, dlatego zamiast przepychanek, wymuszanych zakazów pracy i odgórnego ustalania grafiku przez rząd, potrzebujemy mechanizmu, który zagwarantuje naszemu przepracowanemu społeczeństwu uczciwe negocjacje warunków pracy.

### Nadwiślańska harówka

Według danych Eurostatu mieszkańcy UE pracują od 35 do 40 godzin w tygodniu. Polacy znajdują się na podium narodów harujących najciężej, ze średnią 39,3 godziny. Więcej pracują Grecy, 39,8 godzin tygodniowo, i Rumuni, 39,5 godziny. Najmniej zaś Holendrzy – 33,2 godziny.

Ma to swoje konsekwencje, co podkreślał Polski Instytut Ekonomiczny (PIE) w jednym ze swych raportów. W publikacji z maja 2023 r. czytamy: „59 proc. Europejczyków deklaruje, że doświadczyło uczuć związanych z wypaleniem przynajmniej raz w życiu, często czuje, że jest na jego skraju lub rzeczywiście je przebyło. W porównaniu z resztą Europy, w Polsce ten problem pojawia się częściej – aż 70 proc. osób czuje się zagrożonych wypaleniem zawodowym". Czy zjawisko to, objawiające się skrajnym stresem, obniżeniem nastroju, zmęczeniem, niezadowoleniem z pracy i siebie to poważny problem? Oczywiście, że tak!

Według naukowców z Harvardu koszt wypalenia zawodowego lekarzy w USA wynosi 4,6 mld dolarów rocznie. Z kolei Światowe Forum Ekonomiczne szacuje globalne koszty tego zjawiska aż na 322 mld dolarów. Liczby te wynikają m.in. z konieczności zamiany doświadczonego, wykwalifikowanego i wypalonego pracownika na kogoś, kto nie jest w stanie w pełni go zastąpić. Według danych Society for Human Resource Management, koszt zastąpienia pracow-

nika może sięgnąć dodatkowo nawet 50-60 proc. jego wynagrodzenia.

W Polsce do zdeklarowanych przeciwników wolnej Wigilii należy poseł rządzącej koalicji Ryszard Petru, który oszacował, że będzie to dla naszej gospodarki ciężar o wartości 6 mld zł. To ważne wyliczenia, jednak na drugiej szali należy położyć obniżoną wydajność przemęczonych i zestresowanych pracowników, której nie da się łatwo oszacować, choć suma mogłaby okazać się przytłaczająca.

### Eksperyment czterech dni

Rynek pracy dynamicznie się zmienia. Dominujący kiedyś model 8:00-16:00 to już przeżytek, choćby dlatego, że dużo większą rolę w gospodarce odgrywa o wiele bardziej elastyczny sektor usług i nowych technologii. Sporo zmieniła też praca zdalna. Nie ma problemu, by mieszkać w Polsce i wykonywać zlecenia dla firm z różnych zakątków świata. Współczesnego rynku pracy nie da się już ująć w prostych ramach, a najlepszym na to dowodem są eksperymenty badające skutki czterodniowego tygodnia pracy.

„33 firmy działające w sześciu różnych państwach przeprowadziły ogromny eksperyment i wprowadziły na pół roku czterodniowy tydzień pracy" – informuje Business Insider. „Przez pół roku 61 firm w Wielkiej Brytanii testowało znaczące skrócenie czasu pracy bez obniżania pracownikom pensji. Autorzy raportu z badania mówią o »spektakularnym sukcesie«" – czytamy na oko.press. „W ramach nowego projektu 45 przedsiębiorstw i organizacji z Niemiec wypróbowuje przez pół roku czterodniowy tydzień pracy" – podaje TVN24.

Wyniki badań przeprowadzanych na pracownikach, którym skrócono czas pracy, były wręcz euforyczne. Spadł poziom stresu, a wydajność utrzymała się lub wzrosła. Eksperymenty przeprowadzono jednak na firmach, które same się zgłosiły, poza tym wśród badanych branż słabo reprezentowany był przemysł i handel, a co najważniejsze badania były prowadzone w modelu 100-80-100, czyli 100 proc. wynagrodzenia, 80 proc. czasu pracy, 100 proc. efektywności. Oznacza to, że pracownicy nadal wykonywali wszystkie swoje obowiązki. Udało się to osiągnąć poprzez skracanie czasu spotkań, ułatwianie procesów decyzyjnych czy zmniejszanie liczby osób przypisanych do danego zadania, czyli głównie zwiększano efektywność. Firmy nie rezygnowały ze zleceń, nie zamykały się wcześniej i nie zmniejszały produkcji.

Niektóre firmy kontynuują eksperyment, są też takie, które stanowczo z niego zrezygnowały. To pokazuje, jak różnorodny mamy dziś rynek pracy i jak wiele zależy od branży, specyfiki firmy, jej lokalizacji. Dlatego zamiast debatować o tym, który dzień w roku uczynić wolnym, powinniśmy dopasować system do współczesnych realiów i wyzwań rynku. Być może dużą rolę w tym procesie mogłaby pełnić Państwowa Inspekcja Pracy, oczywiście zreformowana.

> Mieszkańcy UE pracują od 35 do 40 godzin w tygodniu. **Polacy są wśród narodów harujących najciężej,** ze średnią 39,3 godziny.

### Kontrakt zamiast przymusu

Nie musimy ustalać grafiku w pracy za pomocą ustawy. Potrzebujemy instytucji państwowej, która wspierałaby pracowników i pracodawców w ustalaniu wspólnego kontraktu, regulującego warunki. Nie każdy chce mieć aż tyle wolnego, niektórzy też chętnie popracują w Wigilię. Dlaczego ktoś miałby tego zabraniać np. ateistom albo migrantom zarobkowym, dla których nasza Wigilia to zwykły dzień powszedni? Może woleliby wolne w dniu ważnym dla ich kultury?

Coraz popularniejsze stają się też świąteczne wyjazdy, co potwierdza np. badanie SW Research „Święta w hotelu", w którym 45 proc. respondentów stwierdziło, że chętnie spędziłoby ten czas poza domem. Dla coraz większej grupy ludzi okres Bożego Narodzenia staje się po prostu zwykłym urlopem.

Nie dojdziemy do konsensusu w kwestii tego, które dni dokładnie powinny być wolne od pracy. Nie ulega jednak wątpliwości, że ich potrzebujemy. Może zamiast nowych czerwonych dat w kalendarzu potrzebujemy nowej umowy społecznej?

Jej elementem może być np. likwidacja trzech wolnych dni, w święto Trzech Króli, Boże Ciało i Zielone Świątki. Zamiast nich przyznajmy każdemu pracownikowi pięć dni, w których pracodawca musi zagwarantować wolne. Każdy pracownik miałby prawo wyboru dowolnej daty, więc mógłby wskazać np. wyżej wymienione święta. Warto przypomnieć, że zwykły urlop musi być konsultowany i ustalany z pracodawcą, jednak tych pięć dni wskazanych przez pracownika byłoby nie do ruszenia. Nie ma raczej obaw, że doprowadziłoby to do zaburzenia ciągłości funkcjonowania zakładów pracy, natomiast liczba przysługujących nam dni wolnych zwiększyłaby się z 33 do 35. Z kolei liczba dni, w których nasza gospodarka stoi, zmniejszyłaby się z 13 do 10.

Daty 2 maja i 4 czerwca są oczywiście ważne. Tylko czy z ich powodu mamy wprowadzać kolejny narodowy zakaz pracy? Być może dla kogoś ważne są inne daty, np. 27 października jako rocznica opuszczenia terytorium Polski przez ostatnią bojową jednostkę Armii Czerwonej?

### Kod kulturowy

Wspólne celebrowanie świąt i ważnych rocznic z pewnością buduje narodowy kod kulturowy. Dlatego trzy z pięciu przysługujących dni bez pracy powinny przypadać w takich dniach. Ustawodawca, zamiast układać całemu narodowi odgórnie grafik, mógłby przygotować listę dat ważnych dla naszej ojczyzny, jej świadomości kulturowej czy religijnej, a każdy z nas mógłby wybrać, którą z nich woli celebrować uroczyście, mając wtedy wolne.

W ten sam sposób można by rozwiązać kwestię obowiązującego, częściowego zakazu handlu w niedzielę. Dzięki kontraktowi na zasadach stworzonych przez państwo i kontrolowanych np. przez zreformowany PIP, pracownicy mogliby zapewnić sobie niepracujące niedziele, ale ci, którzy chcą zarabiać, mogliby pracować.

Potrzebujemy elastyczności. Świadczą o tym niejednoznaczne wyniki licznych eksperymentów z czterodniowym tygodniem pracy. Nie ma bowiem jednego rozwiązania, które poprawi efektywność i komfort pracowników w każdej branży. Potrzebujemy dziś aktów prawnych i instytucji, które zadbają o uczciwe warunki negocjacji kontraktu pomiędzy pracownikiem i pracodawcą, a nie przepychanek o kolejny wolny dzień dla wszystkich. ©

MATEUSZ PEROWICZ *jest ekspertem Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego ds. patriotyzmu gospodarczego.*

# Bidul i bruk

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

**Polska się nimi nie zajmie, bo są z Ukrainy. Ukraina nie dostrzeże, bo trwa wojna; organizacje dziecięce stracą z oczu, bo nie są dziećmi. W ten sposób 18-latkowie z ukraińskich placówek ewakuowanych do Polski lądują na ulicy.**

Dobry wieczór – zagajają późnym jesiennym popołudniem na komunikatorze Martę Rutkiewicz, zaprzyjaźnioną działaczkę na rzecz praw dzieci z Pomorza. Jest ich dwóch, Aleksander i Dymitr (imiona zmienione). Obaj z Ukrainy, obaj w Polsce od 2022 roku, obaj od niedawna pełnoletni.

– Dobry wieczór. Co u was? – pyta Rutkiewicz.

– Znowu jesteśmy na ulicy – odpowiadają.

Po kilku minutach i jednym szybkim telefonie Rutkiewicz odpisuje: – Możecie wrócić do hostelu, macie zapewniony nocleg do poniedziałku.

– Wielkie dzięki – odpowiadają. Ale po chwili dodają: – Jest jeszcze jeden problem, cały tydzień nie jedliśmy, piliśmy tylko wodę i herbatę.

Marta Rutkiewicz jest prezeską pomorskiej organizacji na rzecz dzieci „Bocianie Gniazdo", a po lutym 2022 także kimś w rodzaju nieformalnej rzeczniczki praw dzieci z ukraińskich sierocińców ewakuowanych do Polski. To ona pół roku temu opowiedziała „Tygodnikowi" o domniemanej przemocy w jednym z takich sierocińców, i to dzięki niej sprawą zajęła się prokuratura. To do Rutkiewicz, głównie w związku z tamtą sprawą, zwracają się teraz o pomoc 18-latkowie wychodzący z ukraińskich placówek, którzy w Polsce nie mają dokąd pójść. Pomaga im poradą, dachem nad głową; bywa też, że prywatnymi pieniędzmi na jedzenie.

– Jeden z tych chłopców ukończył 18 lat w zeszłym roku, drugi w tym – opowiada Rutkiewicz o Aleksandrze i Dymitrze. – Obaj na własną prośbę opuścili stacjonujący teraz w Ustce dom dziecka. Próbowali pracować, ale nie wyszło. Od strony ukraińskiej nie dostali wsparcia. W Polsce niby im coś przysługuje, ale nawet o tym nie wiedzieli. Trzy razy otarli się o bezdomność. Byliby na ulicy, gdyby nie pomoc organizacji, do której dotarłam.

### Nocleg na ławce

Z Aleksandrem i Dymitrem łączę się w połowie listopada przez wideokomunikator. Jest przedpołudnie, ale w kamerze widzę mrok łamany przez niewyraźny snop światła wpadającego do pokoju przez zaciągnięte kotary. W tym niewyraźnym świetle widać młodą, nieco zarośnięta twarz jednego z chłopaków. To Alek, który będzie mówił także w imieniu Dymitra, gorzej posługującego się językiem polskim.

– Jesteśmy z Zaporoża. U mnie w domu było ciężko, więc trafiłem najpierw do rodziny zastępczej, a potem do domu dziecka – opowiada Alek. – Dymitr nie chodził do szkoły, jego rodziców pozbawiono praw. Poznaliśmy się w domu dziecka. A gdy zaczęła się wojna, w Zaporożu zrobiło się niebezpiecznie, więc przyjechaliśmy z całą placówką do Polski. Już tutaj dostałem wiadomość, że moi rodzice zastępczy zginęli, więc w Ukrainie nie mam nikogo.

Kilka miesięcy temu odeszli ze stacjonującego obecnie w Ustce domu dziecka – Zaporoskiego Regionalnego Centrum Rehabilitacji Społecznej i Psychologicznej (to właśnie dyrektorce tej placówki zarzuca się stosowanie wobec dzieci przemocy). – Odeszliśmy, żeby szukać pracy, a do domu dziecka nie mamy już powrotu – opowiada Alek. – Pierwszy nocleg dostaliśmy od pracodawcy. Ale po kilkunastu dniach zrezygnowaliśmy.

– Dlaczego? – pytam.

– Mieliśmy kłopoty zdrowotne, a to była praca fizyczna – mówi po chwili wahania Alek. – Nie dostaliśmy za nią ani złotówki. W dodatku straciliśmy mieszkanie i po raz pierwszy znaleźliśmy się na ulicy. Gdyby nie pomoc pani Marty, już byśmy tam zostali. Ja kilka nocy spędziłem na ławce albo na klatkach schodowych.

### Z Ukrainy nie dostali nic

Jaką dostali pomoc? Na pożegnanie z domem dziecka w Ustce wyprawkę rzeczową, m.in. ubrania i nowe telefony. Z instytucji ukraińskich nie otrzymali, jak twierdzą, nic. W systemie polskim nie przysługiwała im pomoc: ewakuowane do Polski ukraińskie placówki rządziły się wedle tamtejszego prawa; dopiero kilka miesięcy temu weszła w życie nowelizacja specustawy o pomocy uchodźcom zza wschodniej granicy, która przewiduje – przynajmniej na papierze – pomoc w usamodzielnieniu się ukraińskich sierot osiągających pełnoletniość.

Dach nad głową dostali dzięki mailom Marty Rutkiewicz do powiatowych i wojewódzkich służb kryzysowych, a także dzięki gdyńskim organizacjom pozarządowym. Mieszkają teraz w hostelu, za który płaci województwo pomorskie. Jak długo, nie wiadomo. – Dostaliśmy jeszcze tysiąc złotych na najpotrzebniejsze rzeczy – opowiadają. – Teraz nie mamy już na życie, pomaga nam trochę pani Marta. Chcemy znaleźć pracę, na przykład w sklepie. Albo zacząć się uczyć. Była u nas myśl, żeby wracać do Ukrainy, ale jeszcze damy tutaj sobie szansę.

Alek i Dymitr to niejedyni będący w takiej sytuacji. Tylko do Marty Rutkiewicz

zgłosiło się – włącznie z nimi – sześcioro młodych Ukraińców w podobnym położeniu. O kolejnych przypadkach opowiada mi Joanna Luberadzka-Gruca, ekspertka od pieczy zastępczej, szefowa Fundacji „Polki Mogą Wszystko". – Rozmawiałam niedawno z 16-latką mieszkającą w ukraińskim domu dziecka na terenie Polski – relacjonuje Luberadzka-Gruca. – Pytana o plany, odpowiedziała: praca w wakacje. Gdy zapytałam, po co, skoro ma kieszonkowe w placówce, powiedziała mi, że musi zarabiać na swoją starszą siostrę, która niedawno z tej placówki wyszła, i została bez niczego. Z kolei wielu chłopców po ukończeniu 18. roku życia wyjeżdża do Ukrainy. Mówią, że nic tu po nich, i że pójdą na front. Oczywiście, generalnie nie ma w tym nic złego, tylko czasami taki wyjazd to nie wyraz patriotyzmu, ale akt desperacji w obliczu braku perspektyw w Polsce.

### Samodzielność na papierze

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej informuje „Tygodnik", że na koniec 2023 roku w polskiej pieczy zastępczej (a więc głównie w rodzinach zastępczych i tzw. domach dziecka) przebywało 410 małoletnich obywateli Ukrainy. Znacznie więcej, bo 1086 ukraińskich dzieci mieszka (stan na koniec października) w ukraińskich sierocińcach, które po lutym 2022 roku zostały ewakuowane do Polski.

Arytmetyka wskazuje, że spośród około półtora tysiąca przebywających w Polsce ukraińskich sierot niemal setka osiąga każdego roku pełnoletniość. W takiej sytuacji dzieciom polskim przysługuje cały zestaw praw. Jest to system skądinąd krytykowany (jako niewystarczający, a bywa, że fikcyjny), ale w wielu przypadkach zapewnia realną pomoc. Chodzi o jednorazowe wsparcie finansowe na usamodzielnienie i zagospodarowanie (w sumie od kilku do kilkunastu tys. złotych), pomoc w uzyskaniu mieszkania, pracy, wsparcie prawne, psychologiczne, a także świadczenie na kontynuowanie nauki (nie mniej niż 681 zł miesięcznie).

A co z „pieczowymi" 18-latkami ukraińskimi? Do niedawna nie przysługiwało im nic.

Dopiero w lipcu tego roku zaczęła obowiązywać nowelizacja ustawy o pomocy obywatelom Ukrainy, która miała tę lukę zapełnić. Czyni to jednak tylko częściowo: młody uchodźca nie dostanie mieszkania ani finansowego wsparcia na usamodzielnienie. Otrzyma za to, jeśli spełni odpowiednie warunki, pomoc w uzyskaniu pracy, prawną i psychologiczną, a także świadczenie na kontynuowanie nauki – to ostatnie tylko pod warunkiem, że przebywał w systemie pieczy co najmniej rok, i uczy się w polskiej szkole lub na uczelni.

Ale nawet ten istniejący od lipca zestaw praw eksperci od pieczy zastępczej kwitują często jednym słowem: fikcja. Po pierwsze dlatego, że nie objął wielu spośród tych, którzy opuszczali pieczę – jak Aleksander i Dymitr – przed wejściem w życie nowelizacji. Po drugie z tego powodu, że ewakuowane do Polski ukraińskie domy dziecka, z których odchodzą co jakiś czas tacy jak oni, przypominają warownie: ukraińska kadra trzyma często podopiecznych w izolacji, nie uczą się oni w polskich szkołach, nie integrują z polskim otoczeniem, nie wiedzą więc też o przysługującym im wsparciu. – Na wyjściu dostaliśmy ubrania i telefony. Tylko tyle – powtarzają Aleksander i Dymitr.

GRAFSTOCK / STOCK.ADOBE.COM

### Do czego wracać?

W dodatku tacy jak oni, z trudnymi życiorysami, bywają – o czym opowiada mi Marta Rutkiewicz – niezdolni do samodzielności. Większość lata temu przeżyła dramat rodzinny, w efekcie czego trafili w Ukrainie do domu dziecka. Tam, w systemie przypominającym nadal polski głęboki PRL, wielu doświadczyło znowu przemocy. Wreszcie: ponad dwa lata temu przeżyli wybuch wojny i nagłą ewakuację do obcego kraju.

– Większość z nich, osiągając pełnoletniość, nie ma kompletnie nikogo – opowiada Marta Rutkiewicz. – Na przykład dziewczyna, którą się opiekuję, ma w Ukrainie matkę, ale w więzieniu. Jest jeszcze wujek, alkoholik, bo babcia niedawno zmarła. Do kogo i do czego ma wracać, skoro pochodzi z zagrożonego ciągle Zaporoża? – pyta Rutkiewicz.

I dodaje: – Dla urzędników i postronnych obserwatorów oni są często „młodymi ludźmi, którzy mają dwie zdrowe ręce do pracy". Nic bardziej mylnego. Polski nastolatek z rodziny zastępczej albo domu dziecka ma program usamodzielniania, realizowany na długo przed osiągnięciem pełnoletniości. A ci chłopcy w ogóle o istnieniu takiego czegoś nie wiedzieli. Poszli do pracy, z której zrezygnowali po kilkunastu dniach, więc nie dostali nawet wypłaty, a z mieszkania zostali wyrzuceni. Z pomocy społecznej dostałam informację, że zostali objęci wsparciem, np. w zakresie zakwaterowania i pośrednictwa pracy, ale „nie przyjęli zasad świadczonej pomocy". I być może tak było: oni są skrajnie niezaradni, trzeba im nawet wysyłać trasę dojazdu do organizacji, która udzieli im pomocy. Gdy stracili zatrudnienie, wylądowali na ulicy. Trafili do miejsca zbiorowego zakwaterowania ↦

Ukraińców, ale gdy nie mieli czym za to miejsce zapłacić, stracili dach nad głową po raz drugi. Nie wszystko rozumieją po polsku, w dodatku nie mają żadnych dokumentów poświadczających np. fakt, że nie dostają żadnych alimentów albo że skończyli szkołę – wszystko zostało w Ukrainie. Pozostaje pomoc dziecięcych organizacji pozarządowych, tyle że one skupiają się na osobach niepełnoletnich...

Nie wszyscy 18-latkowie wychodzący z ukraińskich domów dziecka podzielają los Dymitra i Aleksandra. Siergiej (imię na jego prośbę zmienione), z którym kontaktuje mnie Marta Rutkiewicz, opowiada mi o pracy w fabryce, która od kilku miesięcy pozwala mu przeżyć od pierwszego do pierwszego. – Jestem zadowolony, wypłata starcza mi na wszystko, więc nie korzystam z pomocy, bo jej nie potrzebuję – opowiada.

Ale przypadek Siergieja to raczej wyjątek potwierdzający smutną regułę.

### Nagle ktoś otwiera klatkę

Przyczyną tego zjawiska, mówią eksperci, jest poważny błąd popełniony po lutym 2022 roku: akceptowanie sytuacji, że na terenie Polski są ukraińskie dzieci „drugiej kategorii". To głównie te z uchodźczych placówek, które – na życzenie strony ukraińskiej – nie zostały włączone do polskiego systemu pieczy zastępczej, są więc w zasadzie poza naszą kontrolą.

Najbardziej spektakularnym pokłosiem tej sytuacji są doniesienia o przemocy w tych domach: wychodzi ona na jaw wtedy, gdy ktoś zgłosi ją organom ścigania lub mediom. Pierwszy taki przypadek, dotyczący wspomnianego Zaporoskiego Regionalnego Centrum Rehabilitacji Społecznej i Psychologicznej, opisaliśmy w „Tygodniku" w kwietniu. Po tym, jak prokuratura postawiła kierowniczce placówki zarzuty, 13 grudnia odbędzie się przeciw niej pierwsza rozprawa karna. Kolejny przypadek, będący na etapie dochodzenia prokuratorskiego w Częstochowie, opisała we wrześniu Wirtualna Polska. Jest i przypadek trzeci: jak dowiaduje się „Tygodnik", prokuratura okręgowa w Szczecinie prowadzi dochodzenie w sprawie podejrzenia przemocy w placówce stacjonującej w Moryniu.

> Eksperci od pieczy zastępczej ostrzegają, że 18-latkowie z placówek będą narażeni na patologie: **przemoc, uzależnienia, prostytucję.**

Polscy i ukraińscy eksperci od pieczy zastępczej obawiają się, że 18-latkowie wychodzący z takich placówek będą podwójnie narażeni na patologie: przemoc, uzależnienia, prostytucję. Jak mówi Marta Rutkiewicz, już słyszała o pierwszych przypadkach dziewczyn, które wstępują w związki z dużo starszymi Polakami – w zamian za utrzymanie. Sama, pomagając zagrożonym nastolatkom, finansuje im zakupy, prosząc o każdorazowe przesyłanie paragonów, by mieć kontrolę nad tym, co nabywają. – Dzieci w trudnej sytuacji, w kryzysach, mogą łatwo popadać w uzależnienia – uzasadnia.

– Są na rozdrożu: nie podlegają do końca ani polskiemu prawu, ani ukraińskiemu – dodaje Marija Niewiarowska, Ukrainka, wiceprezeska działającej w Polsce Fundacji YOUkraine, która pomaga uchodźczym dzieciom. – Niby istnieje teraz obowiązek szkolny, ale nie wszyscy podopieczni placówek ten obowiązek spełniają. Część z nich, która kończy tu 18 lat, jest zmuszana do powrotu na Ukrainę. Ci, którzy zostają, będą zagrożeni różnymi patologiami. Byli wiele lat w zamknięciu, mówią często tylko po rosyjsku, bo przyjechali ze wschodniej Ukrainy. Nagle ktoś otwiera im „klatkę", z której wyfruwają, ale kompletnie nie wiedzą, co z tą wolnością zrobić. Znam przypadek chłopaka, ukraińskiego nastolatka, który sprzedał swoją kartę bankomatową, bo ktoś chciał przy jej pomocy prać brudne pieniądze. Teraz tym chłopakiem interesuje się prokuratura.

### Rachunek zapłacimy wszyscy

– Rozmawiałam z wychowawczynią pewnej ukraińskiej placówki. Powiedziała z dumą, że jedna z wychowanek się „usamodzielniła", wstępując w związek z dużo starszym panem – opowiada z kolei Joanna Luberadzka-Gruca. Pytana, co Polska może zrobić, by uniknąć w przyszłości społecznych kosztów w postaci problemów psychicznych i życiowych młodych Ukraińców, odpowiada: – Z punktu widzenia interesu dzieci, jedynym wyjściem jest włączenie ich wszystkich do polskiego systemu pieczy zastępczej. Jest on w kryzysie, ale pojawienie się w nim tysiąca nowych dzieci nie zrobi nam wielkiej różnicy, a dzieciom może pomóc. Nie możemy dłużej akceptować sytuacji, że na naszym terenie są „dzieci niczyje", zostawione same sobie. Jeśli nic z tym nie zrobimy, rachunek zapłacą i ci młodzi ludzie, i Polska jako państwo.

Polskiemu rządowi wystarczyło determinacji (PiS tę sprawę lekceważył), by wziąć odpowiedzialność za kilkadziesiąt tysięcy ukraińskich dzieci pozostających poza naszym systemem edukacji – i wprowadził dla nich restrykcyjny obowiązek szkolny. Za tysiąc „dzieci niczyich" z ukraińskich placówek nikt odpowiedzialności wziąć nie chce.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

**ZIELONA GÓRA,** wtorek 3 grudnia godz. 17.00
spotkanie z lek. med. Krystyną Matecką-Ryngie,
„Ekologia integralna. Wspólnoty Laudato Si'",
cykl: wieczory franciszkańskie, sala katechetyczna
w klasztorze Franciszkanów (ul. Kilińskiego 5)

**BIELSKO-BIAŁA,** czwartek 5 grudnia godz. 17.00
spotkanie autorskie ze Zbigniewem Rokitą
wokół książki „Odrzania",
prowadzenie: Janina Rogolińska-Pieronek,
Willa Sixta, (ul. Adama Mickiewicza 24)

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

TOMASZ

# Stawiszyński: *Ministerstwo spisków*

Wiele jeszcze zapewne przed nami książek, analiz i syntez poświęconych Donaldowi Trumpowi, jego triumfalnemu zwycięstwu, temu, co z tego wynika, co nie wynika, a także co wynikać by mogło (albo też wręcz przeciwnie). Już zresztą mamy wysyp podobnych publikacji, zwłaszcza po stronie prezydentowi-elektowi nieprzychylnej. A i niniejszy felieton (tak jak poprzedni) jakoś się w ten nurt wpisuje. Nie po to wracam jednak do tematu, żeby znów rozważać wynik amerykańskich wyborów, lecz żeby zwrócić uwagę na pewną ważną ich konsekwencję. Wprawdzie nie umknęła ona całkiem uwadze dużych mediów, ale wydaje się, że niewystarczająco zrozumiały one jej faktyczne znaczenie. Mam na myśli nominację Roberta F. Kennedy'ego Jr. na stanowisko sekretarza Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej, amerykańskiego odpowiednika ministra zdrowia. Nominację jeszcze formalnie niedokonaną, ale zapowiedzianą w sposób bardzo zdecydowany.

Podkreślam: nie wolno nam tego przegapić i zlekceważyć, jest to bowiem zdarzenie intensywnie symboliczne. Swoiste ukoronowanie procesu, o którym nieraz już na tych łamach pisałem, a mianowicie przenikania narracji spiskowych do głównego nurtu życia politycznego i medialnego. Dlaczego ukoronowanie? Dotąd proces ów sprowadzał się do coraz częstszego występowania przekonań o ściśle spiskowej strukturze („im bardziej na coś nie ma dowodów, tym bardziej jest to prawda") na łamach różnych, wydawałoby się, dotąd poważnych portali czy gazet. Także w Polsce posługiwanie się kontrfaktycznymi, niewywrotnymi i naciąganymi do granic konfabulacjami stało się w ostatnich latach poręcznym narzędziem walki z politycznym przeciwnikiem.

Wiadomo: jest to jeden z wielu opłakanych skutków polaryzacji. Ale sprawa Kennedy'ego Jr. wyzwala w tym spektrum zupełnie nową jakość. Jeśli ta nominacja faktycznie dojdzie do skutku, będzie to bodaj pierwszy w najnowszej historii przypadek, kiedy tak poważne i kluczowe dla funkcjonowania państwa stanowisko obejmie jawny zwolennik teorii spiskowych. I to bynajmniej nie wyłącznie tych, o których rozpisywano się na wieść o nowym rozdziale jego kariery zawodowej.

Owszem, RFK Jr. jest gorącym orędownikiem antyszczepionkowych mitologii, jednym z najaktywniejszych wrogów szczepień na covid i nie tylko. Owszem, głosi niepoparte żadnymi dowodami poglądy dotyczące domniemanej szkodliwości technologii WiFi i 5G. Ale to nie wszystko. Żeby w pełni zrozumieć, z jakiego typu umysłowością mamy do czynienia, trzeba sięgnąć po bestsellerową książkę Kennedy'ego Jr. pod wymownym tytułem „Prawdziwy Anthony Fauci".

Polskie wydanie tego hitu liczy sobie równo 830 stron, a ukazało się nakładem oficyny Illuminatio, od lat rozpylającej u nas najbardziej szaleńcze spiskowe fantazmaty (jej flagowym autorem jest m.in. David Icke, główny spec od reptilian). Tytułowy bohater był od 1984 do 2022 r. dyrektorem amerykańskiego Narodowego Instytutu Alergii i Chorób Zakaźnych, a w czasie pandemii głównym medycznym doradcą Donalda Trumpa (2021-2022). Zdaniem autora Fauci uosabia wszystkie możliwe patologie rodzące się na styku Big Pharmy i państwowej opieki zdrowotnej. Stoi także za każdym bodaj spiskiem, których – jak wiadomo – mnóstwo się w tym obszarze kłębi. Zwłaszcza – czemu w książce poświęconych jest kilka rozdziałów – spiskiem mającym... ukryć realne przyczyny epidemii AIDS.

I chociaż RFK Jr. zarzeka się, że w rzekomym sporze o tę kwestię nie opowiada się po żadnej stronie, jego dzieło rozprzestrzenia jedną z najszkodliwszych teorii spiskowych, jakie tylko istnieją, a mianowicie AIDS-negacjonizm. W „Prawdziwym Anthonym Faucim" dostajemy szczegółową rekonstrukcję poglądów prof. Petera Duesberga, który od lat 80. poprzedniego stulecia głosi publicznie, że wirus HIV jest w istocie nieszkodliwy, a zespół nabytego niedoboru odporności bierze się ze złego stylu życia, deficytu witamin oraz – *last but not least* – z rekomendowanych kiedyś przez Fauciego leków antyretrowirusowych.

To jedna z najbardziej śmiercionośnych i mrocznych teorii spiskowych, ma bowiem konkretne efekty w postaci co najmniej kilkuset tysięcy ludzi zmarłych wskutek wiary w jej prawdziwość. Tymczasem wywody Duesberga, dawno zapomniane i zepchnięte na margines, w ostatnich latach – także za sprawą książki RFK Jr. – przeżywają, by tak rzec, drugą młodość.

Okoliczność, że już wkrótce osobą odpowiedzialną za opiekę i politykę zdrowotną w jednym z największych światowych mocarstw będzie człowiek, który nie tylko wyznaje, ale i propaguje tego typu przekonania – otwiera zupełnie nowy rozdział w historii współczesnego Zachodu. Gdzie nas to doprowadzi? Nad jakie przepaście i granie? O tym się, niestety, już wkrótce przekonamy. No, chyba że jeszcze przed objęciem stanowiska RFK Jr. żywiołowo pokłóci się z Trumpem. Jest na to spora szansa, ostatecznie nic tak nie dzieli i nie konfliktuje, jak typowa dla spiskowego obrazu świata permanentna podejrzliwość. Nie da się wszak wykluczyć, że Trump jest tak naprawdę głęboko zakonspirowanym agentem Big Pharmy albo innej masońskiej loży. A że otwarcie ich krytykuje i używa jako straszaka? Cóż, to co najwyżej pokazuje, jak efektywny jest jego kamuflaż (ten tryb argumentacji brzmi znajomo, nieprawdaż?). ©

**Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności" i „Reguł na czas chaosu".**

WIARA

# RÓWNANIE EMOCJI

**MAŁGORZATA LEBDA, POETKA:**

Miłość do siebie oznacza,
że nie muszę być perfekcjonistką, zadowalać każdej osoby.
Słucham swojej intuicji.

**KATARZYNA KUBISIOWSKA: Odbierając w roku 2021 Nagrodę im. Wisławy Szymborskiej za tom poezji „Mer de Glace", na koniec przemówienia zaapelowałaś: „kochajmy się". Co właściwie miałaś na myśli?**

**MAŁGORZATA LEBDA:** W czasie różnego rodzaju kryzysów, w jakich żyjemy – klimatycznego, wojennego, migracyjnego, empatia wobec drugiego człowieka, empatia, którą wiążę z miłością, z kochaniem, wydaje mi się konieczna. Za nią idzie czujność i troska o to, co się dzieje z innymi ludźmi, ale nie tylko z nimi, bo i z całą resztą natury: zwierzętami, rzekami, lasami.

**Z naturą, którą zdewastowaliśmy, a teraz jesteśmy tym przerażeni?**

Strategie radzenia sobie z tym są różne, jak chociażby te dalekie od siebie: denializm, czyli zaprzeczanie faktom, i aktywizm, czyli konfrontacja i próba zmiany stanu rzeczy. Wielu z nas dotyka solastalgia – depresja klimatyczna czy żałoba klimatyczna. Żeby przetrwać, wypracowałam pewne strategie radzenia sobie z tym, takie, które pomagają mi widzieć się jako osobę sprawczą: biorę udział w wyborach, jestem weganką, w swoich pracach – literackiej, naukowej – nie unikam tematów związanych z kryzysem klimatycznym.

Wiele w myśleniu o miejscu człowieka w kryzysie klimatycznym zmieniła przygoda „Czytanie wody: Wisła", czyli mój bieg wzdłuż najdłuższej z polskich rzek, który realizowałam wraz z artystą wizualnym Rafałem Siderskim. Bycie przy rzece na ponad 1100 kilometrów w czasie niecałego miesiąca sprawiło, że myślę o rzekach jak o bliskich i moja troska o nie przybiera taki wymiar również.

**Tak wiele spraw da się objąć jedną ludzką miłością?**

Moje doświadczenia podpowiadają mi, że jeśli kocha się kogoś lub coś, to chce się dla niego jak najlepiej, tak jakby myślało się o sobie. A nawet, ileż razy tak jest, że chce się nawet lepiej niż dla siebie. Apel wypowiedziany, gdy odbierałam nagrodę, był też świadomym nawiązaniem do jej patronki. Wisława Szymborska swoją poezją wyrażała głęboką empatię i ciekawość wobec całego świata.

**Świata, który zmienia się w błyskawicznym tempie, trudno za tym nadążyć.**

Inwazja Rosji wobec Ukrainy wielu nam kazała na nowo przemyśleć, czym jest człowieczeństwo. Do czego jesteśmy zdolni w sytuacjach kryzysowych. Jak w swojej istocie bywamy źli i brutalni. Poruszyło mnie hasło, na które natrafiłam na początku agresji Rosji, skierowane do żołnierzy rosyjskich: „ściągnij mundur, przeproś matkę".

Te proste słowa przypominają, że każdy z tych walczących mężczyzn ma matkę albo siostrę, albo dziewczynę, albo żonę... A na froncie staje się tym, który potrafi zabić czyjąś matkę, skrzywdzić czyjąś siostrę, zgwałcić czyjąś dziewczynę, upokorzyć czyjąś żonę.

↦

*Małgorzata Lebda.*
*Beskid Sądecki, maj 2024 r.*

RAFAŁ SIDERSKI

## Boskie cnoty na Adwent

**WIARA, NADZIEJA, MIŁOŚĆ** – łatwo wypowiada się te słowa. Gdy się to robi zbyt łatwo i bezrefleksyjnie, rozmywa się ich głębokie i praktyczne znaczenie dla naszego życia. Dlatego w Adwencie postanowiliśmy się zastanowić, czym są wiara, nadzieja i miłość. Nie będziemy jednak teoretyzować, chcemy spróbować raczej wytropić je w codziennym życiu. Bo choć wiedza o wierze, nadziei i miłości jest ważna, to nie ona przede wszystkim sprawia, że kochamy, spodziewamy się dobrych rzeczy czy wierzymy w przyszłość. A jeszcze bardziej nie z powodu teorii chcemy bardziej kochać, mocniej ufać i mądrzej wierzyć. W takim razie, co to sprawia?

Tradycja Kościoła katolickiego wypracowała bogatą teorię na temat wiary, nadziei i miłości. Dostrzega w nich przede wszystkim cnoty, czyli uzdolnienia do dobrego życia. Ale uzdolnienia szczególne, bo ich źródło – jak głosi teologia – znajduje się w samym Bogu. To On nas uzdalnia, żebyśmy wierzyli, mieli nadzieję i kochali. Dlatego cnoty te nazywa się Boskimi (teologalnymi). I dlatego też stanowią one fundament całego duchowego życia. Teologia przekonuje wręcz, że cnoty teologalne wszczepiają nas w życie samego Boga: wiara nam Go ukazuje, nadzieja przybliża, a miłość z Nim nas łączy. Tyle wzniosła teoria. Powróćmy do życia. Rozmowy zaczynamy od razu od miłości, czyli rzeczywistości, która – jak przekonuje św. Paweł w Hymnie o miłości – jedyna nie przeminie.

©℗ ASK

↦ **A człowieczeństwo w warunkach pokojowych?**

Czy nie masz wrażenia, że za mało w nas życzliwości? Czy to jest tramwaj, w którym pasażerowie patrzą na siebie złym okiem, czy urząd, w którym pan w okienku wydaje się, że nie chce pomóc, a raczej szuka zwady, czy kolejka przed czymkolwiek. Mogę tylko przypuszczać, że brak uprzejmości, empatii, wynika z tego, że ludzie sami tego na co dzień nie doświadczają. Pewnie trudno sobie wyobrazić, że tak drobny gest jak uśmiech czy zrobienie komuś miejsca może przynieść coś dobrego.

Do tego dochodzi pośpiech, pęd. Pogoń za sukcesem, za pieniędzmi, a czasem przecież tylko po to, żeby związać koniec z końcem. Chodzimy jak w zegarku, dobę mamy zaplanowaną co do minuty. Nie mamy czasu, a może bardziej gotowości na to, by zobaczyć, że ktoś jest w potrzebie. Ostatnio na dworcu zapytałam starszą panią, czy pomóc jej z walizkami. W pierwszym odruchu przestraszyła się, może nawet pomyślała, że chcę ją okraść, choć raczej nie mam łobuzerskiego wyglądu. Musiała trochę pomyśleć, zanim dotarło do niej, że to jest propozycja pokojowa i bezinteresowna. Nie chcę mówić z pozycji osoby oświeconej, mądrej, zawsze empatycznej. Daleko mi do tego.

**Dobrze, że to powiedziałaś.**

Sama żyję pod różnymi presjami, w tym przez długi czas żyłam pod presją zarabiania na własny kąt do życia, a z domu wyszłam z wielkimi nadziejami pokładanymi we mnie przez rodziców, za czym szły ambicje, które nie pozwalają odpoczywać. Choć przyszedł moment, kiedy zrozumiałam, że nie potrzebuję dużo.

> Chodzimy jak w zegarku, dobę mamy zaplanowaną co do minuty. Nie mamy czasu, a może bardziej **gotowości, by zobaczyć, że ktoś jest w potrzebie.**

**Kiedy?**

W pandemii. Ale zanim o nim powiem, muszę podkreślić jedną ważną rzecz: moim rodzicom bardzo zależało na tym, bym zdobyła wykształcenie. I bym była kimś, jak to nazywali. W takim sensie, żebym zdobyła wykształcenie i nie musiała ciężko harować na gospodarce. Tata nawet nie skończył szkoły podstawowej. Rodzice całe życie pracowali na roli. Nasza rodzina utrzymywała się z pszczół, krów, upraw. Zarówno mamie, jak i tacie zależało, byśmy z moją siostrą bliźniaczką wyjechały ze wsi do miasta, byśmy nie powtórzyły ich ciężkiego losu. Postanowili, że nasz brat przejmie po nich gospodarstwo, że on zostaje na wsi.

W pewnym momencie uznałam narrację rodziców, ich pomysł na moje życie. Choć to było jakoś wbrew mnie: chciałam mieszkać na wsi. Ale w Krakowie skończyłam studia, obroniłam magisterkę, potem doktorat. Zostałam na uczelni, prowadziłam zajęcia. W pewnym momencie dotarło do mnie, że moja praca przypomina tryby korporacyjne, że zamiast kontaktu ze studentami jestem zagrzebana po uszy w papierach i moja romantyczna wizja pracy dydaktycznej nie może się ziścić. W pracy nie było przyjaznej atmosfery, ale za to miałam etat oraz ubezpieczenie. Nie starczało czasu na nic poza uczelnią. Nie mogłam zająć się pisaniem, a bez niego trudno mi istnieć. Moja wyobraźnia ograniczała się tylko do tego, co dzisiaj zjem na obiad. Któregoś dnia zrobiłam na kartce rozpiskę, czy z zaoszczędzonych pieniędzy jestem w stanie przeżyć rok. Po to, żeby pisać. Podjęłam decyzję: zwolniłam się z uczelni. To mi chyba uratowało życie.

**Aż tak?**

To był czas depresji. W moim życiu osobistym odbywały się zmiany: rozwodziłam się z mężem, którego kochałam, a przez którego jednocześnie cierpiałam ponad dekadę. Był himalaistą, i kiedy wyjeżdżał na wielomiesięczne wyprawy, to były to momenty, kiedy przestawałam żyć własnym życiem. A żyłam tylko tym, czy on żyje. Związek z takim człowiekiem jest potężnie inspirujący, a przy tym też wyniszczający. To jest jak życie z żołnierzem podczas wojny: wieczny strach, czy on wróci z frontu. I jeśli mówimy o miłości, to jej częścią jest także i gotowość na to, że potrafimy kogoś puścić i każdy udaje się w swoją stronę. Bywa, że jest to najpiękniejsze, co ludzie mogą sobie dać.

**Szlachetne, ale w praktyce wyjątkowo trudne.**

## Opowiadanie: tym napędzamy życie

**WSZYSTKIE, WYDAWANE** od dekady książki Małgorzaty Lebdy zapraszają czytelniczki i czytelników w Beskid Sądecki, do tamtejszych gór, lasów, rzek i pól – w rodzinne strony autorki. Ważnymi punktami na mapie jej literackiego uniwersum są ule, którymi opiekuje się ojciec (w tomikach poetyckich) lub dziadek (w powieści), a także mieszcząca się nieopodal domu rzeźnia, w której umierają – całkiem świadome tego procesu – zwierzęta.
Mamy w książkach Lebdy silne siostrzeńskie relacje, wyraźne portrety bliskich i sąsiadów oraz próby przywołania obrazów, dźwięków i zapachów ze spędzanego na wsi, coraz bardziej odległego dzieciństwa. Ważnym wątkiem są choroby nieustannie toczące ludzi i zwierzęta, ale też odradzające się uparcie życie.
Życie zresztą wskrzeszane jest tu tak długo, jak długo o nim opowiadamy. A do opowiadania konieczna jest miłość – to ona wpuszcza do tekstu regenerujące światło. Miłość właśnie symbolizuje w debiutanckiej prozie Lebdy postać Ann – najbardziej zagadkowa w całym uniwersum pisarki, będąca jednocześnie lustrem opowieści, ale też wskazująca drzwiczki do warsztatu pisarskiego autorki.
Lustro łapie świat i w nieskończoność go odbija, niczego naprawdę nie pomnażając. Ta jego zdolność zapewnia ucieczkę z porządku życia i śmierci. Przynajmniej na czas lektury.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

RAFAŁ SIDERSKI

**MAŁGORZATA LEBDA** (ur. 1985 r.) jest poetką, autorką tomów poetyckich „Matecznik" (Nagroda im. Stanisława Barańczaka 2017), „Sny uckermärkerów" (Nagroda Literacka Gdynia 2019), i „Mer de Glace" (Nagroda im. Wisławy Szymborskiej 2022). Dorastała w beskidzkiej wsi Żeleźnikowa Wielka. Doktor nauk humanistycznych, ultramaratonka. We wrześniu 2021 r. zrealizowała projekt „Czytanie wody: Wisła": wzdłuż najdłuższej polskiej rzeki przebiegła 1113 km. W roku 2023 ukazała się jej pierwsza powieść pt. „Łakome", za którą była nominowana m.in. do Nagrody Conrada.

Czasem to też sposób na uratowanie samej siebie. Mój mąż realizował swoje pasje górskie w stu procentach. Nie oglądał się na nic i na nikogo. Szedł za głosem serca, sama nie mogłam, moją rolą było trzymanie się rzeczywistości i stworzenie domu, do którego może zawsze wrócić. Wyjście z tego kręgu myślenia, danie sobie wolności, było dla mnie budujące. Dostałam drugą szansę, w której pisanie stało się istotne, nie było umniejszane, bagatelizowane przez otoczenie. Jasny czas poprzedzał ten ciemny, rozpięty pomiędzy wieloma niepokojami. Co istotne, zawsze jasnym punktem była moja siostra bliźniaczka.

**W „Łakomych" jest ona prototypem powieściowej Ann.**

To jest dla mnie wielkie szczęście, że przy narodzinach dostałam swoją najlepszą przyjaciółkę, jestem wdzięczna za to, że coś takiego mi się przytrafiło, bowiem przez kolejnych 18 lat dzień w dzień była koło mnie Basia. Siostra urodziła się pierwsza i ważyła prawie cztery razy więcej niż ja.

Moja mama nie miała pojęcia, że jest w bliźniaczej ciąży – w połowie lat 80. na wsi nie chodziło się za często do lekarza. A mama z coraz większym brzuchem pracowała na gospodarstwie do ostatnich miesięcy i do szpitala trafiła na początku dziewiątego miesiąca tylko dlatego, że krowa kopnęła ją w trakcie dojenia. Trzeba było błyskawicznie wykonać cesarskie cięcie.

**Powiedz więcej o siostrze.**

Odkąd pamiętam, byłyśmy dla siebie wsparciem. Choć jesteśmy bardzo różne. Ja byłam dzieckiem pola, łąk i potoków, nastawionym na najniebezpieczniejsze okoliczności zabawy. Natomiast siostra lubiła czytać książki, rozmyślać i siedzieć w cieple. Ja szukałam ryzyka, ona bezpieczeństwa. Trudno ją było namówić na to, by towarzyszyła mi w eskapadach. Początkowo myślałam, że patrzy na mnie jak na dzikuskę. Trochę czasu upłynęło zanim zrozumiałam, że Basia ma inny temperament i potrzeby. To były dla mnie pierwsze ćwiczenia z empatii: nauka szacunku wobec drugiego. Dziś łączy nas wyjątkowa więź: Basia natychmiast wyczuwa, co się ze mną dzieje. W tym dla mnie ciemnym czasie, o którym opowiadałam, potrafiła odezwać się w momentach granicznych, kiedy sama wiedziałam, że potrzebuję pomocy, natomiast nie miałam siły, by o tę pomoc prosić.

**Siostrzana intuicja?**

Jej trzecie oko? O tym, jak wzmacniająca jest nasza miłość, przekonałam się, kiedy zmarli nasi rodzice – najpierw mama, a za pół roku tata. Basia wtedy powiedziała: – Małgosia, teraz musimy sobie zastąpić rodziców. I na pewien sposób Basia mi matkuje, ale w taki czuły, nieinwazyjny sposób.

**W zakres miłości wchodzi opieka nad chorującą mamą?**

Kiedy dowiedziałam się, że mama ma nowotwór w zaawansowanym stadium, zostawiłam Kraków i wróciłam do rodzinnego domu, by się nią opiekować. A Basia była osobą wspierającą, pracującą w mieście, ale zawsze pojawiającą się w ważnych momentach. Nie miałam wtedy pojęcia, ile to wszystko potrwa – tydzień, miesiąc, jeden rok, dziesięć lat? Ale zupełnie nie miało to dla mnie znaczenia. Towarzyszyłam mamie aż do śmierci. Moje decyzja była sprowokowana właśnie miłością, nie wyobrażałam sobie, bym mogła zrobić inaczej. Bycie blisko niej dawało mi poczucie jakiejkolwiek sprawczości, tego, że mogę coś jeszcze dla niej zrobić.

**Odwzajemniona miłość dziecka?**

W rodzicielstwie rodzice przypominali dzikie zwierzęta opiekujące się swoimi małymi. Słuchali instynktu, chronili nas. Mama właściwie całe życie poświęciła wychowywaniu dzieci. Jej pracą był dom, pole, gospodarstwo. Była to jedna z najciężej pracujących kobiet, jakie spotkałam. I ona to wszystko robiła dla nas, byśmy mieli na podręczniki, nowe dżinsy, buty na zimę i byśmy mogli chodzić do dentysty. Czyniła to wielkim kosztem siebie, ↦

wielkich wyrzeczeń. Mama nigdy w życiu nie kupiła dla siebie nowych ubrań, wszystko, co miała, dostawała po siostrze. Uświadomiłam to sobie, kiedy po jej odejściu porządkowałam jej szafę.

**A miłość taty?**

Manifestowała się podobnie, jak ta w „Łakomych" miłość dziadka do babki: w praktycznych gestach przekładających się na to, że nam jako rodzinie jest lepiej. Czyli remont domu, instalacja ogrzewania... Kiedy z siostrą zaczynałyśmy pierwszą klasę, tata przygotował dla nas pokój, uznając, że dziewczynki muszą mieć swoje biurka, a na nich lampki, bo od teraz są prawdziwymi uczennicami.

**Ojcowska troskliwość?**

Ale to nie była wyłącznie sielanka... W moim domu czasami brakowało jedzenia, wiem, co to znaczy być głodną. Pamiętam lekcje wuefu, wstydziłam się na nich ćwiczyć, bowiem wydawało mi się, że każdy widzi moje wystające żebra. Najgorsze było leżenie na plecach, napełniałam wtedy brzuch powietrzem, żeby wyglądać na grubszą, najedzoną. Wiem, że to bardzo podejrzanie brzmi, kiedy mówi się o doświadczeniach głodu z końca XX wieku...

**No a sam ojciec?**

W naszym domu, jak w większości domów, pojawiał się alkohol. Zdarzały się momenty, kiedy on wygrywał z dziećmi. Takie doświadczenie stawiało mnie jako małą dziewczynkę w niepewności: czy jesteś wystarczająco dobrą córką? Kiedy ukochany tata jest pod wpływem, to widzisz go słabego, a nie jako głowę rodziny. Zapewne tata sięgał do kieliszka po to, by poradzić sobie ze wszystkimi troskami, z którymi borykał się na co dzień. Co nie zmienia postaci rzeczy, że budził we mnie strach i złość. W książce poetyckiej „Matecznik" umieściłam wiersz „głosy: fragment" – przywołałam tam sytuację, która miała miejsce w pewną styczniową noc. Tata poszedł odwiedzić kuzynów, wiedziałam, że te wizyty kończą się pijaństwem. Byłam niespokojna, nie mogłam zasnąć, koło drugiej wyszłam na werandę. Psy szczekały, księżyc świecił, była dobra widoczność. W okolicach studni położonej 100 metrów od domu dostrzegałam, że coś leży na śniegu. Założyłam gumiaki i w piżamie pobiegałam do tego miejsca. A tam spał tata. Zbudziłam wszystkich domowników, przyprowadziliśmy go do łóżka, rozebraliśmy go z mokrych ubrań. To był moment, kiedy pomyślałam, że go nienawidzę. Że mogliśmy go stracić, że mógł umrzeć, zamarznąć. Dla mnie, wówczas dorastającej dziewczyny, dla której ojciec dotąd był ideałem, to był potworny cios.

> Dbam o to, by mojej intuicji nie zagłuszał szum intratnych propozycji, za którymi idą pieniądze, **ale traci się przy tym spokój, skupienie i wyciszenie.**

**Coś to między wami zmieniło?**

Straciłam do niego zaufanie, byłam podejrzliwa, jak pies, który został przez swojego pana kopnięty lub uderzony.

**Miłość między rodzicami?**

Opierała się na szacunku i niepisanej umowie współpracy. Świetnie działali w ramach prowadzenia gospodarstwa. Miałam wrażenie, że komunikują się bez słów, mało rozmawiali. Nie widziałam między nimi czułej namiętności, może dlatego długo musiałam się jej uczyć.

**Długo też musiałaś uczyć się miłości do samej siebie?**

Przez wiele lat nie miałam czasu, żeby się nad tym w ogóle zastanowić. Pomogło mi na pewno bieganie, które sprawiło, że zaczęłam dostrzegać siebie fizycznie, zaczęłam myśleć o sobie jako o osobie silnej, sprawczej. Dla mnie miłość do siebie oznacza też troskę o rzeczy zupełnie podstawowe: spanie, jedzenie... I o rzeczy większe: wychodzenie z toksycznych relacji, zmiana pracy, kiedy ta jest opresyjna. Wiem też, że już nie muszę być perfekcjonistką, zadowalać każdej osoby. Słucham swojej intuicji, dbam o to, by jej nie zagłuszał szum intratnych propozycji, za którymi idą pieniądze, ale traci się przy tym spokój, skupienie i wyciszenie. Dbam też o nasz wiejski dom – relacje z tym miejscem oraz ze zwierzętami.

**Psem i kotem?**

To są relacje, które trwają od momentu, kiedy dwa lata temu wprowadziliśmy się z Rafałem, moim partnerem, do domu w Beskidzie Sądeckim. Zastaliśmy w nim dwóch mieszkańców: kota Klakiera i psa Dunaja. Wspaniale było zamieszkać w domu już zamieszkałym przez kogoś. Klakier od razu pokazał nam, że to my mieszkamy u kota, a nie on u nas. Wielce to inteligentny, dostojny i czuły zwierz.

**A Dunaj?**

Z żadnym innym psem nie miałam tak intensywnej i głębokiej relacji. Dunaj jest tutaj dla nas przewodnikiem, który pokazuje różne szlaki i właśnie te bardziej zwierzęce niż ludzkie. Kiedyś w czasie treningu nie pobiegłam stałą trasą, tylko ruszyłam za Dunajem, który doprowadził mnie do cudownego starego sadu leżącego pośrodku pasma Jaworzyny Krynickiej. Nazwałam to miejsce na cześć jego odkrywcy Dunajową Polaną. Chciałabym mieć go zawsze blisko. Prawdziwość uczucia da się zmierzyć dla mnie intensywnością tęsknoty za podmiotem miłości. I nie będzie przesadzone, jak powiem, że tęsknię za Dunajem, tak jak tęsknię za siostrą, Rafałem czy nawet rodzicami, których od ponad dekady już nie ma. Równam te emocje. Miłość znaczy miłość.

**Na co jeszcze czekasz w tej miłości?**

Na pokój, na zwycięstwo Ukrainy. Czekam też na duży śnieg, który uniemożliwi mi wyjazd z domu w Paśmie Jaworzyny Krynickiej, najlepiej tak przez miesiąc albo i dwa. I pozwoli mi być mocniej w pisaniu i z tym miejscem, które mogę nazwać – nareszcie – domem.

©℗ Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

RDC POLSKIE RADIO
**DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"** co tydzień są gośćmi Roberta Łuchniaka w Polskim Radiu RDC.
**Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl**
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
Płock 101,9 FM

BP KEP / MATERIAŁY PRASOWE

*Briefing prasowy po spotkaniu biskupów z skrzywdzonymi w Kościele. Od lewej: bp Artur Ważny, ks. Leszek Gęsiak, rzecznik prasowy KEP, abp Wojciech Polak, Robert Fidura i Jakub Pankowiak, Jasna Góra, 19 listopada 2024 r.*

# Z czym przyszli biskupi

ANNA GOC

**Uczestnicy przygotowywanego od kilku miesięcy spotkania osób skrzywdzonych wykorzystaniem seksualnym z biskupami nazwali je historycznym. Czy takie było?**

Na pewno było pierwsze w takim gronie. Zamknięte dla mediów spotkanie osób skrzywdzonych z biskupami odbyło się 19 listopada na Jasnej Górze, tuż po dwudniowych obradach zebrania plenarnego, a przed rekolekcjami Konferencji Episkopatu Polski.

### Uczestnicy

Skrzywdzonych reprezentowali Jakub Pankowiak, Robert Fidura i Tośka Szewczyk (pseudonim). Ich historie są publicznie znane.

Jakub Pankowiak jest bohaterem dokumentu braci Sekielskich „Zabawa w chowanego" z 2020 r. On i jego młodszy brat Bartłomiej byli wykorzystywani seksualnie przez ks. Arkadiusza H. W 1996 r., gdy ich ojciec dostał posadę organisty w pleszewskiej parafii, rodzina przeprowadziła się do trzypokojowego mieszkania na plebanii. Właśnie tam przychodził Arkadiusz H., zabierał jednego z braci, zamykał się z nim w pokoju i krzywdził. Jakub miał wtedy 12 lat, Bartłomiej – 7. W domu byli rodzice, pozostałe rodzeństwo – trzeci, ciężko chorujący brat i siostra. Bracia nie wiedzieli, że ksiądz molestuje ich obu, rodzice dowiedzieli się o tym, gdy synowie byli już dorośli.

„Moje życie jest po prostu przegrane" – mówił Jakub przed kamerą o swoich myślach, które miał jeszcze wiele lat po tamtych wydarzeniach.

Bartłomiej Pankowiak, którego sprawa nie uległa przedawnieniu, zgłosił ją prokuraturze. W maju 2022 r. sąd uznał księdza H. winnym, a diecezji kaliskiej nakazał wypłacenie trzystu tysięcy złotych odszkodowania.

Osób skrzywdzonych przez księdza H., jak udowodnili dziennikarze, było więcej. Bp Edward Janiak, ordynariusz diecezji kaliskiej, stracił stanowisko, został też ukarany przez Stolicę Apostolską za zaniedbania wpłatą na rzecz Fundacji Świętego Józefa i nakazem zamieszkania poza swoją diecezją.

Robert Fidura po raz pierwszy opowiedział swoją historię pod pseudonimem Wiktor Porycki w rozmowie dla Polsat News w 2018 r., a rok później w opublikowanym na portalu „Więź" tekście „Niestety mam pamięć. Moja krzywda i moje postulaty do biskupów". Miał czternaście lat, był ministrantem. Ksiądz, który go molestował, próbował najpierw zdobyć jego przyjaźń i zaufanie. „Do dzisiaj czuję się po tym w pewien sposób brudny. Nie potrafię pozbyć się tego uczucia. Bardzo długo nie mówiłem o tym nikomu" – pisał.

„Nieumarli" – tak nazwał osoby skrzywdzone wykorzystaniem seksualnym. Został działaczem na ich rzecz w Kościele, współpracował m.in. z Fundacją Świętego Józefa, która wspiera skrzywdzonych.

Tośka Szewczyk opisała swoją historię w książce „Nie umarłam. Od krzywdy do wolności", która ukazała się rok temu. Mówi o samotności, o traumie i próbach wychodzenia z niej. Także o licznych nieprawidłowościach, na które natrafiła, gdy zgłaszała sprawę w kurii.

„W tej książce spotkasz się z cierpieniem. Podczas jej pisania, kiedy musiałam zetknąć się ze swoimi ranami (które po niemal dziesięciu latach terapii wciąż mają się całkiem nieźle), towarzyszyło mi mnóstwo niespodziewanych objawów: bóle mięśni, głowy, brzucha, nudności, zawroty głowy. Pojawiły się obniżony nastrój, lęk, myśli samobójcze, anhedonia. To było jedno z trudniejszych doświadczeń w moim życiu" – napisała we wstępie.

Na jasnogórskie spotkanie zaproszeni byli wszyscy biskupi. Przyszło ponad siedemdziesięciu, czyli prawie wszyscy. Z kilku źródeł wiemy, że na rozmowie ↦

↦ ze skrzywdzonymi nie było m.in. abp. Marka Jędraszewskiego.

### Inicjatywa

Postulat spotkania biskupów z przedstawicielami skrzywdzonych został sformułowany w liście, który grupa skrzywdzonych wysłała Radzie Stałej KEP 13 maja br. List był reakcją na opisaną przez „Tygodnik Powszechny" i „Więź" historię dwóch kobiet, które zgłosiły gdańskiej kurii sprawy wykorzystania seksualnego przez księdza. Z relacji kobiet, a także ustaleń dziennikarzy, wynika, że w działaniach przedstawicieli gdańskiej kurii były nieprawidłowości i zaniechania. Metropolitą gdańskim był wtedy abp Tadeusz Wojda, obecny przewodniczący KEP.

Inicjatorami listu i zawartych w nim postulatów byli Pankowiak, Fidura i Szewczyk. Podpisało się pod nim czterdzieści sześć osób. Domagali się m.in. zawieszenia abp. Wojdy w pełnieniu obowiązków przewodniczącego KEP do czasu wyjaśnienia stawianych mu zarzutów.

„Rada Stała KEP przyjęła oświadczenie abp. Tadeusza Wojdy SAC, że zwrócił się do Stolicy Apostolskiej z prośbą o zbadanie stawianych mu zarzutów zaniedbań" – napisali jej członkowie 11 czerwca w odpowiedzi na list skrzywdzonych.

– Czy abp Wojda był na spotkaniu z pokrzywdzonymi na Jasnej Górze? – pytam.

– Był, dlatego wróciliśmy do sprawy zawieszenia go w funkcji przewodniczącego Episkopatu – mówi Robert Fidura.

– Co odpowiedział?

– Wyjaśniał, na jakim etapie jest sprawa, teraz czekamy na oficjalne potwierdzenie tej informacji przez nuncjusza. Pytanie o przewodniczącego Episkopatu zadaliśmy dotąd nuncjuszowi dwukrotnie. Ostatnie pismo wysłaliśmy we wrześniu. Dotąd nie otrzymaliśmy odpowiedzi – dodaje Szewczyk. – Dlatego nasz postulat o zawieszenie abp. Wojdy na czas wyjaśnienia stawianych mu zarzutów jest aktualny.

### Postulaty: z czym przyszli skrzywdzeni

Skrzywdzeni przygotowywali się do tego spotkania od kilku miesięcy.
Pankowiak, Fidura i Szewczyk podzielili się pozostałymi postulatami i opracowywali je od czerwca. – Spotykaliśmy się regularnie raz lub dwa razy w tygodniu. Dołączali do nas psychoterapeuci, kanoniści i inne osoby zaangażowane w pomoc skrzywdzonym w Kościele – mówi Szewczyk. – Przeprowadziliśmy także ankietę wśród pozostałych sygnatariuszy listu, na podstawie której stworzyliśmy m.in. zestaw dobrych i złych praktyk, które powinni znać delegaci ds. ochrony dzieci i młodzieży, którzy przyjmują zgłoszenia od skrzywdzonych.

**Teraz czekamy na konkrety** – mówią po spotkaniu na Jasnej Górze z biskupami osoby skrzywdzone.

Powstanie takiej listy było jednym z postulatów zawartych w ich liście.

W czasie spotkania 19 listopada rozdali biskupom gotowy dokument. Wśród złych praktyk wymienili m.in. namawianie pokrzywdzonego do przyjazdu do kurii bez osoby towarzyszącej, organizację spotkania w przestrzeni wypełnionej symbolami religijnymi, pomimo zgłaszanych przez pokrzywdzonego trudności związanych z zespołem stresu pourazowego, sporządzanie protokołów deformujących zeznania osoby pokrzywdzonej, dopytywanie o orientację seksualną czy sugerowanie osobie pokrzywdzonej, że powinna poświęcić się dla dobra Kościoła. Lista powstała na podstawie prawdziwych doświadczeń kilkudziesięciu skrzywdzonych osób.

Do listy dołączyli przygotowany przez dziennikarza i kanonistę Tomasza Krzyżaka dokument, który zawiera informacje o prawach, które przysługują osobom skrzywdzonym.

Drugim postulatem, nad którym od dawna pracują skrzywdzeni, są zmiany w prawie kanonicznym – dzięki nim osoby zgłaszające swoją sprawę kurii uzyskałyby status strony we własnych sprawach, a nie, jak dotąd – świadka. Status strony oznaczałby, że mają prawo do informacji o przebiegu procesu, składania wniosków dowodowych czy odwołania się od decyzji.

Skrzywdzeni we współpracy z kanonistami opracowali propozycje zmian w prawie, o wprowadzeniu których decyduje papież. Na początku listopada przekazali je delegacji polskich biskupów na synod, a ci doręczyli sekretarzowi generalnemu synodu.

– W czasie spotkania na Jasnej Górze poprosiliśmy biskupów o list otwarty polskiego episkopatu skierowany bezpośrednio do papieża Franciszka, z przypomnieniem naszych propozycji zmian w prawie i wsparciem ich. Część biskupów poparła ten pomysł – mówi Pankowiak.

### Postulaty: z czym przyszli biskupi

Wśród postulatów skrzywdzonych było określenie terminu rozpoczęcia działań niezależnej komisji badającej przypadki wykorzystania seksualnego w Kościele od 1945 roku.

Dokładnie rok temu ks. Piotr Studnicki, kierownik Biura Delegata KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży, informował, że prace nad komisją ruszą w czasie wiosennych zebrań episkopatu i obu konferencji zakonnych – żeńskich i męskich.

Podobne komisje, w skład których weszli niezależni eksperci, powstawały z inicjatywy episkopatów m.in. Niemiec, Francji czy Portugalii. A opublikowane przez nie raporty przybliżały skalę zjawiska.

– Nie dowiedzieliśmy się o powstaniu komisji niczego nowego: nie mamy wciąż daty, nie mamy procedury wyboru przewodniczącego lub przewodniczącej, nie mamy zakresu działania komisji. Jedyną informacją, którą mogli nam przekazać biskupi, było to, że projekt komisji został skierowany do Rady Prawnej – mówi Pankowiak.

– Co to oznacza? – pytam.

– Tego nie wiemy – odpowiadają.

– Biskupi przyszli nastawieni na słuchanie. Wielu z nich podchodziło do nas po spotkaniu, przepraszało. Niektórzy przyznali, że choć robili dotąd wszystko, co powinni, to przecież mogli zrobić więcej – mówi Szewczyk.

– Jeśli chodzi o postulaty, niewiele się udało, ale nie tylko po to tam pojechaliśmy. Chcieliśmy nawiązać relację, przedstawić punkt widzenia skrzywdzonych i zobaczyć, co na to biskupi. Niektórzy mieli łzy w oczach, niektórzy siedzieli skuleni, niektórzy się nie odzywali. Przed spotkaniem podeszło do nas kilkunastu biskupów, a po spotkaniu – kilkudziesięciu, żeby powiedzieć, że nam dziękują, ale też z pomysłami. Teraz czekamy na konkrety – mówi Pankowiak.

©℗ ANNA GOC

TONI ANZENBERGER / ANZENBERGER / FORUM

*Castel San Pietro, Werona, 2019 r.*

# Radość Koheleta

PAWEŁ RAKOWSKI

**Ciesz się ulotnym życiem! – taki jest główny przekaz autora prawdopodobnie niesłusznie nazywanego największym pesymistą biblijnym.**

Niedawna dyskusja na temat tego, czy zwierzęta „umierają", czy „zdychają", wywołana wypowiedzią prof. Jerzego Bralczyka, miała ciekawy skutek uboczny. W ramach gorących polemik ze słowami profesora część chrześcijańskich internautów szerowała w mediach społecznościowych fragment z Księgi Koheleta w przekładzie Jakuba Wujka: „Przetoż jednakie jest dokończenie człowieka i bydląt, i równy stan obojga. Jako umiera człowiek, tak i one umierają, i jednako tchną wszytkie, i nie ma człowiek nic więcej nad bydlę: wszytko podległo marności i wszytko idzie na jedno miejsce. Z ziemie są uczynione i w ziemię się jednako obracają" (Koh 3, 19-20).

To mało znany fragment biblijny, który rzadko pojawia się w internetowych przestrzeniach.

Polskojęzyczni miłośnicy zwierząt zyskali spory argument językowy, aby bez obaw o naruszenie zwyczajów języka polskiego móc mówić, że ich zwierzęta umierają. Chciałbym jednak wyjść poza ten spór i opowiedzieć trochę więcej o tych dwóch zdaniach – m.in. przez nie Księga Koheleta omal nie została odrzucona z kanonu pism Biblii hebrajskiej. Zanim jednak to sobie wyjaśnimy, zacznijmy od słów otwierających całą Księgę Koheleta, które najmocniej utrwaliły się w naszej kulturze, a które pomogą nam naświetlić pozostałe jego myśli.

### Nietrwałość czy marność

Sięgając do hebrajskiego tekstu najsłynniejszego zdania z Księgi Koheleta, „marność nad marnościami – wszystko marność" (hebr. „havel havalim hakkol havel"; Koh 1, 2), odkryjemy, że słowo *hevel* (forma podstawowa od *havel*) możemy tłumaczyć nie tylko jako „marność", ale również, a może i przede wszystkim, jako coś ulotnego jak oddech, podmuch czy para. Tłumaczenie hebrajskiego *hevel* na „marność" nie wzięło się w naszych przekładach przypadkiem i ma bardzo długą tradycję.

Najpierw Septuaginta (starożytne greckie tłumaczenie Biblii hebrajskiej) przetłumaczyła hebrajskie *havel havalim* greckim *mataiotes mataioteton*, czyli „próżnością", „marnością", a później Hieronim łacińskim *vanitas vanitatum*, a za nim kolejni tłumacze na języki nowożytne, w tym na język polski, ukuli „marność nad marnościami", które to trwale zapisało się w europejskiej kulturze.

Choć Septuaginta wywarła największy wpływ na obecne tłumaczenie, to inne greckie teksty przekładają *hevel* przy pomocy greckiego *atmos*, co znaczy „para", które polskim czytelnikom znane jest na przykład w słowie „atmosfera". Słowo „marność" wartościuje *hevel*, nadając przemijalności pesymistyczny wydźwięk. Wybór tłumaczenia jest próbą odpowiedzenia na pytanie, jakie rozumienie tego słowa mógł mieć autor Księgi Koheleta. Czy *hevel* to marność, a może to tylko stwierdzenie faktu, że jedną z zasad świata jest to, że przemija?

Odpowiedź na to pytanie prowokuje kolejne. Czy Kohelet był pesymistą, sceptykiem, a może nawet ateistą, skoro napisał, że wszystko przemija („hakkol havel") – w takim razie ulotny jak para jest nawet Bóg?

### To, co ponad słońcem

Najszybciej można dać odpowiedź na ostatnie pytanie, ponieważ już w kolejnym, trzecim wersecie, napotkamy wyrażenie, które niemal jak refren przewija się przez księgę: „Cóż przyjdzie człowiekowi z całego trudu, jaki zadaje sobie pod słońcem?" (Koh 1, 3), „nic zgoła nowego nie ma pod słońcem" (Koh 1, 9), „widziałem wszelkie sprawy, jakie się dzieją pod słońcem" (Koh 1, 14). We wszystkich tych zdaniach pojawia się hebrajskie *kol*, ↦

↦ czyli „wszystko” (choć nie zawsze widoczne w tłumaczeniach), które odnosi się do tego, co „pod słońcem”. Łatwiej sobie wyobrazić to, co „pod słońcem”, ale co jest „ponad słońcem”?

Według starożytnej kosmologii hebrajskiej nad słońcem jest firmament podtrzymujący wody górne, a nad nimi jest miejsce, gdzie przebywa Bóg. Koheletowe „wszystko” nie odnosi się do tego, co jest „ponad słońcem”, zatem rzeczywistość niebiańska, w tym Bóg, nie jest włączona w refleksję, której puentą są słowa „havel havalim hakkol havel”. Na marginesie, ograniczając się do tego, co „pod słońcem”, Kohelet mógł się dystansować do filozofów greckich. Jeden z nich, Monimos z Syrakuz, powiedział: „ta panta typhos”, czyli „wszystko to para”, odnosząc się do wszystkiego, w tym do metafizyki. Kohelet natomiast ogranicza się do tego, co „pod słońcem”, czyli do fizyki, do zwyczajnie obserwowalnej przez człowieka rzeczywistości.

### Wspólnota z Ablem

Przy okazji refleksji o samym wyrażeniu *havel havalim*, mała ciekawostka językowa. Rdzeń tego słowa w języku hebrajskim (*hbl*) znajdziemy w imieniu syna Adama, Ablu, który został zabity przez swojego brata Kaina. Jego imię niosło ze sobą ulotność życia. W kontekście tego, co spotkało Abla, wydaje się być okrutne tłumaczyć jego imię jako marność.

Ulotność ludzkiego życia to jeden z motywów biblijnej antropologii: „Dni człowieka są jak trawa; kwitnie jak kwiat na polu. Ledwie muśnie go wiatr, a już go nie ma, i miejsce, gdzie był, już go nie poznaje” (Ps 103, 15-16). Inny z psalmistów tak woła: „hevel b’ne adam”, czyli: „synowie ludzcy są tylko jak tchnienie” (Ps 62, 10).

Używając tej biblijnej metafory można by powiedzieć, że będąc dziećmi Adama, wszyscy ludzie noszą w sobie imię Abla, bo tak jak on przeminą. Chrześcijanie mogliby dodać: jesteśmy też dziećmi nowego Adama, Jezusa – podobnie jak On nie przeminiemy, ponieważ wstał z martwych. Zmartwychwstanie przenosi nasze rozmyślania do tego, co „ponad słońcem”, ale na ten krótki czas zatrzymajmy się w świecie Koheleta, który nie poznał Jezusa, i przejdźmy do jego słów wspomnianych na początku.

Jeden z greckich filozofów powiedział: „wszystko to para”. Kohelet zgodziłby się z nim, tylko dodałby, że „pod słońcem”, **bo rzeczywistości Bożej „nad słońcem” nie znamy.**

### Trzeźwy realizm

Kohelet, obserwując świat „pod słońcem”, doszedł do wniosku, że ludzie nie przewyższają zwierząt, ponieważ „jednakie jest dokończenie człowieka i bydląt”. W wyniku tej równości między ludźmi a zwierzętami w tekście znajdujemy trzy „jedno”, które łączy człowieka i zwierzę: jeden los, jedno tchnienie i jedna śmierć. Ponadto, poprzez powtarzane pięciokrotnie słowo *kol* („wszystko”) dowiadujemy się, że: wszyscy umierają, wszyscy idą w to samo miejsce, wszystko pochodzi z prochu i wszystko do prochu powraca, co ostatecznie prowadzi Koheleta do stwierdzenia, że wszystko jest *hevel*, czyli przemija i jest ulotne.

Jednak prawdziwym teologicznym wstrząsem jest pytanie, które Kohelet stawia zaraz po tych słowach. Zostańmy przy tłumaczeniu Jakuba Wujka, które brzmi tak: „Któż wie, jeśli duch synów Adamowych wstępuje wzgórę, a jeśli duch bydlęcy zstępuje na dół?” (Koh 3, 21). Kohelet stawia pod znakiem zapytania to, czy człowiek rzeczywiście będzie żył wiecznie, idąc w górę, czyli w rzeczywistość „ponad słońcem”, a nie jak zwierzę, którego życie przeminie na zawsze, mieszając swoje prochy z ziemią. Pytanie „któż wie” wyznacza Koheletowi granicę między tym, co „pod słońcem”, a tym, co „ponad słońcem” – to ze zwyczajnej obserwacji świata poznaje, że ciało ludzkie staje się prochem, tak jak ciało zwierząt.

Jeśli chodzi o temat umierania, Kohelet polemizowałby tu głównie z tradycją apokaliptyczną, według której życie długie, mądre i dobre może prowadzić do wieczności – według Koheleta nie można tego zagwarantować. Tu, „pod słońcem”, ostatnią rzeczą, jaką można powiedzieć o ludziach, jest to samo, co można powiedzieć o zwierzętach – że umierają i w proch się obracają. Kohelet wydaje się być bardzo trzeźwym realistą, niewykraczającym ponad to, co widzi. Z drugiej strony tym pytaniem uspokaja, że „pod słońcem” jest czas na wszystko, również na wątpienie.

### Ciesz się życiem

Faktem jest, że przemijalności nie można zatrzymać – ostatecznie wszystko przeminie, nawet nasza planeta w niewyobrażalnie odległej przyszłości zostanie wchłonięta przez rozszerzające się słońce. To brzmi bardzo pesymistycznie. Z drugiej jednak strony, przemijalność jest tak bardzo związana z życiem, że trudno sobie wyobrazić, jak mogłoby ono wyglądać bez niej. Co w rzeczywistości *hevel* może zmienić człowiek?

Nastawienie wobec niej. To dlatego nie uważam Koheleta za pesymistę – po uświadomieniu sobie, że wszystko „pod słońcem” to *hevel*, w kilku miejscach dał on zaskakującą odpowiedź. Kontynuując lekturę w przekładzie Jakuba Wujka, czytamy: „Izali nie lepiej jest jeść i pić, i okazać duszy swej dobra z pracej swojej? I toć jest z ręki Bożej!” (Koh 2, 24). Kohelet chce się cieszyć życiem, skoro już mu się ono wydarzyło, nawet jeśli podlega ono przemijaniu!

Paradoksalnie, w odniesieniu do rozpowszechnionego tłumaczenia, wydaje mi się, że Kohelet w *hevel* chce znaleźć radość, a nie marność. Czy zatem autor okazuje się być jednak optymistą? Nie jestem pewny, czy z tekstu Księgi Koheleta można definitywnie stwierdzić, jakim człowiekiem był jej autor. Odpowiedzi pewno wypadną różnie, w zależności od tego, jakie tłumaczenie i jaką lekturę słów Koheleta wybierzemy.

Na koniec jeszcze jedna ciekawostka językowa. W biblijnym języku hebrajskim nie ma form przymiotnika w stopniu najwyższym. Starożytny autor hebrajski, aby powiedzieć „najpiękniejsza pieśń” potrzebował napisać *szir haszszirim*, czyli „pieśń nad pieśniami”. Natomiast, aby wyrazić coś najbardziej ulotnego, pisał *havel havalim*. Pierwsza księga jest o miłości, a druga o ulotności. Cały paradoks w tym, że życie okazuje się być jednocześnie *szir haszszirim*, jak i *havel havalim*.

© PAWEŁ RAKOWSKI

WOJCIECH

# Bonowicz: *Widowiska*

Od pewnego czasu żyję z dala od tych spraw. I wszystko, co do mnie dociera, raczej upewnia mnie, żeby od tych spraw trzymać się z daleka. Te sprawy bowiem mają się zupełnie nijak do moich spraw. W tych sprawach wszystko jest jakieś „nie takie". Niby to obecne „nie takie" nie jest tak bardzo „nie takie" jak to, które było poprzednio, ale powodów do świętowania mało. Niby dobrze, a niedobrze. Im większe wyzwania, tym więcej pary idzie w organizowanie widowisk. Jakoś mnie te widowiska nie cieszą, słowo daję.

Możliwe, że celem widowisk jest coś odwrotnego, niż ja odczuwam. Możliwe, że tym celem jest tak zwana mobilizacja elektoratów. Przykład amerykański pokazuje, że sama ruchliwość, samo przebieranie nogami nie wystarczą. Można się nabiegać i nic nie osiągnąć. Politycy – a niech już padnie to słowo – jak ognia boją się społecznego niezadowolenia. Społecznego – czyli naszego. Naszego – czyli również mojego. I wyobrażają sobie, albo też wyczytali w podręcznikach marketingu, że jak zorganizują widowiska, to powody do niezadowolenia znikną. A w każdym razie o nich zapomnimy. Mam wrażenie, że ostatnie wybory w Polsce dały rezultat, jaki dały, bo powodów do niezadowolenia zebrało się już tak wiele, że chciało się krzyczeć. I pójście do urn było tylko rezultatem. Tym, którzy przegrali, nic widowiska nie pomogły, choć ładowali w nie, jak to dziś doskonale widać, mnóstwo naszych pieniędzy. Zresztą przegrali wygrywając, co też powinno być niejaką nauczką.

Dziś mamy sytuację, o której właściwie nie wiadomo, co myśleć. Główna partia opozycyjna aż się rwie do rozliczania obecnie rządzących, choć nie rozliczyła się jeszcze sama z sobą, o reszcie społeczeństwa nie wspominając. Zastawiwszy uprzednio na siebie pułapkę, lamentuje i włosy drze, że w nią wpadła. W rezultacie głównym motywem widowiska staje się oczekiwanie. I to podwójne: czekamy, jakie jeszcze klęski na tę partię spadną, ale czekamy także, co pozytywnego partia zaproponuje. Z przecieków wynika, że nie będzie raczej „polskiego Trumpa", że będzie raczej „Duda-bis". Ja się cieszę, nie wiem, jak inni. Ja się cieszę, bo jednak „Duda-bis" to nie jest wyraźnie lepiej dla poziomu debaty, ale odrobinę lepiej. Cieszę się, chociaż – jak powiedziałem na wstępie – nic mnie to nie obchodzi.

Po stronie sprawujących rządy podejmowane są ruchy niewątpliwie ciekawsze. Np. założyciel i szef jednej z koalicyjnych partii ogłosił, że w najbliższych wyborach wystartuje jako kandydat niezależny. Jest to konstrukt zaiste imponujący: partyjny, ale w zasadzie bezpartyjny, w strukturach, ale właściwie poza. Bycie w partii i określanie siebie niezależnym już, zdaje się, przerabialiśmy. Historia jest nauczycielką życia, możemy więc przerobić tę lekcję jeszcze raz. Prawdę rzekłszy, mamy w tej chwili dwóch kandydatów, którzy jako członkowie partii określili się mianem niezależnych. Słowo „niezależność" to jest piękne słowo i można się o nie wygodnie oprzeć. Czy dla jakości widowiska wystarczy, że bohaterowie będą mieć wygodne oparcia? To raczej my, publiczność, chcielibyśmy wygodnie się rozsiąść. Ale od kilku ładnych lat przyzwyczajani jesteśmy do siedzenia na mało stabilnych stołeczkach.

Zgrabny pomysł z niezależnością został jednak przykryty jeszcze zgrabniej pomyślanym widowiskiem, zorganizowanym przez partię, która w koalicji rządzącej jest najmocniejsza. Prawybory to jest rzecz trochę dla mnie niejasna, bo próbuje się w ten sposób ściągnąć moją uwagę, chociaż sprawa jest czysto partyjna, nie dotyczy całego społeczeństwa. Oczywiście, nawet z daleka widać różnice między oboma kandydatami i sam się mogłem pozastanawiać, którego bym ewentualnie wolał. Ale moja wola, jak na razie, nie miała nic do rzeczy. Decydują doły partyjne? Powiedzmy, że doły. W każdym razie odbywa się to poza mną. Niemniej, chcę czy nie chcę, jestem w to zaangażowany. Oczywiście, niepokoi mnie sytuacja, w której dwaj ważni urzędnicy zajmują się widowiskiem, a nie swoimi obowiązkami. Tym bardziej że jeden z nich będzie to musiał robić przez kilka najbliższych miesięcy. Ale może przesadzam.

Mądrzejsi ode mnie powiadają, że dziś wszystko jest spektaklem, więc i polityka musi być widowiskiem. Może i tak. Chyba na pewno tak. Bez widowiska się nie obędzie. Należę zapewne do tej mniejszości, która chciałaby, żeby jak najmniej energii zużywano na organizowanie widowisk, a jak najwięcej na... rozwiązywanie konkretnych problemów. Uch, jakoś tak nagle poczułem... Nadchodzą wybory, nadchodzi czas słów okrągłych. Sformułowanie „rozwiązywanie konkretnych problemów" też pewnie się pojawi, bo jest przecież dostatecznie okrągłe. A mnie od okrągłych sformułowań jakoś nieprzyjemnie się robi. Trzeba się ratować. Trzeba się trzymać z dala od tych spraw.

Trzeba się trzymać z dala od tych spraw, choć – jak widać – zupełnie mi to nie wychodzi. ©

**Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia".**

S-NET
GRUPA TOYA

# Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

## Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

## Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

# Ponad 120 mln zł dla organizacji pozarządowych.

## Ruszył nabór w ramach programów NIW-CRSO

Przejrzyste, sprawiedliwe, uproszczone procedury i większa dostępność wsparcia dla wszystkich organizacji pozarządowych. Narodowy Instytut Wolności rozpoczął nabór wniosków w ramach rządowych programów dotacyjnych **PROO** i **NOWEFIO**, edycja 2025. Dzięki zmianom w regulaminach zasady przyznawania środków będą transparentne i równe dla wszystkich NGO.

Organizacje pozarządowe oraz inne instytucje prowadzące działalność pożytku publicznego mogą wziąć udział w konkursach ogłoszonych w ramach edycji 2025 Rządowego Programu Fundusz Inicjatyw Obywatelskich **NOWEFIO** oraz Rządowego Programu Rozwoju Organizacji Obywatelskich **PROO**. Dzięki nim społecznicy dostaną wsparcie na rozwój swoich organizacji i działań, które realizują. W puli konkursu jest w sumie ponad 120 mln zł, które NGO mogą wykorzystać na różne aktywności. Termin składania wniosków upłynie 10 grudnia. Oprócz konkursów w ramach edycji 2025, organizacje realizować będą także projekty wieloletnie. W sumie **NIW-CRSO** przekaże w przyszłym roku ponad 220 mln zł rządowego wsparcia dla organizacji pozarządowych.

– Spełniamy nasze obietnice. Procedura konkursowa jest transparentna, środki dostępne dla szerokiego grona organizacji, a zasady sprawiedliwe. Regulaminy konkursów nie pozwolą na żadną ingerencję w wyniki, poza merytoryczną oceną ekspertów. Ogłaszamy dwa konkursy – **PROO** na rozwój instytucjonalny organizacji i **NOWEFIO**, w ramach którego stowarzyszenia i fundacje mogą realizować dziesiątki różnego rodzaju działań – mówi Michał Braun, dyrektor **NIW-CRSO**.

W rządzie Donalda Tuska po raz pierwszy utworzono urząd ministra ds. społeczeństwa obywatelskiego. Od niedawna funkcję tę pełni Adriana Porowska, która przez dziewiętnaście lat związana była z Kamiliańską Misją Pomocy Społecznej. Na dorocznej konferencji Instytutu tak mówiła o sile III Sektora: „Naszą rolą jest m.in. edukowanie i pokazywanie ludziom, że sprawczość jest w ich rękach. Kto jak nie organizacje pozarządowe i ludzie działający na ich rzecz widzą to najlepiej i mogą działać? Szukajcie NGO w swojej okolicy i budujcie sojusze. Te sojusze mogą wspólnie występować do władz lokalnych i pokazywać: słuchajcie, jesteśmy. Nie tylko po to, aby korzystać z pieniędzy i wykonywać usługi, które są zadaniami własnymi gminy. Ale po to, by wskazywać kierunki, by ściągać często niemałe pieniądze do samorządów i proponować innowacyjne rozwiązania, które łączą".

Narodowy Instytut Wolności ma odpowiadać na potrzeby III Sektora. Regulaminy **PROO** i **NOWEFIO** zostały zmienione tak, by zwiększyć dostępność wsparcia dla wszystkich organizacji – zarówno tych małych, jak i dużych. Co ważne, nad prawidłowością przebiegu konkursów czuwa także Rada **NIW**, która po raz pierwszy składa się w większości z przedstawicieli sektora pozarządowego.

Program **PROO** pozwala organizacjom budować potencjał i uniezależniać się od środków publicznych. Mogą one w ramach projektów inwestować w strategie rozwoju, fundrising, finansować zatrudnienie, kupować sprzęt, dofinansować zakup samochodu czy lokalu potrzebnego na prowadzenie działalności. Większość wsparcia kierowana jest do ogółu organizacji, ale dodatkowe ścieżki finansowania trafiają do think tanków, watchdogów oraz mediów obywatelskich. **PROO** oferuje także szybkie granty „kryzysowe", np. na naprawę sprzętu czy remont zalanego biura. Są też środki pozwalające na udział przedstawicieli polskich NGO w wydarzeniach w kraju i za granicą.

**NOWEFIO** jest najstarszym tego typu programem w Polsce. Działa już prawie 20 lat. Fundusz Inicjatyw Obywatelskich to środki na praktycznie wszystkie rodzaje aktywności. Finansowane są z niego działania edukacyjne, kulturalne, sportowe i wiele innych. Specjalna ścieżka Programu przeznaczona jest na wspieranie partycypacji społecznej oraz na budowanie sieci organizacji pozarządowych.

Zmiany w regulaminach poprzedziły konsultacje z przedstawicielami organizacji. Są odpowiedzią na ich potrzeby. Na stronie internetowej **NIW-CRSO** dostępny jest szczegółowy raport z propozycjami zgłaszanymi przez społeczników.

### GŁÓWNE ZMIANY W REGULAMINACH EDYCJI 2025 PROGRAMÓW TO:

- Wprowadzenie transparentnych zasad naboru ekspertów oceniających wnioski i procedur zapobiegających ingerencji w wyniki konkursów.
- Podział funduszy na środki przeznaczone na rozwój małych, średnich i dużych organizacji – dzięki temu młode NGO-sy nie będą już musiały konkurować z doświadczonymi organizacjami, a dotacje będą dostosowane do ich potrzeb (Program **PROO**).
- Dodatkowe punkty dla organizacji, które do tej pory nie korzystały ze środków **PROO**.
- Programy wspierania mediów obywatelskich, organizacji strażniczych i think tanków kierowane będą do organizacji, które faktycznie prowadzą taką działalność (min. 12 miesięcy).
- Szersze możliwości aplikowania o wkłady własne do projektów międzynarodowych – aż cztery nabory rocznie.
- Zwiększenie maksymalnej dotacji na pomoc doraźną dla organizacji w przypadku np. zniszczenia sprzętu czy zalania biura – do 20 tys. zł w każdej ścieżce **PROO**.
- Umożliwienie organizacjom finansowania udziału w wielu wydarzeniach krajowych i międzynarodowych, a także opłacania składek w organizacjach zagranicznych.

– Ruszamy z dużą kampanią informacyjną na temat regulaminów konkursów, będziemy we wszystkich województwach. Zachęcamy do zapraszania nas do swoich miejscowości. NIW przeprowadzi także szereg webinarów. Działa również specjalna infolinia – mówi ADELA GĄSIOROWSKA, zastępca dyrektora Narodowego Instytutu Wolności.

**Szczegółowe informacje dotyczące naboru dostępne są na stronie internetowej NIW-CRSO.**

MATERIAŁ PROMOCYJNY

NIW
Narodowy Instytut Wolności
Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego
NOWE FIO
PROO

ŚWIAT

# DOBRZY LUDZIE Z TEKSASU

W oczach Europejczyków polityczna mapa USA jest prosta: ostro podzielona na regiony czerwone i niebieskie, barwy Republikanów i Demokratów. Z bliska ten obraz się komplikuje. Jak on wygląda w Teksasie?

TEKST I ZDJĘCIA JAN RADOMSKI Z TEKSASU (USA)

Teksas jest czerwony, republikański. Wygrywał w nim Trump (52 proc. w 2016 r., 52 proc. w 2020 r. oraz 56 proc. w tym roku), przegrywał Obama (44 proc. w 2008 r., 41 proc. w 2012 r.), wygrywał Bush, tu zresztą wychowany (59 proc. w 2000 r. i 61 proc. w 2004 r.).

Ostatnim kandydatem Demokratów, na którego głosowali teksańscy elektorzy, był Carter. Jemu było jednak łatwiej – nie tylko za sprawą afery Watergate, która podważyła zaufanie do Republikanów. Obchodzący niedawno setne urodziny, Carter pochodzi z Georgii, jest więc południowcem. Może nie tutejszym, ale południowcem.

I choć z polskiej polityki wiemy, że głosy w dużych miastach rozkładają się inaczej, to jednak zaskakuje, że na kilka dni przed 5 listopada drużyna Dallas Mavericks gra swój mecz pod hasłem „Pride Night". To hasło ruchu LGBT, hasło polityczne.

A przecież ten zespół jest dumą regionu. Maverick – buntownik, indywidualista – ma symbolizować ducha Teksasu. Nazwę drużyny wybrano w głosowaniu kibiców w 1980 r. Dziś, po ponad czterech dekadach, kibice tej drużyny oklaskują wokalistkę, która, ubrana w strój w kolorach tęczy, śpiewa hymn USA. Wokół przerobione na tęczowo loga sponsorów, w tym linii American Airlines (mają w tym mieście siedzibę). W Dallas kapitalizm idzie ramię w ramię z progresywnymi poglądami.

### Dallas popiera Demokratów

Pewnie większość ludzi na trybunach podpisałaby się pod tym, co Gregg Popovich, legendarny trener Mavericksów, powiedział o Trumpie na konferencji prasowej: „Jest żałosny, jest mały, jest mięczakiem".

Dwie trzecie Dallas głosuje na Demokratów. – Oczywiście, że popieram Demokratów! Trump to rasista, homofob. Tutaj prawie nikt na niego nie głosuje – mówi Laura. Dla niej to brzmi naturalnie, ale z polskiej perspektywy może dziwnie. Tutaj – czyli gdzie? Jesteśmy przecież w Teksasie.

*Na sąsiedniej stronie od góry z lewej: działaczki Partii Republikańskiej z hrabstwa Hutchinson; właściciel palarni cygar i zarazem pastor z Borger; Hector z matką przed lokalem w Borger; działaczka Partii Republikańskiej z hrabstwa Hutchinson. Listopad 2024 r.*

Laura przeprowadziła się do Dallas osiem lat temu, wcześniej mieszkała w Los Angeles. Pracuje jako menadżerka kawiarni. Gdy pytam, gdzie żyje się jej lepiej, bez wahania wybiera Teksas. – Ludzie są wspaniali! Nigdy nie spotkałam się z agresją, nikt w kawiarni nie zwraca uwagi na to, że nie jestem biała. Wiesz, niektórzy tylko zwracają uwagę, że młodo wyglądam – śmieje się. – W Kalifornii było gorzej, dużo agresji na ulicach. Mój brat mówi to samo.

Brat Laury jest gejem, wraz ze swoim mężem mieszkają w Los Angeles. – Powtarza, że tam na ulicach jest więcej homofobii niż w Teksasie. Lubią do mnie przyjeżdżać.

### Dużo krów i dużo Trumpa

Gdzie w takim razie jest ten czerwony Teksas? Pytam o to Bucky'ego, kelnera, który pracuje w gejowskim klubie w Oak Lawn (według „Out Traveler" najlepszej dzielnicy społeczności LGBT+ w Stanach). – U nas nie znajdziesz wyborców Trumpa – mówi ze śmiechem. – Nie widziałem ani jednego jego plakatu na ulicach Dallas.

Gdy Bucky dowiaduje się, że następnego dnia (a więc w dniu wyborów) jadę do Amarillo, reaguje entuzjastycznie: – Stamtąd pochodzę! No, tak, tam zobaczysz wiele plakatów Trumpa. Wiele krów i wiele plakatów Trumpa.

Bucky pochodzi z miejscowości na granicy między Teksasem a Oklahomą: – Tam nikt nie przyznaje się, że jest Demokratą. Moi rodzice są Republikanami, choć teraz głosują na Harris. Ale Trumpa popierają wszyscy, reszta rodziny, sąsiedzi, przyjaciele z dzieciństwa.

Gdy pytam, jak się z tym czuje, odpowiada z uśmiechem: – W porządku, nie przeszkadza mi to! To ich sprawa, takie mają przekonania. Ale to dobrzy ludzie – zaznacza, a ja nie spodziewam się jeszcze, jak często usłyszę zdanie: *They are good people*.

– Na północy wszyscy są gościnni, na pewno wspaniale cię przyjmą. Ale jeśli chcesz się jutro z kimś cieszyć, lepiej zostań na wieczór wyborczy z nami – mówi mi na pożegnanie.

### W piaskowych burzach

Najbardziej wysunięty na północ fragment stanu to *Texas panhandle*. *Panhandle*, rączka od patelni. Nazwany tak, gdyż wbija się między inne stany: Oklahomę i Nowy Meksyk. Linia graniczna jest efektem zawiłej historii USA. Dwadzieścia sześć hrabstw zajmuje 10 proc. powierzchni Teksasu, choć mieszka tu tylko 1,6 proc. populacji.

To ziemia z trudną historią. Timothy Egan pisze w książce „Brudne lata trzydzieste": „Ludzie ściągali (...) na Wysokie Równiny, ponieważ nie załapali się na wcześniejsze akcje rozdawania ziemi, zasiedlenia jej, wydzierania podstępem tubylcom ani na licytacje zadłużonych nieruchomości. Ominęły ich najlepsze grunty rolne, najlepsze tereny skradzione Indianom".

Opowieść o tej części Stanów to historia wielkich nadziei i wielkich oszustw. Ludzie zostali sprowadzeni obietnicą otrzymania ogromnych połaci ziemi. Ta jednak okazała się jałowa. Aby przeżyć, musieli uprawiać rośliny tak intensywnie, że teren całkiem wysechł.

Wraz z tym przyszły dustery: wielkie burze piaskowe, które w latach 30. XX w. nawiedzały tę część Stanów. Intensywne rolnictwo wraz z suszą sprawiły, że wyschnięta gleba unosiła się w powietrzu na setki metrów. Stworzone tak kłębowisko pyłu przetaczało się po regionie, niszcząc uprawy, wsie i miasta. Ludzie desperacko czekali na deszcz.

Opady wróciły w 1938 r., ale okres burz piaskowych na zawsze zmienił ten kraj. Wielu ludzi porzuciło domy i szukało nowego życia gdzie indziej. „Zakopany po uszy w czarnym, starym pyle / musiałem spakować się i iść" – śpiewa Woody Guthrie w utworze „Dust Bowl Blues". To właśnie o dusterach – i migracji, będącej ich skutkiem – opowiadał John Steinbeck w swoich najsłynniejszych powieściach.

### Rząd o nas nie dba

Bucky nie kłamał. W hrabstwie, z którego pochodzi, 89 proc. głosów oddano w 2020 r. na Trumpa. W pobliskim hrabstwie Roberts jeszcze więcej: 96 proc. (Biden otrzymał... 17 głosów).

Nie przesadzał też, gdy mówił, że wokół widać krowy i Trumpa. Zapomniał jednak dodać, że rozciągającą się po horyzont prerię przecinają charakterystyczne kiwony – wieże służące do pompowania ropy. Jej zapach jest tak intensywny, że nie tylko wchodzi do nosa, ale też osiada w gardle. ↦

W Stanach nie ma ciszy wyborczej, więc w dniu wyborów na ulicach widać osoby, które mają czapeczki bądź plakietki z Trumpem. Ale nikt nie agituje, ludzie z uśmiechem pozdrawiają się na ulicy, pokazują sobie kciuki, machają.

W Miami, stolicy hrabstwa Roberts (przez niektóre media określanym jako najbardziej protrumpowe miasto w Stanach), rozmawiam Richardem, 70-latkiem, który siedzi na murze obok szkoły. Na początku podejrzliwy, pyta, skąd jestem i kogo popieram, ale gdy dowiaduje się, że jestem z Europy, rozkręca się.

– Widziałeś, ile tu jest opuszczonych sklepów, farm, biznesów? Rząd o nas nie dba. Trump obiecał, że to zmieni, że takie regiony znów zaczną żyć. Nie będzie dawał kasy tylko na wielkie miasta, gdzie mieszkają bogaci ludzie – mówi z nadzieją.

Na pytanie, co dla niego najważniejsze, odpowiada od razu: – Ekonomia, a on się na tym zna. Nigdy nie miałem biznesu, byłem robotnikiem. Ale ten kraj bez biznesu nie istnieje.

*Typowy dla tutejszego krajobrazu kiwon do pompowania ropy. Teksas, listopad 2024 r.*

### On przywróci nam godność

Od gospodarki zaczyna też właściciel palarni cygar, z którym rozmawiam w Borger, 12-tysięcznym mieście w hrabstwie Hutchinson: – Ekonomia, mały biznes. Jak Trump był prezydentem, małemu biznesowi było lepiej.

A co z Harris? – Jej poglądy w sprawie aborcji są dla mnie niedopuszczalne. Jestem też pastorem – wyjaśnia. Gdy pytam, czy zna osoby, które popierają Demokratów, odpowiada: – Niewielu, ale tak, znam. To są dobrzy ludzie – słyszę po raz kolejny.

Temat aborcji pojawia się w rozmowach chyba często. Dwukrotnie na pytanie, jakie Trump ma wady, słyszę tę samą odpowiedź: – Zmienił zdanie wobec aborcji, a to niedopuszczalne. To zbyt ważny temat, żeby raz uważać tak, a raz inaczej. Ale i tak na niego zagłosuję.

Poglądy Kamali Harris nawet nie mieszczą się w głowach osób, z którymi rozmawiam.

– Cieszę się, że rozmawiasz z nami, a nie tylko z mieszkańcami Dallas czy Austin. My przecież też istniejemy – mówi kobieta przed lokalem wyborczym w Borger. W Polsce jej słowa by mnie zaskoczyły. Przecież takie osoby jak ona są dla nas twarzą Teksasu. Ale w miasteczku na prerii rzeczywiście wydaje się, że to jej głos jest wykluczony.

– Wielkie miasta pokazują w telewizji. Tam ludzie interesują się polityką. U nas każdy żyje swoimi sprawami. Ludzie za mało mówią tu o polityce, bo nie mają czasu, ciężko pracują. Nawet księża boją się powiedzieć, by głosować na Trumpa. Tylko dwóch księży ma odwagę, ale i tak tylko sugerują, by głosować na tego, kto nie chce zabijać dzieci. Powinni mówić to głośniej. Ameryka to nie tylko wielkie miasta – stwierdza kobieta ze smutkiem.

– Trump przywróci nam godność! – dopowiada nagle przysłuchujący się nam mężczyzna.

### Zbudowane na oszustwie

Nazwa miasta Borger pochodzi od Ace Borgera. Szemrany biznesmen, w 1926 r. kupił w tym regionie ogromną działkę. Ze względu na złoża ropy miasto szybko się rozrosło, a Borger brutalnie zarządzał nim przez swojego współpracownika, który został burmistrzem. Z całych Stanów zjeżdżali tu kryminaliści. Władzę w mieście sprawowała zarządzana przez Borgera i jego wspólników mafia, która zajmowała się nielegalną produkcją alkoholu.

Ostatecznie gubernator stanu w 1927 r. spróbował spacyfikować miasto – wysłał strażników Teksasu (jednym z nich był Frank Hammer, który kilka lat później zabił Bonnie i Clyde'a). Sytuacja trochę się poprawiła, ale na ulicach wciąż ginęły dziesiątki osób, a rok później w mieście wprowadzono stan wojenny. Do normalności miasto wróciło dopiero po 1934 r., gdy Ace Borger został zastrzelony przez swojego współpracownika.

Podobnie jak *Texas panhandle*, tak samo Borger zbudowane jest więc na oszustwie. Trudno mi nie myśleć o historii założyciela tego miasta, gdy słyszę, z jaką nadzieją mieszkańcy mówią o Trumpie.

### Podział rodzinny

Pod lokalem wyborczym w Borger spotykam Hectora, który na głosowanie przyszedł z matką. Dla formalności pytam, na kogo głosuje. Odpowiedź nie dziwi: – Na Trumpa.

Jednak później dodaje coś, czego się nie spodziewałem: – Ale moja mama głosuje na Harris.

Hector należy do tej grupy wyborców, która okaże się kluczowa dla wyniku: Latynosów, którzy poparli Trumpa chętniej niż zazwyczaj. Według *exit polls* cztery lata temu na Bidena głosowało ok. 70 proc. Latynosów i Latynosek. W tym roku na Harris oddano w tej grupie już tylko ok. 60 proc. głosów.

– U was mało osób głosuje na Harris – mówię do matki Hectora, co jej syn tłumaczy na hiszpański. – Tak, jest nas niewielka grupa – odpowiada zawstydzona w tym samym języku. Hector wyjaśnia, jaki jest podział rodzinny: – Mama ma ponad 70 lat, całe jej rodzeństwo jest za Harris. Ale już dzieci i wnuki głosują na Trumpa.

Gdy pytam kobietę, jak się z tym czuje, odpowiada, że młodsza część jej rodziny jest *loco*, i wymownie kręci palcem przy głowie. Robi to jednak z uśmiechem. – Nie kłócimy się o politykę, wszyscy się kochamy – zaznacza zaraz Hector.

Pytam go o kwestię stosunku Trumpa do Latynosów. – Dla mojej mamy to problem, ona jest z pokolenia, które tu przyjeżdżało często nielegalnie. Ale ja jestem Amerykaninem! Dla mnie ważne jest dobro Ameryki. Mam wielu kolegów z Meksyku, którzy tu żyją, ale nie chce im się pracować, chcą dostawać pieniądze za nic. Jeśli Trump ich wyrzuci z kraju, to dobrze.

### Boski plan

W lokalnej siedzibie Partii Republikańskiej nastroje dobre, witają mnie lokalne działaczki. Sherry zapisała się do partii kilka lat temu, gdy jej dzieci stały się samodzielne. Wcześniej pracowała w domu: – Chciałam pójść do pracy, ale mąż powiedział, że tyle lat nie mieliśmy dla siebie czasu, że teraz musimy być więcej ze sobą. Więc zapisałam się do partii.

Sherry z dumą pokazuje materiały reklamowe Trumpa: koszulki, plakaty, czapeczki. – To, że on przeżył zamach, to był cud – opowiada o nim z zachwytem. – Ale nie myśl, że się w nim bujam! (*I have a crush on him*) – mówi z uśmiechem.

O Kamali Harris słyszę same najgorsze rzeczy: chce zabijać dzieci, jest skorumpowana, nie dba o ludzi. – Demokraci wysyłają pieniądze na Ukrainę, a tak naprawdę to wszystko wraca z powrotem i napycha ich portfele, przez te wszystkie fundacje Gatesa czy Sorosa. Nie można im w nic wierzyć – stwierdzają kobiety. Jednak gdy pytam o ludzi, którzy głosują na Demokratów, znów słyszę: – To są dobrzy ludzie.

Gdy pytam pastora z Borger, czy zna osoby, które popierają Demokratów, słyszę w odpowiedzi: **„Niewielu, ale tak, znam. To są dobrzy ludzie”.**

Kobiety różnią się właściwie tylko co do tego, co wydarzyłoby się, gdyby wynik był nie po ich myśli. – Jesteśmy chrześcijanami, jeśli Harris wygra, to taki był boski plan. Mam nadzieję, że nie będzie zamieszek – to Sherry.

– Oczywiście, że będą zamieszki. Tym razem nie odpuścimy! Jeśli Trump przegra, Teksas ogłosi niepodległość, a sąsiednie stany przyłączą się do nas. Nie będziesz mógł stąd wyjechać przez kilka tygodni – to jej koleżanka, półżartem. – Ale to dobrze, Teksas to przecież fajne miejsce do życia.

### W innym świecie

Na szczęście nie musiałem tego sprawdzać. W wieczór wyborczy szybko okazało się, że wyniki są zgodne z wolą większości mieszkańców *Texas panhandle*.

– Jestem taka szczęśliwa! – krzyczy do mnie wieczorem na ulicy napotkana kobieta. Gdy pytam, co ta wygrana dla niej oznacza, mówi: – Nie będziemy musieli więcej żyć w kraju komunizmu. Kamala Harris jest marksistką, wiesz o tym, prawda?

Następnego dnia jadę do San Antonio i znów jestem w innym świecie. – Słyszałeś już o wyniku wyborów? – pyta Deon, weteran wojenny, który służył w marynarce. – Nie interesuję się polityką, mam politykę w dupie. Ale Trump jest wariatem, szaleńcem. To dyktator. Człowiek, który wywoła kolejną wojnę, zobaczysz. Jak Hitler, jak Putin. Pieprzyć Hitlera, pieprzyć Putina, pieprzyć Trumpa. Jesteśmy wolnym krajem, a wybraliśmy na prezydenta kogoś, kto wprowadzi nam dyktaturę.

Kilka godzin potem barman powie: – Jestem załamany. Trump to ktoś, kto nienawidzi ludzi. Chyba że jest się białym chrześcijaninem.

Po którejś podobnej rozmowie zaczynam myśleć o dusterach. Dla wielu zwycięstwo Trumpa przypomina taką apokaliptyczną chmurę pyłu. „Myśleliśmy, że to nasz osąd, myśleliśmy, że to nasz koniec” – śpiewa Woody Gunthrie w „The Great Dust Storm”. Ale kluczowy jest tu czas przeszły. Bo ostatecznie bohaterowie pakują się do samochodu i ruszają w poszukiwaniu nadziei. Ameryka odradza się na nowo.

### Austin niebieskie, Teksas czerwony

Kilka dni później jestem w Austin, milionowej stolicy Teksasu. Staram się nie myśleć o polityce – siedzę i odpoczywam przy słynnej Szóstej Ulicy, przy której w licznych lokalach rozbrzmiewa muzyka na żywo.

– Mówisz po polsku? Pochodzę z Polski! – zagaduje James, który do Austin przyjechał na koncert, choć okazuje się, że po polsku zna tylko kilka słów. W Teksasie jest dopiero drugi raz w życiu. – Wolę unikać tego stanu – mówi z przesadnie skrzywioną miną.

James mieszka w okolicach Seattle, a pochodzi ze Wschodniego Wybrzeża. Niemal od razu przechodzi do wyborów: – Jestem niesamowicie wkurzony. – Więc głosowałeś na Harris? – pytam. – Oczywiście. Ale rozejrzyj się dookoła, jestem jedynym, który nie głosował na Trumpa.

Próbuję z nim dyskutować. Przecież Austin to miasto, gdzie trzy czwarte ludzi popiera Demokratów. James niby o tym wie, ale jakby niespecjalnie w to wierzył. A ja myślę, jak śmieszne jest to, że jego spojrzenie na Teksas bardziej łączy go z ludźmi z Europy niż z rodakami.

– Tak, Austin jest niebieskie, ale Teksas czerwony. Nie znam nikogo, kto głosował na Trumpa. Nikogo! Nikt z mojej rodziny, znajomych. A tutaj? Wszyscy – powtarza i znów wskazuje na ludzi przechadzających wokół nas.

Tym razem nie słyszę nic o tym, że to dobrzy ludzie.

© JAN RADOMSKI

# Uczyńmy Czechy na powrót wielkimi

MARTYNA WASIUTA Z PRAGI

**Andrej Babiš kreuje się na „czeskiego Trumpa" i ma nadzieję, że w 2025 r. uda mu się wrócić do władzy. Wielu Czechów patrzy na taką perspektywę ze strachem.**

DATĘ TĘ WYBRANO NIEPRZYPADKOWO. „Pozostańmy demokratycznym sercem Europy", „Nie chcemy, żeby Czechy poszły drogą Ameryki, Słowacji i Węgier" – pod takimi hasłami przebiegała w niedzielę 17 listopada na Rynku Staromiejskim w Pradze manifestacja w obronie demokracji.

W Czechach 17 listopada jest świętowany jako Dzień Walki o Wolność i Demokrację. Dokładnie 35 lat wcześniej, tamtej jesieni ludów w roku 1989, rozpoczęła się aksamitna rewolucja, która doprowadziła do końca komunistycznych rządów w ówczesnej Czechosłowacji.

Tegoroczna demonstracja odbyła się pod auspicjami organizacji Milion chwilek. To ta sama organizacja pozarządowa, która w 2019 r. na błoniach Letnej w stolicy Czech zwołała największy od 1989 r. antyrządowy protest. Choć teraz zgromadzeni zapełnili praski Rynek, to frekwencja była jednak dużo mniejsza niż pięć lat temu, gdy protestowano przeciw populistycznym rządom ówczesnego premiera Andreja Babiša, wspieranego przez prezydenta Miloša Zemana.

Wprawdzie dziś ten pierwszy zasiada w ławach parlamentarnej opozycji, a ten drugi jest na emeryturze. Jednak, zdaniem organizatorów, Czesi nie powinni spać spokojnie: w roku 2025 kraj czekają wybory, a sondaże pokazują, że po nich Babiš może wrócić do władzy – i to silniejszy niż kiedyś.

**CZAS MOBILIZACJI** | Atmosfera manifestacji była więc mocno antybabiszowska. Za każdym razem, kiedy na scenie któryś z występujących wymawiał nazwisko byłego premiera, z tłumu wybrzmiewało buczenie i gwizdanie. Wyraźnie dało się dostrzec, że przyszli tu jego zdeklarowani oponenci.

Tu i tam widać też było domowej roboty banery, których treść uderzała w założyciela i szefa populistycznej partii ANO, np. wzywając do bojkotu produktów Agrofertu, koncernu należącego do Babiša (jest on też miliarderem). Gdzieniegdzie powiewały, prócz czeskich, także flagi unijne i ukraińskie.

Mówcy przekonywali, że w kampanii wyborczej Babiš będzie próbował wykorzystać realne problemy bytowe wielu Czechów, które są konsekwencją inflacji, wysokich cen energii i ubożenia społeczeństwa. Wzywano do podpisywania apelu do polityków, aby najbliższe miesiące wykorzystali do „mobilizacji demokratycznych wyborców" i uczynili wszystko, by w roku 2025 Czechy nie znalazły się na podobnej „autorytarnej ścieżce" co Węgry i Słowacja.

**SŁOWACKIE PRZESTROGI** | Przykład sąsiednich krajów, gdzie Viktor Orbán i Robert Fico wprowadzają swoje modele „demokracji nieliberalnej", na wielu Czechów działa dziś odstraszająco. Także dlatego na praskiej scenie wystąpił również były dyrektor słowackiej telewizji publicznej, odwołany po jej przejęciu przez ludzi Ficy.

*Szef partii ANO Andrej Babiš w drodze do lokalu wyborczego w Pruhonicach, wrzesień 2024 r.*

MICHAELA RIHOVA / CTK / PAP

MARTYNA WASIUTA

*Manifestacja w obronie demokracji na Rynku Staromiejskim w Pradze, 17 listopada 2024 r.*

Nie mogło też zabraknąć kilku słów przestrogi od byłej prezydent Słowacji Zuzany Čaputovej, która nagrała na tę okazję wystąpienie wideo. W trakcie urzędowania Čaputova dostawała liczne pogróżki, co stało się jedną z przyczyn jej rezygnacji z ubiegania się o reelekcję; w kwietniu tego roku słowackie wybory prezydenckie wygrał polityk z obozu Ficy.

Na praskim Rynku wystąpili też przedstawiciele studentów, którzy wyjechali ze Słowacji do Czech, ponieważ czuli się prześladowani po tym, jak krytykowali działania rządu Ficy. Apelowali teraz do Czechów, by dbali o demokrację.

**PODOBNA RETORYKA** | Bynajmniej nie obojętnie patrzą Czesi na swoich najbliższych sąsiadów. Centroprawicowy rząd premiera Petra Fiali już w marcu zdystansował się od Bratysławy po tym, jak słowacki minister spraw zagranicznych spotkał się z szefem rosyjskiego MSZ Siergiejem Ławrowem podczas forum w Turcji. W reakcji na to ostentacyjne zbliżenie słowacko-rosyjskie Praga zawiesiła konsultacje międzyrządowe z Bratysławą.

Media czeskie z wielką uwagą relacjonują kolejne wydarzenia na Słowacji pod rządami Ficy, który w ciągu roku osłabił kompetencje prokuratury w sprawach związanych z korupcją, przejął kontrolę nad mediami publicznymi i zmienił kurs słowackiej polityki zagranicznej tak, że teraz deklaratywnie balansuje ona między Rosją a Zachodem i dystansuje się od wsparcia dla Ukrainy.

Tymczasem, zdaniem organizatorów i uczestników demonstracji w Pradze, retoryka Babiša jest niebezpiecznie podobna do słowackiej (pokój na rosyjskich warunkach, krytyka dostaw broni dla Ukrainy). Stąd też obawy przed „scenariuszem słowackim".

Przypomnijmy, że ruch ANO odłączył się od liberałów (Renew Europe) w Parlamencie Europejskim i wszedł w skład grupy Patrioci dla Europy, do której należy też Fidesz Orbána i francuskie Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen.

**CO MÓWIĄ SONDAŻE** | Na rok przed wyborami w Czechach pojawia się więc niepokój o możliwy powrót populistów do władzy. Notowania rządu Fiali są kiepskie, sondaże nie dają większości koalicji rządowej, na czele której stoi jego Obywatelska Partia Demokratyczna (ODS).

Już od jakiegoś czasu prowadzi w nich ANO (Akcja Niezadowolonych Obywateli), ruch założony przez Andreja Babiša. Może dziś liczyć na prawie 34 proc. poparcia i 85 z 200 mandatów. Tymczasem ODS Fiali ma ponad dwa razy mniejsze poparcie (12 proc.), co dałoby jej tylko 30 mandatów.

Sondaże nie dają więc partii Babiša większości, ale jest prawdopodobne, że nawiąże ona współpracę z ksenofobiczną i antyunijną SPD Tomia Okamury lub z dwoma ugrupowaniami dziś jeszcze pozaparlamentarnymi: Przysięgą (akcentuje ona walkę z korupcją) i Zmotoryzowanymi (formacją antyunijną, która kontestuje Zielony Ład i stara się pozyskać sympatię właścicieli samochodów z silnikami spalinowymi; jej nazwę, Motoristé sobě, tłumaczy się też czasem jako Kierowcy). Występując wspólnie w koalicji, Przysięga i Zmotoryzowani uzyskały w tegorocznych wyborach do Parlamentu Europejskiego 10 proc. poparcia i dwa mandaty. Ostatni sondaż daje samym tylko Zmotoryzowanym nawet 6 proc. poparcia.

**BABIŠ NA FALI** | Koniunktura sprzyja populistom. O ile wybory europejskie można jeszcze było wziąć w nawias (do tej pory ich wyniki nie były reprezentatywne dla rodzimej polityki), to już wybory regionalne z 20-21 września pokazały, że Babiš jest w świetnej formie: ANO zajęła pierwsze miejsce w 10 z 13 województw i uzyskała dość mandatów w sejmikach (najwięcej w swej historii), by w ośmiu z nich stworzyć koalicję i obsadzić urząd hetmana (marszałka województwa).

To kolejny rekord ANO, która w poprzednich wyborach regionalnych wprawdzie także zajęła pierwsze miejsce w większości regionów, ale przez niską zdolność koalicyjną rządziła tylko w trzech. Partia Babiša wygrała także po raz pierwszy w wyborach do jednej trzeciej składu Senatu, uzyskując osiem z 27 miejsc, które były do obsadzenia.

Dziś Babiš nie kryje zadowolenia z wyniku wyborów w USA. Swoje uznanie dla Donalda Trumpa wyraził zaraz po ich głoszeniu, pisząc na portalu X, że Trumpa nie powstrzymały ani zamach, ani „polityczne procesy", ani „oszczercza kampania medialna". Wybierając się na zjazd Patriotów dla Europy, sfotografował się w czapeczce z napisem „*Make Europe Great Again*".

Obu sporo łączy. Tak jak Trump, Babiš zwykł atakować krytyczne wobec niego media. Był też mistrzem kreowania się na ofiarę i mediów, i spisku „starych" elit politycznych.

**CO Z DEMOKRACJĄ?** | Tymczasem liberałowie są w kryzysie. Przekonali się o tym czescy Piraci, którzy w tegorocznych głosowaniach ponieśli kompletną porażkę: partia ta straciła dwa mandaty z trzech w Parlamencie Europejskim, a potem większość radnych w sejmikach. O ile od 2020 r. dysponowali 99 mandatami (podobnie do ODS) we wszystkich trzynastu regionach, to teraz zostały im tylko trzy mandaty w województwie pilzneńskim. ↦

↦ Przypomnijmy, że Piraci w koalicji z Burmistrzami (partią samorządowców) jako jedyni byli w stanie przerwać trwającą od 10 lat hegemonię sondażową ANO, kiedy to przez trzy miesiące (marzec-maj 2021 r.) znajdowali się na pierwszym miejscu rankingu poparcia.

Tegoroczne sondaże Centrum Badań Opinii Publicznej (CVVM) wskazują, że choć większość (54 proc.) Czechów uznaje demokrację za najlepszy model rządów, to dla 17 proc. nie ma znaczenia, czy ustrój jest demokratyczny, czy też nie. Ponad jedna czwarta (27 proc.) uważa, że w pewnych okolicznościach rządy autorytarne mogą być lepsze. Mniej zadowolone z demokracji są osoby o niższym poziomie dochodów, a niedemokratyczne alternatywy dopuszczają zwłaszcza wyborcy komunistów, SPD Okamury i właśnie ANO.

**GDY CENY ROSNĄ** | Jak pokazały wybory prezydenckie w USA, dla Amerykanów to gospodarka była jednym z głównych czynników wpływających na ich decyzję. Czy tak będzie w przypadku Czechów, którym ostatnio nie są obce rosnące ceny?

Tegoroczny raport Poverty Watch (Europejska Sieć Przeciwdziałania Ubóstwu) wskazuje, że w Czechach przybywa osób, które znajdują się w tzw. ubóstwie energetycznym. Oznacza to, że nie stać ich na wystarczające ogrzewanie, zadłużają się w tym celu lub wydają ponad dwie piąte swoich dochodów na rachunki za energię. W 2024 r. odnotowano 1,3 mln takich osób i jest to niemal dwukrotny wzrost w stosunku do 2020 r., gdy rządził Babiš.

W ostatnim czasie odnotowano też rekordowo wysokie ceny najmu mieszkań. Granica 200 koron za metr kwadratowy została przekroczona nawet w Uściu nad Łabą, uchodzącym przez dłuższy czas za miasto z najtańszymi mieszkaniami na wynajem. Za rządów premiera Fiali padł też inny niechlubny rekord: w liczbie wypłacanych dodatków mieszkaniowych. W 2023 r. był on najwyższy od 2015 r.

Babiš i jego partia chętnie sięgają po kwestie ekonomiczno-społeczne, by uderzać w adwersarzy. „Zwrócimy wam to, co zabrał rząd Fiali" – tak brzmiało hasło wrześniowej kampanii wyborczej i najwyraźniej przyczyniło się do zwycięstwa ANO. Babiš przekonał tych, którzy czują się skrzywdzeni przez rządzących i chcą zmiany. Obietnice socjalne ANO kontrastują tu ze zdyscyplinowanym budżetem Petra Fiali.

**RZĄD JAK FIRMA** | Babiš nie jest jednak politykiem o autorytarnych zapędach, a ideologia nie jest jego mocną stroną. Choć będąc w latach 2017-21 premierem, próbował ręczne sterować państwem, przyzwyczajony do zarządzania w swoim koncernie, napotykał wiele barier biurokratycznych i instytucjonalnych, które nie pozwalały mu wdrażać spontanicznie zapowiedzianych decyzji. Bywało, że ogłoszone obietnice, mające np. podnieść morale w czasie pandemii, kończyły się blamażem.

Przede wszystkim jednak należy pamiętać, że główną motywacją jego działalności politycznej jest w dalszym ciągu zabezpieczanie interesów ekonomicznych jego koncernu. Wielki biznes Babiša uzależniony jest w dużym stopniu od dotacji unijnych. Jego partia przejmuje program lub co lepsze pomysły od koalicjantów.

Powiązanie jego firm z pieniędzmi unijnymi sprawia też, że Babiš nie będzie dążył do wyprowadzenia Czech z Unii. Nie wyklucza to antyunijnej retoryki na forum krajowym. Ale praktyka już pokazała, że na zewnątrz Babiš wpisuje się raczej w mainstream, a zarzuty wobec Unii wygłasza w kraju, utwardzając tym swój elektorat.

■■■

Babiš jest też politykiem chwiejnym w poglądach, co pokazał choćby jego stosunek do Rosji. Z jednej strony w okresie rządów ANO, w roku 2021, z rosyjskich placówek dyplomatycznych w Czechach wydalono rekordową liczbę Rosjan i doszło do zamrożenia stosunków z Moskwą. Z drugiej strony, będąc dziś w opozycji, ANO sprzeciwia się dostawom broni dla Ukrainy.

Nie można więc mieć pewności, jak Babiš będzie się zachowywać po ewentualnym powrocie do władzy. Najpewniej zainwestuje w te nastroje, które będą mu się najbardziej opłacały.

© MARTYNA WASIUTA

*Dr Martyna Wasiuta prowadzi portal czeskapolityka.pl*

# Uśmiech dyktatorów

TADEUSZ MICHROWSKI

**Europejscy przywódcy patrzą na perspektywę prezydentury Trumpa zazwyczaj z obawami. Nadzieje i obawy przywódców krajów afrykańskich są bardziej skomplikowane. Udajmy się w wędrówkę po mapie Afryki.**

Światowi liderzy gratulują Donaldowi Trumpowi – nawet jeśli niektórzy nie całkiem szczerze – i przygotowują się do nowej ery w amerykańskiej polityce. Ery zaskoczeń i niestabilności.

Nie inaczej jest w Afryce, gdzie ten wybór wpisuje się w szereg trwających od lat procesów.

### Radość dyktatorów...

Z radością powrót Trumpa witają ci, którzy widzą w nim polityka-biznesmena i nadzieję na własne interesy bez zobowiązań. Czyli takie „deale", w których celują dyktatorzy.

W Ugandzie przewodnicząca parlamentu (objęta sankcjami Departamentu Stanu USA za korupcję i naruszenia praw człowieka, m.in. ustawę karzącą homoseksualizm śmiercią) stwierdziła, że wraz z tym wyborem „sankcje zostaną zniesione". Z gratulacjami pośpieszył też niegdysiejszy laureat pokojowego Nobla Abiy Ahmed z Etiopii, dziś zamieszany w zbrodnie wojenne. Liczy, że dzięki nowej administracji USA uda mu się uzyskać uznanie międzynarodowe dla Somalilandu – separatystycznego regionu Somalii. Dla Ahmeda to istotny cel: niepodległy Somaliland zapewniłby wspierającej go Etiopii dostęp do morza.

W Sudanie, gdzie trwa największa współczesna katastrofa humanitarna, liderzy obu walczących stron ochoczo gratulowali Trumpowi. Choć, jak to określił jeden z lokalnych dyplomatów w rozmo-

JAMES WAKIBIA / SOPA IMAGES / GETTY IMAGES

*„Zwycięstwo Trumpa stawia pod znakiem zapytania kenijsko-amerykańskie rozmowy handlowe" – tytuł w gazecie „Business Daily". Nakuru, Kenia, 7 listopada 2024 r.*

wie z pismem „Middle East Eye", ten „prawie na pewno nie umiałby wskazać Sudanu na mapie. Ale lubi stawać po którejś ze stron".

### ...i smutek NGO-sów

Cieszy się też część społeczeństw. W RPA ekscytują się Trumpem środowiska niechętne imigracji, a w Afryce Zachodniej sympatią darzą go ewangeliccy kaznodzieje. Znalazł on nietypowych sojuszników nawet wśród nigeryjskiej diaspory: samozwańczy „premier" Biafry, żyjący w Finlandii, wyraził nadzieję, iż Trump pomoże zrealizować sięgające lat 60. XX w. marzenie o secesji tego regionu.

Wygląda na to, że Trump to dziś przede wszystkim nośnik dla – w zasadzie dowolnego – wyobrażenia tych, którzy pragną wierzyć w jego konserwatyzm, antysystemowość czy biznesowy geniusz.

Powodów do radości nie ma za to społeczeństwo obywatelskie Afryki. Trump utnie zapewne finansowanie szeregu programów: od walki z wirusem HIV, przez edukację, po wolne media. Nowa administracja Białego Domu może uznać, że – o ironio – organizacje krzewiące idee praw człowieka nie służą jej interesom.

Tymczasem światowy marsz populistów już mocno nadwyręża budżety pozostałych darczyńców – czy to publicznych, jak UE i Norwegia, czy prywatnych, jak Open Society Foundation George'a Sorosa. Natomiast pieniądze będą zapewne dalej płynąć od konserwatystów z USA: tych, którzy są odpowiedzialni np. za falę anty-LGBT w Afryce.

### Ubogim zwykle trudniej

Choć w niektórych analizach wybrzmiewa obawa o los handlu Stanów z Afryką, to przyszłość Kairu, Lagos czy Pretorii nie zależy dziś od niego. Mimo prób, Waszyngton nie zbudował trwałej i wartościowej wymiany handlowej z Afryką. Dziś USA ustępują pod tym względem nie tylko Chinom, ale też niektórym średnim gospodarkom Europy.

Wprowadzony jeszcze za Billa Clintona *African Growth and Opportunity Act* wprawdzie pozwala omijać cła, ale porozumienie to nie okazało się sukcesem na miarę pokładanych nadziei, a wielką część tej wymiany stanowią nadal surowce.

Trump niesie za to nadzieję pokoju między Ukrainą a Rosją. Choćby nietrwały, dawałby szanse na stabilizację handlu zbożem z Europy Wschodniej i spadek cen żywności. Te mocno urosły za sprawą inwazji Putina i popandemicznej inflacji. ONZ podaje, że w ciągu ostatnich pięciu lat czterokrotnie (do 55 mln) wzrosła w Środkowej i Zachodniej Afryce liczba ludzi zagrożonych głodem.

Co jednak, jeśli Trump zacznie wojnę handlową? Afryka ma to do siebie, że w zwielokrotniony sposób przeżywa światowe szoki gospodarcze. Ubogim państwom, a mamy tam do czynienia niemal tylko z takimi, trudniej obsługiwać dług, gdy świat się chwieje, ryzyko rośnie, a inwestorzy wolą stawiać na duże waluty, co winduje ich kurs. Niedawno skok kursu dolara niemal uniemożliwił Kenii spłatę zobowiązań. Schłodzenie światowej gospodarki też zaszkodziłoby zwłaszcza Afryce, gdzie gospodarki opierają się często na surowcach i niskich kosztach pracy.

Jeśli Donald Trump i Xi Jinping pójdą na wojnę celną, to możliwe, że najwyższą cenę zapłacą nie Amerykanie i Chińczycy, lecz Egipcjanie, Nigeryjczycy i Kongijczycy.

### Nie martwcie się o klimat...

Prezydentura Trumpa budzi ogromne obawy wśród osób zajmujących się zapobieganiem i adaptacją do zmian klimatu. Afryka zaś to kontynent nie tylko najbardziej dotknięty tymi zmianami, ale i najbardziej na nie niegotowy. Mało prawdopodobne, by nawet producent aut elektrycznych, Elon Musk, przekonał Trumpa do zielonej transformacji.

Mimo to w stolicach Afryki prawdopodobnie nie zaprzątają sobie głowy najbliższymi latami, gdy idzie o klimat. I to wcale nie jest dobra wiadomość.

Dobrą byłoby to, że już pierwsza kadencja Trumpa pokazała, iż zielonej transformacji nie da się po prostu zatrzymać. Biznes regulował się sam, zresztą z istotną rolą Unii Europejskiej, której standardy wiele afrykańskich firm chciało spełniać, by mieć dostęp do jej rynków.

Złą wiadomością jest jednak ta, że nawet z Demokratami w Białym Domu naukowcy i ekolodzy mieli niewiele powodów do radości. Globalne emisje są dziś wyższe niż kiedykolwiek, dyskusje o regulacjach stały się zakładnikiem sporu o powstrzymywanie Rosji, a słabe próby Bidena zmierzające do zahamowania boomu na gaz łupkowy z USA (zdaniem naukowców ze Stanforda może on przyśpieszać zmiany klimatu) spełzły na niczym.

Trump będzie zapewne głośny, ale jego kolejne cztery lata nie zmienią tu wiele, bo poprzeczka nie jest ustawiona wysoko. Liderzy w Afryce muszą tymczasem radzić sobie z problemami codzienności: elektryfikacją, stałością dostępu do prądu czy – jak w RPA – dekarbonizacją gospodarek. ↦

### ...ale martwcie się o Rosję

↦ Bez parasola ochronnego NATO i dziesiątek lat wspólnej polityki gospodarczej, państwa Afryki mają pełną świadomość, że USA i Zachód nie poświęcały konfliktom na południe od Zwrotnika Raka choćby odrobiny tej uwagi, którą skierowały na Ukrainę.

Tymczasem Rosja stale zwiększa tu swoje zaangażowanie. Proces ten zbiegł się już z pierwszą kadencją Trumpa i jego wizją *America First*. Dziś rosyjscy żołnierze-najemnicy (wielu to pogrobowcy Grupy Wagnera) obecni są w Mali, Nigrze, Burkina Faso, Republice Środkowej Afryki, Sudanie, Mozambiku, Madagaskarze i Zimbabwe.

To nie koniec. Moskwa właśnie wysłała „instruktorów wojskowych" do Gwinei i nie przepuści okazji, by objąć mackami jeszcze więcej kontynentu. Przestrzeń do działań ludzi Putina pojawi się zaś wkrótce w jeszcze większej skali – i w sposób nieoczywisty.

Po pierwsze to legitymizacja. Gdy Trump siądzie z Putinem do rozmów, wyśle Afryce sygnał: era izolowania Rosji dobiegła końca. Odtąd interesy z nią będą niosły małe ryzyko odwetu ze strony USA, czemu więc nie otworzyć się bardziej?

Wzrośnie też zapewne rosyjska, ale i chińska działalność dezinformacyjna. Raporty specjalizujących się w tym think tanków z ostatnich lat pokazują szereg dezinformacyjnych fal, które Rosja i Chiny generowały w Afryce – zwłaszcza w okresach wyborczych.

Znając niechęć Trumpa do fact checkingu, o swoje posady mogą obawiać się pracownicy Global Engagement Center: mało znanej agendy, która monitoruje dezinformację. Bez niej, a także z osłabionym społeczeństwem obywatelskim, fabryki trolli z Kremla i Pekinu mogą wejść na nowy poziom skuteczności.

### Jutro bez Zachodu?

Zanim europejscy przywódcy spotykają się z nowymi afrykańskimi rządami, pytają swoje resorty spraw zagranicznych o wiarygodność rozmówców. Na ile można wierzyć, że politycy ci mówią (choćby w obrębie konwencji dyplomatycznej gry) to, co zamierzają robić.

Dziś afrykańscy politycy zadają sobie to pytanie w drugą stronę. Widzą zmiany w Europie, kryzys przywództwa Niemiec, wojnę u granic Unii i co najmniej dyskusyjną postawę Europy wobec izraelskich poczynań w Gazie i Libanie. Wiedzą też, że nowa administracja USA nie będzie zainteresowana trwałymi relacjami z Afryką.

Jak i z kim zatem mają je budować? Na łamach szeregu pism, w tym „Jeune Afrique" (to czołowe medium frankofońskiej części Afryki), analitycy oferują dziś różne scenariusze. Może Afryka mogłaby wręcz skorzystać na amerykańskim izolacjonizmie i deglobalizacji? Może, zmuszona do porzucenia dawnych partnerstw, musiałaby dążyć do większego zjednoczenia politycznego i ekonomicznego, budując własną siłę?

*Wizyta Faustina Archange'a Touadery, prezydenta Republiki Środkowoafrykańskiej, w mieście Damara. Polityka chronią Rosjanie z Grupy Wagnera. Kwiecień 2022 r.*

SVEN TORFINN / PANOS PICTURES / FORUM

To ładna opowieść, ale i myślenie życzeniowe. Powiązania ekonomiczne wewnątrz kontynentu są słabe, zdecydowana większość handlu wychodzi na zewnątrz. Nie pomaga też fakt, że łączne PKB całej Afryki jest mniejsze niż PKB Francji. Paryż służy tu zresztą nie tylko za porównanie – to Francuzi gwarantują stały kurs walutowy (oparty na euro) piętnastu krajom Afryki.

Również jakość inicjatyw politycznych pozostawia wiele do życzenia. Na światowych forach głos Afryki wciąż nie „waży", a ostatnio lokalne organizmy polityczne borykają się z kryzysami. Przykładem Wspólnota Gospodarcza Państw Afryki Zachodniej (ECOWAS): po serii zamachów stanu, cztery z piętnastu państw wspólnoty zostały zawieszone, z czego trzy wkrótce ją opuściły.

### Świat wielu biegunów

Niezależność to zatem pieśń przyszłości. A skoro tak, impetu nabierają dwa inne koncepty.

Pierwszy to pomysł – już realizowany m.in. przez RPA – bliższych relacji z krajami grupy BRICS. Dominujące w tej grupie Moskwa i Pekin, silne dziś w Afryce, łatwo przedstawiają się jako wygodni sojusznicy, którzy wyznają wspólne wartości (cokolwiek ma to znaczyć) i stoją przed podobnymi wyzwaniami.

Nie jest przypadkiem, że jak dotąd jedynym względnie udanym projektem tej wciąż mało formalnej wspólnoty jest New Development Bank. Ta alternatywa dla Banku Światowego mogłaby kiedyś rzucić wyzwanie prymatowi dolara, który były prezydent RPA Thabo Mbeki nazwał w 2023 r. „narzędziem politycznym Zachodu" (to w kontekście inwazji Rosji na Ukrainę).

Drugi koncept to niuansowanie polityki wobec partnerów z Zachodu. Kraje Afryki dostrzegają, że liczą się już nie tylko Waszyngton, Paryż i Berlin – i coraz częściej wysyłają delegacje także do innych krajów, przede wszystkim z Unii Europejskiej. Rośnie też świadomość, jak duża część Europy nie ma przeszłości kolonialnej.

To z jednej strony duża szansa także dla Polski, która coraz sprawniej buduje relacje w Afryce. Ale z drugiej zagrożenie: taki wielobiegunowy świat oznacza, że pojedyncze państwa Europy będą wprawdzie znaczyć więcej jako soliści w relacjach

z Afryką, za to głos organizacji politycznych, które współtworzą, będzie przez to brzmieć ciszej.

### „Broligarchia" w natarciu

Jeszcze przed wyborami w USA socjolożka Brooke Harrington na łamach „The Atlantic" określiła otoczenie wspierających Trumpa miliarderów mianem „broligarchii". Termin, dotąd używany żartobliwie, opisuje grupę kumpli skupionych na alkoholu, sporcie i męskich zabawach (*bro* to slangowo brat, kumpel).

Nikt nie jest twarzą tego zjawiska bardziej niż Elon Musk, urodzony w RPA miliarder i osobowość medialna. Jednak, *nomen omen*, nikt nie odkrył tu Ameryki. Musk wnosi bowiem do swojej nowej amerykańskiej ojczyzny najstarsze – i najgorsze – wzorce znane z historii Afryki.

Właściciel platformy X (dawnego Twittera) zaprzyjaźnia się z przywódcą, wspiera go i dzięki temu funkcjonuje w dwóch światach naraz: biznesu i polityki. Od RPA, przez Zimbabwe, po Ghanę ta metoda przyjmuje różne kształty (niekiedy w postsowieckim stylu: najpierw relacja z władzą, potem przejście do biznesu). Ale skutki tego procesu są podobne: zatarcie granicy między tym, co publiczne, a tym, co prywatne. Biznes staje się narzędziem władzy, a władza narzędziem biznesu.

Wiele afrykańskich fortun to efekt takich relacji. Dziś zaś „Afrykanin" Musk zadomawia się w ramach tego modelu w Białym Domu. Dodajmy: „Afrykanin" wychowany w czasach apartheidu, absolwent szkoły tylko dla białych chłopców, który lubi publikować posty o rzekomym ludobójstwie białych w RPA i naśmiewać się z polityki różnorodności Netfliksa.

■■■

Musk, Trump ani ludzie z otoczenia przyszłego prezydenta – nikt z nich nie będzie adwokatem Afryki. Za to jej liderzy doskonale znają i rozumieją ten sposób działania.

Rzecz w tym, że to model daleki od wartości, które Zachód próbuje dotąd promować. Dla Afrykanów to kolejny już sygnał do przeanalizowania: w jaki sposób – i z kim – budować przyszłość.

© TADEUSZ MICHROWSKI

ANNE BARTH / REUTERS / FORUM

*„Mój Boże, pomóż mi przetrwać tę zabójczą miłość": Gerhard Schröder i Władimir Putin na muralu w East Side Gallery w Berlinie, kwiecień 2022 r.*

# Dusza Putina, błędy Zachodu

SYLVIE KAUFFMANN, FRANCUSKA DZIENNIKARKA I ANALITYCZKA:

**Pomysł, aby USA dogadały się z Rosją w sprawie Ukrainy bez udziału Europejczyków, byłby czymś dramatycznym. Liczę na zryw Europy w sferze obronności. Polska odgrywa tutaj coraz większą rolę.**

**SZYMON ŁUCYK: „Spojrzałem temu człowiekowi w oczy. Udało mi się zajrzeć w jego duszę". Człowiekiem, o którym mowa, był Władimir Putin. Ale, przyznaję, nigdy bym nie zgadł, kto był autorem tych słów, które cytuje Pani w książce „Zaślepieni", poświęconej relacjom między politykami zachodnimi a Kremlem w latach 1999-2023.**

**SYLVIE KAUFFMANN:** Tak ówczesny prezydent USA George W. Bush odpowiedział na pytanie dziennikarza, a było to w czerwcu 2001 r. w Słowenii, zaraz po spotkaniu prezydentów Rosji i USA. Pięć miesięcy wcześniej Bush objął urząd prezydenta. Potem wszyscy kpili sobie z Busha, który po tamtym spotkaniu poczuł do Putina sympatię. Nie zorientował się, że dał się usidlić swojemu rozmówcy, który rozgryzł go od razu i udawał przed nim kogoś niezwykle szczerego. Bush nie widział, że Putin jest bardzo dobrym aktorem.

**Łatwo się dziś natrząsać z prezydenta USA jako polityka skrajnie naiwnego. Rzecz w tym – jak przekonujemy się, czytając Pani książkę** ↦

**– że przez ostatnie ćwierć wieku wielu innych polityków, niemieckich i francuskich, dało się wodzić za nos Putinowi. Dlaczego?**

Myślę, że dużą rolę odgrywała tu właśnie naiwność. Ale nie dotyczyła wszystkich. Pod tym względem przeciwieństwem Busha był Aleksander Kwaśniewski, były komunista, który jako polski prezydent rozmawiał z Putinem rok po opisanym spotkaniu w Słowenii, w 2002 r. Od razu pojął zagrożenie ze strony swojego rozmówcy, gdy ten oświadczył, że jego celem jest odbudowa „wielkiej Rosji". Może aby zrozumieć w lot sens tych słów, trzeba być Polakiem...

**Czy o naiwności można mówić w przypadku Gerharda Schrödera, kanclerza Niemiec w latach 1998-2005?**

Z dzisiejszej perspektywy wydaje mi się, że Putin – człowiek KGB – przestudiował najpierw dobrze profil Schrödera. Zrozumiał, że wiele elementów – jego osobowość, jego ciężkie dzieciństwo, podobne do wczesnych lat Putina, pokrewna im obu słabość do kobiet i pieniędzy – pozwolą mu złapać Schrödera na wędkę. Ta metodyczna operacja uwodzenia Schrödera, psychologiczna i dyplomatyczna, doskonale się powiodła.

Koniec końców Schröder nie tylko dał się uwieść, ale i kupić. Rzecz, która ogromnie mnie zszokowała: zaledwie 17 dni po odejściu z urzędu kanclerza w 2005 r. stanął na czele pierwszego konsorcjum Nord Stream [kierowane przez rosyjski Gazprom, zbudowało pierwszą nitkę gazociągu bałtyckiego, który uruchomiono w 2011 r. – red.]. Z etycznego punktu widzenia było to niedopuszczalne.

Co więcej: Angela Merkel, która objęła urząd po Schröderze, dała zielone światło na ten „transfer". Nikt z niemieckiej klasy politycznej nie protestował wtedy przeciw temu. W 2017 r. Schröder wszedł też do kierownictwa rosyjskiej spółki naftowej Rosnieft. Podał się do dymisji dopiero w maju 2022 r., trzy miesiące po inwazji rosyjskiej na Ukrainę.

**Angela Merkel nie była skorumpowana ani naiwna. Pochodząc z NRD, znała metody KGB. Czemu w porę nie dostrzegła pułapki?**

To prawda, Merkel nie miała złudzeń co do Putina. Nie znosiła go od początku, raziło ją na przykład jego złe zachowanie wobec kobiet.

**Jednak kontynuowała, a nawet wzmocniła politykę Schrödera uzależniania się od rosyjskiego gazu. Dlaczego?**

Myślę, że jej priorytetem była *prosperity* niemieckiej gospodarki. Uznała, że do tego trzeba najtańszej energii w dużej ilości, a więc gazu z Rosji. Tu jest też pewien specyficzny dla Niemiec wątek, który pojawiał się w moich rozmowach z ważnymi niemieckimi politykami: „My Niemcy wiemy, jak poradzić sobie z Rosjanami". Gdy zauważałam, że Putin od dawna stosuje gaz jako broń wobec Ukrainy czy Litwy, słyszałam: „Nam on nigdy nie ośmieli się tego zrobić". Z naciskiem na słowo „nam". Widzę w tym oznakę arogancji Niemców wobec Rosji. Także Merkel zdawała się tak myśleć. To był jej wielki błąd.

**„Nie wolno upokarzać Rosji": to zdanie jak refren powtarzali kiedyś prezydenci Francji, od Chiraca przez Sarkozy'ego po Macrona. Czy to strach przed Moskwą był motorem uległości Paryża wobec niej?**

Motywacje dla postawy Francji wobec Rosji były odmienne niż niemieckie. Na stosunku Niemiec do Rosji zaważyły mocno wymiary historyczny i ekonomiczny, kwestia energii. W apogeum Niemcy importowały z Rosji aż 55 proc. gazu, który używały.

Z kolei Paryż uważa się wciąż za potęgę militarną, posiada przecież broń atomową, i z tego powodu ma ambicję, by zarządzać bezpieczeństwem w Europie. Francuscy prezydenci uznawali zawsze, że nie można sobie wyobrazić ładu europejskiego bez współpracy z wielkim państwem i mocarstwem atomowym, jakim jest Rosja. Kwestie ekonomiczne miały tu mniejsze znaczenie, Francja nie była tak zależna od rosyjskiego gazu jak Niemcy. W tym zdaniu, że „nie wolno upokarzać Rosji", jest więc zarówno jakaś fascynacja jej wielkością, jak i strach.

**Ale chyba nie tylko to, lecz również lepkie ręce niektórych francuskich polityków. François Fillon, premier z lat 2007-12, po odejściu z polityki od 2021 r. przez dwa lata był w radzie dyrektorów dwóch rosyjskich spółek sektora energetycznego. Zrezygnował z tego dopiero po inwazji Rosji na Ukrainę.**

Gdy Fillon był premierem, spotykał się wiele razy z Putinem. Otwarcie pisze we wspomnieniach, że był nim oczarowany. W grę wchodził, prócz przekupywania, jak w przypadku Schrödera, także aspekt kulturalny. Putin przedstawiał się wtedy jako obrońca konserwatywnej i chrześcijańskiej Rosji. Widział, że Fillon należy do konserwatywnej francuskiej prawicy, do której mocno przemawia taki język.

Poza tym ultrakonserwatywna francuska prawica marzy o „silnym człowieku" u sterów i stąd Putin jej imponował. Tak było też z prezydentem Nicolasem Sarkozym [urzędował w latach 2007-12 – red.], który do dziś broni swej decyzji z 2011 r. o sprzedaniu Rosji okrętów desantowych Mistral [umowę tę anulował jego następca François Hollande – red.].

**Bliskie związki finansowe z Kremlem nie dotyczyły jedynie francuskiej prawicy czy skrajnej prawicy Marine Le Pen?**

Także socjalista Dominique Strauss-Kahn, były szef Międzynarodowego Funduszu Walutowego, należał od 2013 r. do rady nadzorczej publicznego rosyjskiego Funduszu Inwestycyjnego RDIF.

Generalnie z moich rozmów z ważnymi dyplomatami i politykami wynika, że dziś Niemcom łatwiej jest niż Francuzom przyznać się do błędów wobec Rosji.

**Ważnym momentem w relacji Zachód–Rosja był szczyt NATO w 2008 r. w Bukareszcie. Wbrew zabiegom państw Europy Środkowej, Merkel i Sarkozy zablokowali wtedy na lata akcesję Gruzji i Ukrainy do Sojuszu. W kuluarach, jak Pani ujawnia, miała miejsce psychodrama, w tym ostra wymiana zdań między Lechem Kaczyńskim a Merkel.**

Szczyt bukaresztański był punktem zwrotnym. Nie tylko dla Gruzji, którą Putin zaatakował kilka miesięcy później, ale w ogóle dla relacji między Rosją, Europą i USA. Dyplomaci, z którymi rozmawiałam, wspominają atmosferę tego szczytu jako straszną, traumatyczną. Kraje Europy Środkowej rozumiały zagrożenie dla Gruzji i Ukrainy w przypadku odrzucenia ich akcesji do NATO. Ale nie miały takiego znaczenia jak dziś. Ta „nowa Eu-

ropa" była zbyt słaba, by przeciwstawić się „starej Europie". Teraz sytuacja wygląda na szczęście inaczej.

Już po rosyjskiej inwazji na Ukrainę prezydent Emmanuel Macron odniósł się krytycznie do tamtej decyzji z Bukaresztu, mówiąc, że Zachód stracił wtedy okazję, by posłuchać takie kraje jak Polska. To zresztą jasna aluzja do głośnego zdania prezydenta Jacques'a Chiraca: ponad 20 lat temu zarzucał on nowym członkom NATO, w tym Polsce, że popierając inwazję USA w Iraku „straciły okazję, żeby siedzieć cicho".

**„Potęga amerykańska skręca w stronę Azji. Rosja została zredukowana do sprawy europejskiej. I to Europejczycy muszą sobie z nią poradzić" – tak pisze Pani o czasach prezydentury Baracka Obamy po 2008 r. Dziś, po ponownym zwycięstwie Trumpa, jest to jeszcze bardziej aktualne.**

Sam Trump oznajmił, że trzeba pozbyć się wojen na Bliskim Wschodzie i Ukrainie, żeby skoncentrować się na amerykańskiej rywalizacji z Chinami i innymi krajami Azji. Jeśli on będzie chciał załatwić kwestię ukraińską ponad głowami Europejczyków, będzie to naprawdę groźne. Los Ukraińców dotyczy nie tylko ich samych, ale bezpieczeństwa całej Europy. Pomysł, by USA dogadały się z Rosją w sprawie wojny w Ukrainie bez udziału Europejczyków, uważam za coś dramatycznego.

**Trump obiecywał w kampanii, że zakończy wojnę w Ukrainie w 24 godziny. Jak miałoby to wyglądać?**

Gdyby Trump usiadł do pertraktacji tylko z Putinem i Zełenskim, z pominięciem Europejczyków, to byłaby dla Europy katastrofa. Mam nadzieję, że od momentu wyboru Trumpa zacznie się prawdziwy zryw Europy. I że jeśli dojdzie do rozmów między Ukrainą a Rosją, Europejczycy będą domagać się jednym głosem, by znaleźć się przy stole rokowań.

Przyszły prezydent USA jest nieprzewidywalny. Może jednak nie będzie chciał zrobić Rosji prezentu w postaci Ukrainy? Prawdę mówiąc, uważam, że wszystkie scenariusze są możliwe.

**Biorąc pod uwagę obecne kryzysy wewnętrzne we Francji i Niemczech, czy Berlin i Paryż potrafią przewodzić temu zrywowi Europy?**

Mamy tutaj dwa różne kryzysy. Francja ma ogromny problem budżetowy [dług publiczny sięga 112 proc. PKB, podczas gdy dopuszczalny pułap w Unii wynosi 60 proc. PKB – red.], ale Paryż nadal twierdzi, że chce wspierać Ukrainę i przeciwstawiać się Rosji. Macron, choć osłabiony, zachowuje kontrolę nad polityką zagraniczną i obronnością.

**A Niemcy? Zaczyna się tam właśnie kampania przed przedterminowymi wyborami do Bundestagu, zaplanowanymi na luty 2025 r.**

W Niemczech sytuacja jest poważniejsza. Niemiecka opinia publiczna jest zmęczona wojną i wsparciem dla Ukrainy. Istnieją tam siły otwarcie prorosyjskie, jak skrajnie prawicowa AfD i skrajnie lewicowa partia Sahry Wagenknecht. Mnie też martwi postawa socjaldemokratycznej SPD i kanclerza Olafa Scholza, który daje społeczeństwu przekaz, że jest „kanclerzem pokoju".

**Na łamach „Le Monde" pisała Pani ostatnio, że wobec powrotu Trumpa i groźby wycofania się USA z pomocy dla Kijowa, premier Donald Tusk jest „bardzo aktywny", próbując zmobilizować Europę do pomocy Ukrainie. Warszawa przejmuje inicjatywę od Paryża i Berlina?**

Widzę, że rośnie znaczenie Polski, a także krajów nordyckich. Wśród nich Dania posuwa się najdalej w swoim wsparciu dla Ukrainy. Szwecja i Finlandia, które niedawno przystąpiły do NATO, też są bardzo aktywne. Ten blok nordycki koordynuje dziś działania z Polską i krajami bałtyckimi, które są najbardziej wystawione na rosyjskie zagrożenie.

Podczas ostatniego unijnego szczytu w Budapeszcie na początku listopada Tusk miał długie spotkanie dwustronne z Macronem, a następnego dnia powiedział, że chce aktywnie koordynować działania z krajami, które podzielają jego poglądy na temat Ukrainy. Obejmuje to Wielką Brytanię, kraje bałtyckie i skandynawskie. Nazywam to nowym sojuszem Wschodu i Północy Europy.

**Może się to udać? Europa poderwie się, by uczynić coś w sferze obronności?**

Tego jeszcze nie wiemy. Polska rośnie w siłę, ale wciąż jest słabsza gospodarczo od Niemiec i Francji. Warszawa ma budżet wojskowy, który robi wrażenie na wielu w Europie, ale wciąż niezbyt chętnie kupuje broń z Europy, preferując sprzęt amerykański. To problem, jeśli chcemy budować w miarę autonomiczne europejskie siły zbrojne.

Nie oszukujmy się: ani Francja, ani Niemcy nie chcą, aby Polska natychmiast stała się nowym wielkim liderem Europy. Ale to dobrze, że w Europie pojawiają się dziś nowi mocni gracze, jak Polska. Dzięki temu nie będziemy już zależni od tego, co powiedzą wspólnie Berlin i Paryż.

© Rozmawiał w Paryżu SZYMON ŁUCYK

Rozmowa odbyła się 15 listopada

ARCHIWUM PRYWATNE

**SYLVIE KAUFFMANN** (ur. 1955) jest francuską dziennikarką specjalizującą się w kwestiach międzynarodowych. W przeszłości była redaktorką naczelną opiniotwórczego dziennika „Le Monde" (2010-2011), a wcześniej korespondentką tej gazety m.in. w Moskwie i Waszyngtonie oraz reporterką w Europie Środkowej i Azji. Obecnie stała komentatorka „Le Monde" oraz „Financial Times". Członkini władz think tanku Europejska Rada Spraw Zagranicznych (ECFR). Jej książka pod tytułem „Zaślepieni. Jak Berlin i Paryż dały Rosji wolną rękę", która powstała na podstawie rozmów z licznymi politykami i dyplomatami, pokazuje kulisy relacji między USA, Europą a Kremlem od czasu dojścia do władzy Władimira Putina aż do pełnoskalowej inwazji na Ukrainę. Polski przekład właśnie ukazał się nakładem wydawnictwa Kultura Liberalna. © SZŁ

HISTORIA

# MAMO, ODDYCHAM OGNIEM

40 lat temu toksyczny wyciek w indyjskim Bhopalu zabił od kilku do kilkunastu tysięcy ludzi. Kolejne tysiące miały umrzeć później.

MAREK RABIJ

Gdyby dwa lata wcześniej dyrekcja indyjskiej fabryki Union Carbide nie wrzuciła na dno szuflady raportu, który tamtejszą linię do produkcji pestycydów opisywał jako śmiertelne zagrożenie dla mieszkańców Bhopalu, noc z 2 na 3 grudnia 1984 r. mogłaby nie przejść do historii jako data największej katastrofy przemysłowej w dziejach.

Gdyby kilka dni przed wypadkiem pracownicy czyszczący układ chłodzący zbiornika z toksycznym izocyjanianem metylu sprawdzili stan zaworów odcinających dopływ wody, mogliby odkryć, że są skorodowane. Jednak personel nadzorujący instalację kilka miesięcy wcześniej zredukowano o połowę. Z pozostawionej w pracy szóstki nikt nie znał angielskiego na tyle płynnie, by zrozumieć instrukcję obsługi systemu chłodzącego i zdać sobie sprawę z zagrożenia.

Gdyby po nagłym rozszczelnieniu zbiornika zadziały zainstalowane na nim systemy bezpieczeństwa, trucizna mogłaby zostać zneutralizowana. Ale zabezpieczenia nie działały od sześciu miesięcy. Dyrekcja walczącego o rentowność zakładu uznała je za zbytek.

Gdyby wreszcie, tuż po północy 3 grudnia 1984 r., ktoś na terenie zakładów chemicznych Union Carbide nie ściszył włączonego kilka minut wcześniej alarmu, możliwe, że Raszidy Sarangi nie zbudziłaby dopiero jej 5-letnia córeczka, która wykasłała w stronę matki: „*Maan, main aag ugalata hoon*" (Mamo, oddycham ogniem).

**GAZ NA ULICACH** | Raszida pamięta, że najpierw spojrzała na zegarek, bo z zewnątrz dobiegały dziwne o tej porze odgłosy zamieszania. Dochodziła pierwsza dwadzieścia. Przeniosła nieprzytomny wzrok na córkę i wtedy dopiero poczuła, że i ją piecze twarz, oczy łzawią, a oddech ma płytki i bolesny.

Wspominała potem: „Chwyciłam córkę i zaczęłam uciekać, walcząc o każdy oddech. Właściwie nie biegłam, tłum, w który wpadłam po wyjściu z domu, porwał nas jak fala. Walczyłam, żeby nie upaść, bo by nas zadeptano. W tłumie raz za razem słychać było jedno słowo: fabryka".

Ci, którzy jak Raszida i jej córka przeżyli tę noc, opowiadali potem, że czuli, jakby ktoś wypchał ich od środka najostrzejszym chili. Tysiące mieszkańców Bhopalu nie poczuły jednak nic. Gaz zabił ich we śnie.

**KATASTROFA** | Co się właściwie wydarzyło? Pięćdziesiąt minut po północy na terenie pobliskich zakładów chemicznych, należących do amerykańskiej firmy Union Carbide, pękł zbiornik z izocyjanianem metylu. Cięższy od powietrza gaz dość szybko rozpłynął się po okolicy, gromadził się w wąskich uliczkach dzielnic zamieszkanych przez biedotę, wpełzał do domów, których mieszkańcy spali zwykle na podłodze.

Wybuchła panika. Ludzie tratowali się, uciekając przed zagrożeniem, które szybko powiązano z pobliską fabryką.

Gdy nastał świt, przyszła pora na pierwsze rachunki ofiar. Union Carbide podała, że w nocy z 2 na 3 grudnia na terenie zakładu i w jego okolicy zmarło 3,8 tys. osób. Te szacunki szybko uznano za zaniżone, choćby z uwagi na to, że w kolejnych dniach do miasta sprowadzono i sprzedano ponad 8 tys. żałobnych całunów.

Tysiące podtrutych mieszkańców miały zresztą dopiero spotkać się z przeznaczeniem. Izocyjanian metylu wywoływał objawy porównywalne z obrzękiem płuc: najpierw kaszel, potem duszności, wreszcie paraliż układu oddechowego. Do końca roku 1984 roku w Bhopalu zmarło – jak szacują różne źródła – od 15 tys. do nawet 24 tys. osób, które tamtej nocy miały styczność z gazem. Około pół miliona ludzi odniosło pomniejsze obrażenia.

**ZWALCZYĆ GŁÓD** | Fabryka Union Carbide w Bhopalu była nowym zakładem. Ruszyła 15 lat wcześniej i wiązano z nią duże nadzieje na poprawę warunków życia najbiedniejszych Indusów.

W latach 60. XX w. społeczność międzynarodowa za cel postawiła sobie likwidację problemu głodu. Miało w tym pomóc upowszechnienie pestycydów, nawozów sztucznych i nowych odmian zbóż, charakteryzujących się zwiększoną plennością i odpornością na choroby. W ciągu kilkunastu lat miało to doprowadzić do szybkiego wzrostu globalnej produkcji pszenicy, ryżu i kukurydzy.

Indie, które w latach 1964-66 zmagały się co roku z plagą głodu wywołaną suszami, program „Zielonej Rewolucji", z jakim wystąpiła Organizacja do spraw Wyżywienia i Rolnictwa, przyjęły entuzjastycznie. Ich populacja rosła w tempie ponad 5 proc. rocznie, u progu lat 70. przekraczając pułap 500 milionów.

Skuszony optymistycznymi raportami zarząd firmy chemicznej Union Carbide z USA również postanowił załapać się

*Demonstracja w 25. rocznicę tragedii w Bhopalu, 2 grudnia 2009 r.*

REINHARD KRAUSE / REUTERS / FORUM

na zwiastowaną hossę w indyjskim rolnictwie i podjął współpracę z władzami stanu Madhja Pradeś. W 1969 r. uruchomił na przedmieściach Bhopalu fabrykę nawozów sztucznych i pestycydów.

**ZASTĄPIĆ DDT** | Amerykanie mieli asa w rękawie. Był nim opracowany przez Union Carbide pod koniec lat 50. XX w. karbaryl: środek silnie insektobójczy, zwykle sprzedawany pod nazwą handlową Sevin.

W chwili, gdy władze koncernu negocjowały w Indiach warunki *joint venture* (co miało zaowocować uruchomieniem zakładu w Bhopalu), do opinii publicznej na świecie docierały kolejne informacje o szkodliwości innego środka owadobójczego, który od końca II wojny światowej zdominował światowe rolnictwo. Mowa o DDT.

W 1962 r. w Stanach wyszła – i szybko stała się głośna – książka „Silent Spring" Rachel Carson. Autorka zbierała informacje o wpływie tej substancji na środowisko. Naukowcy informowali o wynikach badań, że DDT szkodzi też ludziom. W branży chemicznej narastało więc przekonanie, że w ciągu kilku lat na rynku powstanie wielka luka po królującej dotąd na nim substancji, którą trzeba będzie wycofać z obiegu. Karbaryl stanowił dla DDT doskonały zamiennik.

**FABRYKA** | Zarząd koncernu nie przewidział jednak, że dla milionów skrajnie ubogich indyjskich rolników barierą nie do pokonania okażą się ceny zachodnich nawozów i środków ochrony roślin oraz technologie niezbędne do ich stosowania.

W rezultacie „Zielona Rewolucja" przyniosła tu efekty dość mizerne. Na domiar złego pod koniec lat 70. świat wpadł w recesję wywołaną kryzysem paliwowym, co odbiło się też na globalnych cenach surowców rolnych oraz na zapotrzebowaniu na nawozy i środki ochrony roślin.

Fabryka w Bhopalu, dzięki niskim kosztom pracy, w tak trudnym otoczeniu rynkowym była dla Union Carbide zasobem nie do przecenienia. Ale nawet w Indiach zarząd postanowił szukać oszczędności. Na pierwszy ogień poszła technologia wytwarzania karbarylu, którą w 1979 r. pospiesznie zmodyfikowano pod zastosowanie tańszego surowca, jakim był izocyjanian metylu – najprostszy w produkcji izocyjanian organiczny.

**SUBSTANCJA** | Poza niską ceną substancja ta nie miała w zasadzie żadnych zalet, a z technologicznego punktu widzenia jej zastosowanie było wręcz nieuzasadnione. Izocyjanian metylu jest bowiem nie tylko śmiertelnie toksyczny, ale też chemicznie bardzo niestabilny, w temperaturze minus 7 stopni Celsjusza ulega zapłonowi, wrze zaś już przy 39,1 stopniach. W subtropikalnym klimacie Indii oznaczało to konieczność ustawicznego chłodzenia instalacji. Z kolei w kontakcie z wodą substancja ta wytwarza olbrzymie ilości ciepła, które mogą doprowadzić do wybuchu.

Niezrażony potencjalnym zagrożeniem zarząd Union Carbide zaaprobował jednak zmianę technologii produkcji, licząc na to, że tańszy karbaryl z Indii znajdzie więcej nabywców. Gdy stało się jasne, że i te kalkulacje są nietrafione, władze firmy postanowiły przeczekać recesję, zmniejszając produkcję w Bhopalu, ale nie pozbywać się zapasu izocyjanianu metylu.

Wieczorem 2 grudnia 1984 r. w chłodzonych zbiornikach na terenie fabryki, oddalonych niespełna 5 km od gęsto zaludnionego centrum Bhopalu, znajdowały się 43 tony tej substancji. ↦

DINODIA PHOTOS / ALAMY STOCK PHOTO / ALAMY / BE&W

*Jedna z osób poszkodowanych w katastrofie w Bhopalu, grudzień 1984 r.*

↦ Do uśmiercenia dorosłego człowieka wystarczyło ok. 50 gramów.

**NA ODWRÓT** | Ryzyko związane z użyciem izocyjanianu metylu było tak duże, że w większości europejskich i amerykańskich fabryk chemicznych zrezygnowano z tego surowca. Władze Union Carbide – co podnosili potem krytycy firmy – musiały więc zdawać sobie sprawę, że ryzykują zdrowiem i życiem ponad 800 tys. mieszkańców Bhopalu.

Zakład wybudowano na bliskich przedmieściach, dla ułatwienia transportu surowców koleją, i w pobliżu miejscowych slumsów, z których rekrutowała się duża część pracowników fizycznych. W kolejnych latach rozrastające się miasto zbliżyło się do fabryki jeszcze bardziej, co powinno było skłonić jej właścicieli do zwiększenia środków bezpieczeństwa.

Stało się tymczasem na odwrót. Śledczy, którzy po katastrofie analizowali dokumentację zakładu, odkryli na przykład, że kilka miesięcy wcześniej na polecenie dyrekcji podniesiono temperaturę pracy układu chłodzącego zbiornik z izocyjanianem metylu z zalecanych 4,5 stopni do 20 stopni Celsjusza, żeby zaoszczędzić na energii.

Z tego samego powodu zarządzający fabryką nakazali też dezaktywację dwóch systemów bezpieczeństwa, które miały zneutralizować toksyczny gaz na wypadek rozszczelnienia instalacji. Dyrekcja nie uznała nawet za stosowne podzielić się informacją o zwiększeniu zasobów izocyjanianu metylu z władzami miejskimi.

**OSTRZEŻENIE** | Audytorzy, którzy w 1982 r. na zlecenie Union Carbide badali stan instalacji w fabryce w Bhopalu, pozwolili sobie na stworzenie scenariusza katastrofy, który dwa lata później zrealizował się niemal co do joty.

Autorzy raportu zwracali więc uwagę na zagrożenie ze strony układu do czyszczenia linii produkcyjnej. Do tego celu miała służyć para wodna, ale bojler parowy systemu czyszczącego nie działał w fabryce od miesięcy. Naprawę odwlekano, pracownicy z konieczności stosowali więc rozwiązanie dopuszczone wyłącznie jako środek tymczasowy: przepłukiwali linię produkcyjną dużą ilością bieżącej wody. W reakcji z chemikaliami tworzyła ona jednak żrące substancje, które korodowały zawory.

Inżynierowie badający linię w 1982 r. podkreślili, że jeśli kwasy uszkodzą zawory, do instalacji wedrą się duże ilości wody, ta zaś w kontakcie z izocyjanianem metylu może doprowadzić do wzrostu ciśnienia, który rozerwie zbiornik z toksycznym gazem.

**SKALA ZANIEDBAŃ** | O tym, że szczelność całego układu pozostawia wiele do życzenia, władze fabryki wiedziały od dawna. Między rokiem 1980 a 1984 w fabryce zidentyfikowano ponad 30 poważnych usterek, z których 11 dotyczyło funkcjonowania instalacji z izocyjanianem metylu oraz innym równie groźnym gazem: fosgenem. W 1981 r. doszło nawet do groźnego wycieku, w wyniku którego jeden pracownik zmarł, a 25 trafiło do szpitala.

Automatyczny system ostrzeżeń przed wyciekiem włączał się zresztą systematycznie i wymuszał przestoje w pracy, co skłoniło dyrekcję do... jego wyłączenia. Doświadczonych pracowników, którzy alarmowali przełożonych, że cięcia kosztów mogą doprowadzić do katastrofy, zwolniono i zastąpiono nieprzeszkolonymi. Gdy po katastrofie śledczy zaczęli poszukiwania szefa nocnej zmiany, odkryli, że stanowisko to od ponad roku było nieobsadzone.

Zarząd koncernu w pierwszym komunikacie po wypadku zasugerował, że zakład padł ofiarą sabotażu.

**POTEM** | W ramach ugody, zawartej po katastrofie z indyjskim rządem, koncern Union Carbide zgodził się wypłacić 470 mln dolarów odszkodowania, z czego część trafiła do skarbu państwa. W negocjacjach nie brali udziału przedstawiciele rodzin ofiar. Niektórym wypłacono po 500 dolarów, co nie pokryło nawet kosztów leczenia.

W 1989 r., po przeprowadzeniu badań na terenie fabryki, które wykazały, że poziom skażenia wciąż zagraża życiu, zarząd Union Carbide podjął decyzję o jej likwidacji. Pieczę nad skażonym obszarem przejęła prywatna firma indyjska, a następnie władze stanowe.

Dwa lata później przed sądem w Indiach ruszył zaoczny proces, w którym prezesa Union Carbide, Warrena Andersona, uznano winnym i skazano na 10 lat więzienia. USA odmówiły jego ekstradycji do Indii. We wrześniu 2014 r. 92-letni Anderson zmarł w swoim domu na Florydzie. Dyrektora fabryki w Bhopalu Keszuba Mahindrę w 2010 r. skazano na dwa lata, ale ostatecznie nie trafił do więzienia.

Koncern Dow Chemical, który w 2001 r. przejął Union Carbide, odmawia wzięcia odpowiedzialności finansowej za skutki katastrofy. Według ostatnich badań obszar ok. 42 kilometrów kwadratowych wokół dawnej fabryki wciąż nie nadaje się do trwałego zamieszkania. Szacuje się, że od 1984 r. w mieście zmarło wskutek różnych powikłań po zatruciu ok. 120 tys. osób.

©℗ MAREK RABIJ

Korzystałem m.in. z materiałów „Deutsche Welle", „The Guardian", „The Hindu" oraz podkastu Podcastrofy.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 48/2024

# OCALONE DZIEDZICTWA

## Regionalne Izby Pamięci Ziem Zachodnich i Północnych

# Zachować i propagować

**Projekt „Ocalone dziedzictwa. Regionalne Izby Pamięci Ziem Zachodnich i Północnych" wyrasta z przekonania, że lokalne kolekcje są istotnym elementem dziedzictwa kulturowego.**

BARTEK PŁUSKA / MATERIAŁY PRASOWE PARTNERA

Izba pamięci w Kątach Wrocławskich

**POCZĄTEK WSPÓŁPRACY** jest przeważnie podobny. W słuchawce słyszymy naturalną otwartość i chęć ugoszczenia, podszyte jednocześnie formą niepewności. Skojarzenia z wizytą instytucji bywają bowiem różne. Czasem bliżej im do „wizytacji" niż „odwiedzin". Tę sytuację napięcia zmienia spotkanie. Gospodarze wprowadzają nas w świat zbudowany wokół kolekcji. Dzięki ich przewodnictwu pozorny chaos zebranych przedmiotów zaczyna nabierać charakteru ekspozycji.
Pokazując obiekty, opiekun izby wskazuje, dlaczego są ważne i warte zachowania. Przywołuje przy tym konkretne osoby, z których historiami przedmioty są związane. Lokalne narracje są pełne szacunku do przeszłości, którą symbolizują. Towarzyszy im często troska o to, jak tego dobra nie zaprzepaścić. Rozmawiamy więc o problemach, do których przezwyciężenia nie zawsze wystarczy pasja i zaangażowanie. Celem projektu „Ocalone dziedzictwa" jest wyjście naprzeciw tym wyzwaniom – udzielenie wsparcia w działaniach, ale też pokazanie, jak cenne jest dziedzictwo kulturowe, kryjące się w regionalnych izbach pamięci.

**PROJEKT** „Ocalone dziedzictwa. Regionalne Izby Pamięci Ziem Zachodnich i Północnych" wyrasta z przekonania, że lokalne kolekcje są istotnym elementem dziedzictwa kulturowego. Z inicjatywy Ośrodka „Pamięć i Przyszłość" od 2022 r. realizowany jest ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego program wsparcia podmiotów prowadzących izby pamięci. Ważnym elementem współpracy z nimi jest uważność na trudności i potrzeby, z jakimi mierzą się opiekunowie izb. Ochrona dziedzictwa kulturowego to przede wszystkim dbałość o odpowiednie warunki przechowywania i eksponowania artefaktów, proste zabiegi konserwatorskie czy ewidencjonowanie i digitalizowanie zbiorów. Wsłuchując się w głos partnerów z izb, pomagamy realizować te zadania. Inwentaryzujemy, wyposażamy w opakowania do bezpiecznego przechowywania zbiorów, a także wspieramy rozwój kompetencji, organizując szkolenia i warsztaty. Każde z tych wydarzeń jest okazją do lepszego poznania – zarówno izb przez nas, jak również izb między sobą. W efekcie powstaje sieć relacji budowana na zaufaniu i zrozumieniu.

**ISTOTNĄ FORMĄ** ochrony dziedzictwa jest również kształtowanie w społecznościach lokalnych świadomości jego wartości. Pomagamy w działaniach popularyzatorskich i edukacyjnych, współtworząc gry, wystawy czy organizując wydarzenia aktywizujące odbiorców wokół własnego dziedzictwa. Dzięki tym inicjatywom izby wzajemnie się inspirują. Kreatywność animatorów zachwyca, a pasja, z jaką dbają o dziedzictwo, dodaje i nam chęci do działania.

**IZBY PAMIĘCI** to miejsca szczególne. Na ich wyjątkowość składają się nie tylko kolekcjonowane przedmioty, których zwykle próżno szukać w muzeach narodowych, ale też prowadzące je osoby. Ochrona dziedzictwa to realne zmagania i poświęcenie, które czasem rekompensuje jedynie satysfakcja. Jedna z pań prowadzących izbę pamięci w Bogacicy określiła to zadanie tak: „Historii nie da się zmienić, historię trzeba opowiedzieć. My możemy przyszłość zmienić, my możemy coś poprawić na przyszłość, ale to, co było, to po prostu było i trzeba mówić tak, jak było". Opiekunka izby w Otmicach dodaje do tego zadania cel: „pokazywanie i uświadamianie wykształca w ludziach to poczucie, że tu są moje korzenie i gdziekolwiek się znajdę, to jest to miejsce, gdzie mogę wracać". Rola izb pamięci w procesach tożsamościotwórczych wydaje się misją szczególną. Wspieranie potencjału osób, które codziennym zaangażowaniem biorą w tym wyzwaniu udział, jest więc, z perspektywy naszego projektu, przywilejem. I choć może się wydawać, że efekty procesu wdrażania dobrych praktyk widoczne będą dopiero w perspektywie kolejnych lat, to z pełną świadomością mogę potwierdzić, że dostrzegamy je już dziś – widząc kilka tysięcy zewidencjonowanych obiektów, mając radość współpracy z ponad 30 izbami pamięci, wspierając około 20 inicjatyw popularyzatorskich i edukacyjnych rocznie czy odbierając dziennie kilka telefonów od przyjaciół z izb – czasem z prośbą o pomoc w konkretnej trudności, a czasem ze zwyczajnym „co słychać?".
© MARCIN MUSIAŁ

Autor jest doktorem, członkiem zespołu Ośrodka „Pamięć i Przyszłość" oraz koordynatorem projektu „Ocalone dziedzictwa. Regionalne Izby Pamięci Ziem Zachodnich i Północnych".

Więcej informacji o projekcie na **ocalonedziedzictwa.pl**

# Przeszłość wychodzi z lamusa

WOJCIECH KUCHARSKI, HISTORYK:

**Zabawka z kiosku Ruchu czy mydło lub papierosy z banderolą sprzed 40 lat – wokół takich przedmiotów można budować historię życia codziennego, zakładu pracy, ale również opowieść o wielkich przełomach społecznych czy cywilizacyjnych. Rekonstruować rzeczywistość naszych przodków.**

**MICHAŁ SOWIŃSKI: Czym są izby pamięci?**

**WOJCIECH KUCHARSKI:** Niestety, wciąż nie mają definicji prawnej w ramach ustawy o ochronie zabytków i ustawy o muzeach. Izby mogą przybierać najróżniejsze formy – to miejsca, w których przechowywane jest dziedzictwo kulturowe: materialne i niematerialne. Funkcjonują zazwyczaj w oparciu o pracę wolontariuszy i działają przy różnych instytucjach, takich jak stowarzyszenia, gminne ośrodki kultury, szkoły, a czasem także przy parafiach. Chociaż nie są formalnie muzeami, spełniają podobną rolę, gromadząc materialne świadectwa historii oraz przedmioty, które dla lokalnej społeczności mają sentymentalne i tożsamościowe znaczenie i są częścią ich kulturowego dziedzictwa. To miejsca, które pomagają lokalnej społeczności przypominać sobie o swoich korzeniach, o tym, co w ich kulturze jest wyjątkowe i cenne.

**Co można w nich znaleźć?**

Zwykle przedmioty codziennego użytku, jak sprzęty domowe, fotografie, dokumenty, listy, a także pamiątki rodzinne, które przechowywane z pokolenia na pokolenie stają się namacalnym dowodem dawnego życia. Ich główną cechą jest właśnie to, że mimo nieoficjalnego charakteru pełnią ważne funkcje edukacyjne i kulturalne. Warto dodać, że izby pamięci mają również funkcję ochrony zabytków i edukowania młodszych pokoleń, co przyczynia się do wychowywania w szacunku do tradycji, historii i korzeni danej społeczności.

**Jakie są motywacje ludzi tworzących izby pamięci?**

Motywacje są bardzo osobiste, często wynikają z poczucia obowiązku i głębokiej więzi z miejscem. W większości przypadków są to osoby, które odczuwają silne przywiązanie do lokalnej historii, mają potrzebę przynależności do tego miejsca i czują obowiązek ochrony lokalnego dziedzictwa. To pasjonaci, którzy traktują historię jak coś żywego, pełnego emocji i niezmiernie ważnego. Oczywiście są otwarci także na gości z zewnątrz.

**Odczuwają dumę?**

W pozytywnym tego słowa znaczeniu – inkluzywną, otwartą na innych. Rok 1945 na Ziemiach Zachodnich to punkt zwrotny w dziejach, wielki reset historii. Niemniej twórcy izb zawsze uwzględniają dziedzictwo poprzednich mieszkańców tych regionów. Rozumieją, że powojenne osadnictwo nie odbywało się na surowym korzeniu, tylko w miejscu, które było zdefiniowane przestrzennie, kulturowo oraz często w wyniku działań wojennych bardzo zniszczone.

**Patrząc na mapę izb, widać wyraźnie, że historia i powojenna geopolityka ma tu duże znaczenie.**

Oczywiście. Pamięć o przeszłości napotyka wiele problemów – np. jak świętować zakończenie II wojny światowej w takim Wrocławiu. ↦

MARCIN BIODROWSKI / MATERIAŁY PRASOWE PARTNERA

Tadeusz Barecki, opiekun izby pamięci w Brzegu Dolnym, 2023 r.

MARCIN DZWONEK / MATERIAŁY PRASOWE PARTNERA

Izba regionalna w Orzeszkowie

Przecież trudno z perspektywy tego miejsca mówić o „wyzwoleniu". Przez wiele lat, a nawet dekad odbywał się proces „oswajania" tego miasta przez napływową ludność, która przede wszystkim przybyła z Kresów, ale także z innych regionów Polski, przywożąc ze sobą swoje tradycje i pamięć. Te dwa elementy się tu spotykają i są warte ocalenia.

**O tym spotkaniu opowiadają izby?**

Większość izb wytwarza przestrzeń dla unikatowego dialogu między ludźmi a krajobrazem, który odziedziczyli po poprzednich pokoleniach. Izby pamięci pomagają im łączyć historię własnych przodków z historią nowego miejsca. W ten sposób pozwalają ludziom zaakceptować dziedzictwo poprzednich mieszkańców, tworząc przy tym własne narracje. Dodatkowo, izby pamięci na tych terenach pomagają oswoić się z trudnymi momentami historii, takimi jak wysiedlenia czy zmiany granic, które miały ogromny wpływ na życie codzienne.

**Kiedy powstawały pierwsze izby?**

Na przełomie lat 70. i 80. w ramach czegoś, co dzisiaj nazywamy archiwami społecznymi, czyli w oparciu o nagromadzone już eksponaty. Ludzie nie wiedzą, co mają zrobić z lokalnymi pamiątkami, pojawia się ktoś, kto zaczyna je zbierać – i tak powstaje pierwsza kolekcja, później poszerzana o kolejne obiekty. Często są to rzeczy znalezione w opuszczonych domach – sprzęty, wyposażenie gospodarcze, a nawet pamiątki z czasów przedwojennych, pozostawione przez poprzednich mieszkańców. Ludzie nie chcą tego wyrzucać – te przedmioty często stanowią pomost między dawnymi a nowymi mieszkańcami. Jest też trzeci typ eksponatów, związany z powojennymi doświadczeniami i osobami ważnymi dla lokalnych środowisk, jak nauczyciele, kapłani czy liderzy opozycji, wreszcie tzw. zwykli ludzie, których potomkowie nie mają sentymentu do przedmiotów związanych ze swoimi przodkami, ale nie chcą ich po prostu wyrzucić. W ten sposób izby pamięci stają się miejscem, gdzie spotykają się różne warstwy lokalnej historii. Czasem nawet tej dawniejszej – z poprzednich stuleci, również obiekty archeologiczne. Z nimi jest duży problem, bo często pozbawione są kluczowego do interpretacji kontekstu, bez którego pełny opis nie jest możliwy.

**Izb w całej Polsce jest ponad 350 – które z nich są najciekawsze, najbogatsze?**

Jedną z najbardziej emblematycznych jest izba pamięci w Kątach Wrocławskich. To izba „uniwersalna", gdzie znajdują się wszystkie typowe dla takich miejsc przedmioty – od poniemieckich sprzętów codziennego użytku po pamiątki przywiezione przez osadników ze Lwowa, dokumenty, np. świadectwo czeladnicze, ulotki. Znaleziono tam archiwum fotograficzne z lat 50. i 60. – kolekcję 5 tysięcy zdjęć na szklanych kliszach, czyli w technologii jeszcze przedwojennej. Na tych zdjęciach można zidentyfikować niemalże wszystkich ówczesnych mieszkańców tej miejscowości. Znajduje się tam też działający mechanizm zegara wieżowego z lat 20. XX w.

**Inny przykład?**

W Bogacicy na Opolszczyźnie izba zlokalizowana jest w Chałupce Starzików i świetnie uchwycono w niej moment przełomu. Opolszczyzna w ogóle jest specyficzna, bo tam nie doszło do pełnej wymiany ludności, jak w innych regionach, ani nie nastąpiła rekatolicyzacja, bo większość ludności nie była protestancka. Dzięki temu mamy tu do czynienia z wyraźniejszą ciągłością historii. Dla odmiany izba w Brzegu Dolnym opowiada historię zakładów chemicznych „Rokita", które miały olbrzymi wpływ na tę miejscowość. Lokalna społeczność uwzględniła także fakt, że w ich regionie znajdowała się filia obozu Gross-Rosen – doświadczenie okupacji niemieckiej stało się istotną częścią ich dziedzictwa kulturowego. Inny przykład to „Wioska kolejarzy" w Miłkowicach tematycznie związana z techniką kolejnictwa, ale także szeroko pojętą „kulturą kolejarską".

**Izby to zazwyczaj inicjatywy oddolne – jakiego wsparcia potrzebują?**

Ważne jest wsparcie przede wszystkim w dwóch obszarach: ochrony samego dziedzictwa oraz jego populary-

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 48/2024

REDAKCJA: Jacek Taran, Michał Sowiński
OKŁADKA: Warsztat stolarski w izbie pamięci w Kątach Wrocławskich // Fot. Bartek Płuska / Materiały prasowe
TP TYPOGRAFIA: Zuzanna Kardyś
FOTOEDYCJA: Jacek Taran

PARTNER WYDANIA

OCALONE DZIEDZICTWA

PARTNERZY PROJEKTU „OCALONE DZIEDZICTWA"

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Projekt realizowany ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ośrodek Pamięci i Przyszłość

centrum historii zajezdnia

SIEĆ ZIEM ZACHODNICH I PÓŁNOCNYCH

zacji. W zakresie ochrony najważniejsze jest przekazanie wiedzy na temat właściwego przechowywania i ewidencjonowania eksponatów. Trzeba sobie też zadać pytanie o status prawny kolekcjonowanych przedmiotów – aby pozyskiwać je legalnie, potrzebne są dokumenty przekazania. A jeśli już posiadamy rzeczy, co do pochodzenia których niewiele wiemy, to trzeba przynajmniej próbować je jakoś wewnętrznie zalegalizować. Problemem jest to, że dziedzictwo przechowywane w izbach nie jest chronione prawnie – dlatego nawet najprostsza ewidencja jest tu bardzo przydatna. Profesjonalne katalogowanie nie jest łatwe, dlatego my dajemy tę wiedzę i umiejętności.

**A samo przechowywanie?**

Wiemy, że wiele z tych przedmiotów przetrwało na strychach i w piwnicach przez dziesiątki lat, więc nie oczekujemy, że w izbach będą panowały od razu warunki ściśle muzealne – odpowiedni poziom wilgotności, naświetlenia czy temperatury. Ważne jest, aby warunki były możliwie stałe, nawet jeśli nie do końca właściwe. Często sugerujemy kupno higrometru i termometru, żeby monitorować warunki przechowywania. Można też w prosty sposób zadbać o przechowywane eksponaty – np. papierowe, które są szczególnie narażone na zmiany wilgotności powietrza.

**Jeszcze zostaje kwestia promowania i udostępniania.**

Wiele izb to rodzaj lamusa – magazynu, gdzie gromadzi się po prostu różne rzeczy. I ma to oczywiście swoje plusy – dziś pojęcie chmury czy tagowania jest w muzealnictwie bardzo na czasie. Jednak w takich zbiorach brakuje kontekstualizacji, a także jakiejś idei przewodniej – po co te przedmioty są tam przechowywane. Mamy np. 9 żelazek, 4 pralki i 150 sztućców. Tu kapelusze, tam ubrania i instrumenty muzyczne, w jakimś pudle mnóstwo dokumentów... Zwiedzający wchodząc do takiego lamusa może być zachwycony jego atmosferą, ale tak naprawdę nie wie, na co właściwie patrzy. A bez tego umyka nam szansa na nawiązanie dialogu, zostaje tylko doświadczenie estetyczne.

**Izby mają potencjał na zbudowanie opowieści?**

MARCIN BIODROWSKI / MATERIAŁY PRASOWE PARTNERA

**WOJCIECH KUCHARSKI** jest doktorem habilitowanym, zastępcą dyrektora ds. naukowych Ośrodka „Pamięć i Przyszłość". Historyk i archeolog, zajmuje się historią średniowiecza i czasów najnowszych, szczególnie religijnością, historią Kościoła i relacjami dyplomatycznymi PRL ze Stolicą Apostolską.

To są *de facto* minimuzea narracyjne – dziś taki właśnie model jest dominujący. W oparciu o te przedmioty codziennego użytku można opowiadać lokalne historie. To, co wydaje się drobiazgiem – np. zabawka z kiosku Ruchu czy mydło lub papierosy z banderolą z lat 80. – dla mieszkańców ma ogromną wartość symboliczną. Wokół takich przedmiotów można budować pogłębione narracje. To może być historia życia codziennego, zakładu pracy, ale również historia wielkich przełomów społecznych czy cywilizacyjnych. Na podstawie takich właśnie przedmiotów można rekonstruować rzeczywistość naszych przodków. W większości nie pozostawili oni po sobie wielu konkretnych dokumentów, pozostając niemymi dla historyków, albo pozostawili dokumenty, które nie są przechowywane w archiwach, więc historyk nigdy ich nie wykorzysta. Izby dają głos takim bohaterom i przedmiotom, pozwalając włączyć ich w narracje o przeszłości. To gest fundamentalnie demokratyczny. Suma izb pamięci ma więc szanse zmienić proporcje w tych dużych narracjach historycznych. I w drugą stronę – wielkie procesy mają zawsze swoją lokalną specyfikę, o której należy przypominać.

Co ważne, takich obiektów duże muzea zazwyczaj nie zbierają – bo jakie muzeum narodowe ma w kolekcji papierosy Silesia z lat 60.? Albo rolki papieru z oryginalną banderolą? Tymczasem dziś to już są zabytki, a za kilka dekad staną się bezcenne.

**Dlatego ich status prawny ma szczególne znaczenie.**

Wiele izb działa jako stowarzyszenia, które przyjmują pamiątki bez formalnych dokumentów przekazania, w swoich początkach działalności nawet nie rejestrowały darczyńcy. To tykająca bomba. 20 lat temu, gdy ktoś wyrzucał stary komputer Atari, nie zastanawiał się nad tym, a dziś taki sprzęt zyskuje wartość kolekcjonerską. Największe problemy dotyczą obiektów militarnych i archeologicznych, które formalnie wymagają zgłoszenia do służb konserwatorskich. *De facto* izby nie powinny w ogóle posiadać takich obiektów. Z kolei duże muzea nie chcą ich przyjmować, bo nie mają na nie miejsca. Jesteśmy w trakcie poszukiwania rozwiązań prawnych tego typu problemów.

**Jaka przyszłość czeka izby pamięci?**

Współpracujemy z Narodowym Instytutem Muzeów w celu stworzenia formalnego statusu regionalnych izb pamięci. To umożliwiłoby im korzystanie z opieki prawnej i infrastrukturalnej bez nakładania muzealnych wymogów, które w przypadku izb są zazwyczaj niewykonalne. Propagujemy model wypracowany w Kątach Wrocławskich, gdzie izbę prowadzi się w oparciu o trzy podmioty: lokalne stowarzyszenie, które jest twórcą i kustoszem kolekcji; lokalny samorząd wspierający to stowarzyszenie w kwestii infrastruktury, ale także finansowo i promocyjnie; wolontariuszy prowadzących izbę, mających swoją pracę, ciężko więc o stałe godziny otwarcia, a bez tego trudno umawiać np. lekcje historii dla szkół. Trzecim podmiotem byłaby instytucja taka jak nasza, czyli profesjonalny ośrodek zajmujący się kulturą i historią, mający wiedzę i umiejętności w prowadzeniu muzeów i działaniach popularyzacyjnych. W Kątach Wrocławskich podpisaliśmy właśnie taką trójstronną umowę na stworzenie mikromuzeum. Ten układ doskonale tam się sprawdził i funkcjonuje od 2021 r. Uważamy dzisiaj to miejsce za izbę modelową.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

ARCHIWUM PRYWATNE

Powyżej: uczniowie zwiedzają Śląską Izbę Pamięci w otmickiej szkole podstawowej (Jolanta Lamm w środku), 2008 r.
Poniżej: Jolanta Lamm z teczką należącą do grafini Margrit Strachwitz. W walizce znajdują się fotografie ofiarowane przez księdza Józefa Kampkę. Otmice, 19 listopada 2024 r.

JACEK TARAN

# Zapach historii – izba śląska w Otmicach

JACEK TARAN

**Izby pamięci definiują to, kim jesteśmy, jak ukształtowała nas historia. Pomagają budować naszą tożsamość i więź z regionem.**

W szkole trwa remont, uczniowie i pracownicy przeciskają się pomiędzy zwałami folii, narzędzi, stosami farb. Na niewykończonych jeszcze ścianach z regipsu pełno dziecięcych rysunków. – Pozwoliliśmy im rysować po ścianach, póki nie są jeszcze pomalowane – mówi Jolanta Lamm, dyrektorka Zespołu Szkolno-Przedszkolnego w Otmicach. Prowadzi mnie tymczasowymi przejściami do niewielkiego pomieszczenia na ostatnim piętrze szkoły. – Tu normalnie jest nasza izba pamięci, nasz skarb – opowiada. – Teraz wszystko popakowane w kartony, przykryte folią, ale po remoncie będziemy mieć nowe pomieszczenie i magazyn na eksponaty. Tu jest taki specyficzny zapach zawsze, mam nadzieję, że po remoncie on wróci. – Jaki to zapach? – dopytuję. – Wie pan, to zapach, który ma wiele nut: starych mebli, ubrań, drewna, papieru, kurzu, naftaliny. To zapach historii.

### Zbieramy starocie

Wszystko zaczęło się od skromnej wystawki kolekcji starych fotografii, przedmiotów codziennego użytku, która powstawała w trakcie lekcji języka polskiego na początku lat 90. Pani Lamm już wówczas prowadziła zajęcia z edukacji regionalnej. – W moim domu zawsze była bardzo silna potrzeba podtrzymywania pamięci o przeszłości naszej rodziny. To chyba dość powszechne w rodzinach przesiedlonych ze wschodu. Mój dziadek pochodził spod Zbaraża, dziś to Ukraina. I chyba trochę zazdrościłam rdzennym mieszkańcom Otmic, że mają tu, na miejscu, swoje korzenie.

Na lekcjach prosi uczniów, by przynosili do szkoły tak zwane „starocie". Pojawiają się historyczne fotografie, młynki do kawy z niemieckimi napisami, narzędzia gospodarskie. Dzieci ćwiczą wyobraźnię, dopisując do nich wymyślone historie, wczuwają się w przedmioty, piszą wypracowania np. pod tytułem „Jestem młynkiem". Kolekcja zaczyna się powiększać i robi coraz większe wrażenie na oglądających. Szybko zrodził się pomysł, by ogłosić akcję na szerszą skalę.

W rozpropagowaniu pomysłu pomógł też proboszcz miejscowej

parafii, ksiądz Józef Kampka, który sam był zapalonym historykiem regionu, fotografem i kronikarzem lokalnych wydarzeń. Pod koniec życia przekazał izbie swoje archiwa, a w nich ogromny zbiór fotografii, oczekujący dziś na kwerendę. W ciągu trzech miesięcy, od października do grudnia 1996 r., zebrano mnóstwo cennych przedmiotów ofiarowanych przez mieszkańców. Były to głównie meble, naczynia, śląskie stroje, m.in. ludowa suknia ślubna z początku XX wieku, liczne fotografie, na których zobaczyć można twarze dawnych mieszkańców Otmic, ich rodzinne uroczystości czy ważne dla lokalnej społeczności wydarzenia, takie jak wizyta biskupa w parafii. – Entuzjazm mieszkańców i chęć zaangażowania się w tworzenie izby były tak wielkie, że chodziliśmy z wózkiem po wsi od domu do domu i zbieraliśmy przekazywane przez ludzi przedmioty – wspomina dziś Jolanta Lamm. Opowiada, że to była ciężka praca: – Wspólnie z uczniami segregowaliśmy eksponaty, niektóre sprzęty wymagały naprawy, odczyszczenia.

Oficjalne otwarcie Śląskiej Izby Pamięci nastąpiło w 1997 r. Wzięła w nim udział grafini Margrit Strachwitz, córka hrabiego Hansa Heinricha Strachwitza, ostatniego właściciela Otmic. Grafini Margrit jest ostatnią żyjącą potomkinią hrabiego, mieszka dziś w Bawarii w Niemczech; niedawno obchodziła setne urodziny.

### Nie wstydź się dziadka

Czym jest izba pamięci? Jolanta Lamm twierdzi, że to przestrzeń, która chroni przed zapomnieniem o tym, skąd pochodzimy, o tym, jacy jesteśmy. – Ja często mówię moim uczniom, że dzięki izbie możemy lepiej zrozumieć naszą trudną historię, stać się lepszymi, bardziej otwartymi ludźmi. Nie trzeba się wstydzić, że ktoś miał dziadka w Wehrmachcie, bo być może ten dziadek nie miał wielkiego wyboru. Takie były czasy, taka była historia tych ziem i musimy to ze zrozumieniem zaakceptować. Przeszłości nie da się odciąć nożyczkami.

Dyrektorka jest przekonana, że izba bardzo dobrze spełnia swoje zadanie. Scala lokalną społeczność, kształtuje postawy patriotyczne i pozwala być dumnym z regionu, z którego się pochodzi. – Często się zdarza, że wracają do nas absolwenci naszej szkoły i opowiadają, że dzięki temu, że w szkole było takie miejsce, zaczęli inaczej patrzeć na pamiątki w swoim domu – opowiada Jolanta Lamm. – Mieszkańcy Otmic też mają poczucie, że ta izba to jest ich izba, a nie tylko szkoły. Często przyprowadzają gości, żeby pokazać to nasze minimuzeum, pochwalić się nim, ale przede wszystkim chodzi przecież o to, żeby pokazać część naszej historii. To zwykle są bardzo wzruszające spotkania – dodaje.

Obecnie w ramach porozumienia podpisanego z Instytutem Śląskim oraz współpracy z Ośrodkiem „Pamięć i Przyszłość" z Wrocławia Śląska Izba Pamięci w Otmicach otrzymuje wsparcie merytoryczne i finansowe. Po remoncie zostanie reaktywowana w nowych pomieszczeniach. – Pomysłów na przyszłość mam tysiące – zapewnia pani Lamm – zwłaszcza że od przyszłego roku przechodzę na emeryturę, odpadną mi obowiązki dyrektorskie i zamierzam wolontaryjnie poświęcić się izbie pamięci. Trzeba zrobić wszystko, żeby to dzieło zostało jako świadectwo czasów minionych, naszej historii.

### Podaj dalej

Odwiedzający szkołę mogą mieć pewność, że dzięki izbie nie tylko nie zaginie pamięć o czasach minionych, ale przetrwa też wiedza o teraźniejszości. Tuż przy wejściu do szkoły widnieje tablica informująca o znajdującej się pod nią kapsule czasu. – Wmurowaliśmy ją w setną rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę, w 2018 r. – tłumaczy pani Lamm. Co zawiera? Znalazły się w niej zdjęcia przedmiotów codziennego użytku zrobione przez uczniów, listy do przyszłych pokoleń, opowiadania, spis wszystkich uczniów, bieżące egzemplarze naszych lokalnych gazet.

Dziś w Śląskiej Izbie Pamięci w otmickiej szkole mieści się ponad pięćset artefaktów – pamiątek rodzinnych mieszkańców Otmic: sprzętów domowych, mebli, ubrań, fotografii. Dzięki pomocy Ośrodka i Instytutu w ramach projektu „Ocalone dziedzictwa" zostały one w większości zarchiwizowane i opisane w centralnym systemie archiwizacji zbiorów ICA-AtoM. ©℗

MATERIAŁY PRASOWE PARTNERA

## Pióro hrabiego

**POŚRÓD WIELU ARTEFAKTÓW** Śląskiej Izby Pamięci w Otmicach szczególnie jeden mocno wiąże się z historią rodu Strachwitzów – wieloletnich właścicieli majątku w Otmicach i pałacu w sąsiednim Izbicku. Jest to pióro hrabiego Hansa Heinricha Strachwitza, ostatniego dziedzica dóbr.

**TO JEDEN** z tych eksponatów, które nie krzyczą o uwagę, nie przyciągają wzroku natrętnym blaskiem. Zwykła szara stalówka bez grawerów i złoceń, prosta drewniana obsadka.

**NARZĘDZIE DO PISANIA** spoczywa na podstawce z kałamarzem, obłożonej grafitową okładziną z imitującymi marmur żyłkami. Co jest zatem w nim tak szczególnego? Jolanta Lamm opowiada: – To prezent od Margrit Strachwitz, ostatniej żyjącej córki grafa. Ofiarowała je nam w 1997 r., kiedy przyjechała z Niemiec na otwarcie naszej izby. To niezwykle cenna pamiątka, bo jest dowodem ciągłości naszej historii.

**PANI LAMM** wspomina grafinię jako osobę niezwykle życzliwie nastawioną do lokalnej społeczności: – Pamiętam ją jako kobietę bardzo skromną, ale elegancką i wytworną. Często nas odwiedzała, kiedy jeszcze pozwalały jej na to siły i zdrowie. Dla szkoły przywoziła podręczniki języka niemieckiego, finansowała zakupy pomocy dydaktycznych. Zdarzało się też, że fundowała uczniom wyjazdy do Niemiec, by mogli tam doskonalić znajomość języka. Pióro zawsze jest czymś osobistym, dlatego ta pamiątka jest dla nas tak ważna, choć jej wartość jest tylko sentymentalna – podkreśla Jolanta Lamm.
– A dla uczniów może być wspaniałym pretekstem do ćwiczenia wyobraźni: trzymał je w rękach ojciec „naszej groułfki", jakie dokumenty nim podpisywał? ©℗ JACEK TARAN

LJUPCO SMOKOVSKI / ADOBE STOCK

NAUKA

# DLACZEGO CHODZIMY

Ewolucja dwunożności poprzedziła pojawienie się pozostałych cech, które odróżniają nas od innych zwierząt. Wciąż jednak nie wiemy, co pchnęło naszych małpich przodków na drogę do człowieczeństwa.

ŁUKASZ KWIATEK

Rudolph Franz Zallinger, austriacko-rosyjski artysta zmarły trzy dekady temu, zapisał się w historii sztuki przede wszystkim dwoma dziełami. Pierwszym jest monumentalny mural zatytułowany „Epoka gadów". To przedstawienie 300 mln lat ewolucji roślin i zwierząt w okresie, w którym pojawiły się i wyginęły dinozaury, zdobi ścianę głównej hali Muzeum Historii Naturalnej Peabody na Uniwersytecie Yale. Podobno kariera niejednego profesora paleontologii zaczęła się od młodzieńczego zachwytu tym malunkiem, który współczesnym zwiedzającym przywodzi na myśl sceny z „Parku Jurajskiego".

Drugie znane dzieło Zallingera to ilustracja „Marsz postępu", ukazująca 25 mln lat ewolucyjnej historii człowieka. Po raz pierwszy wydrukowana została w książce „Early Man" pod redakcją paleoantropologa Clarka Howella – na pięciu stronach Zallinger przedstawił 16 sylwetek małp, małpoludów i ludzi, ułożonych od najstarszych i najbardziej prymitywnych form po najmłodsze i najbardziej zaawansowane. Tytułowy postęp odczytać można z kilku cech narysowanych postaci: coraz większych rozmiarów ciał (m.in. głów, skrywających coraz bardziej złożone mózgi), coraz bardziej zaawansowanych narzędzi trzymanych przez nie w dłoniach i coraz bardziej wyprostowanej postawy ciała.

W ciągu sześciu dekad od powstania „Marsz postępu" doczekał się niezliczonej ilości adaptacji i kopii, utrwalających u rzeszy ludzi – wbrew oryginalnym intencjom autora – myślenie o ewolucji człowieka w sposób linearny, w którym bardziej prymitywna forma płynnie przechodzi w bardziej zaawansowaną. Bez „ślepych uliczek" ewolucji, czyli gatunków wymarłych bezpotomnie, czy bez równoległego występowania kilku różnych form, które mogły się z sobą krzyżować. Dziś wiemy, że ten linearny obraz ewolucji nie oddaje jej faktycznej złożoności. Co ciekawe, podpisy pod ilustracjami Zallingera zdradzają, że twórcy książki „Early Man" zdawali sobie z tego sprawę.

Inspirowane „Marszem postępu" ilustracje wdrukowały nam również myślenie o tym, że pochodzimy od istot przypominających szympansy, które są naszymi najbliższymi żyjącymi krewnymi – czyli od małp wykorzystujących do przemieszczania się po ziemi wszystkie cztery kończyny. Wyraźnie pochylone stworzenia, podpierające się na długich ramionach, zaczynają różne współczesne wariacje „Marszu postępu".

Taki scenariusz ewolucyjny nadal jest popularny wśród specjalistów, jednak niektórzy paleoantropolodzy coraz głośniej go kwestionują.

### Lucy: pramatka

Kilka oczywistych cech wyróżnia nas, ludzi, od innych zwierząt: duże mózgi, złożona organizacja społeczna, używanie ognia i innych zaawansowanych technologii, tworzenie sztuki, komunikacja za pomocą symbolicznego języka, świadomość naszej śmiertelności, tworzenie opowieści, w tym tych o naszych początkach czy o istotach nadprzyrodzonych, rytuały, m.in. pogrzebowe, w końcu: sposób chodzenia. Wszystkie te cechy i umiejętności pojawiły się na różnych etapach naszej ewolucji biologicznej i kulturowej, a wielu badaczy do dzisiaj łamie sobie głowę nad tym, jak ułożyć te etapy w odpowiedniej kolejności, pokazując powiązania i sprzężenia zwrotne między nimi. Nie dysponujemy jeszcze wizją całości, ale wiemy przynajmniej, jak wyglądały pierwsze kroki na długiej drodze do człowieczeństwa. Były to kroki wykonane na dwóch nogach.

Pół wieku temu świat zachwycił się Lucy – szkieletem samicy małpy człowiekowatej sklasyfikowanej jako *Australopithecus afarensis*, którego duże fragmenty zostały odnalezione w listopadzie 1974 r. w Etiopii, w regionie Afar. Lucy szybko stała się celebrytką, a tym, co zdecydowało o jej karierze w popkulturze, była m.in. budowa dolnych części szkieletu. Jej miednica i kości stopy przypominały do złudzenia nasze i różniły się od kości szympansów. To sugerowało, że Lucy poruszała się jak my – w wyprostowanej pozycji na dwóch nogach. Ten wniosek wzmocniły kolejnej odkrycia – wkrótce w regionie Afar znaleziono fragmenty szkieletu należące do kilkunastu kolejnych osobników *A. afarensis*, do których przylgnęło miano „pierwszej rodziny". Dwunożność tego gatunku potwierdziła m.in. anatomia kolan członków „pierwszej rodziny".

Lucy żyła ok. 3,2 mln lat temu, jej szkielet był przez lata najbardziej kompletnym znaleziskiem paleoantropologicznym pochodzącym z tak odległej przeszłości. W chwili śmierci była dorosłą przedstawicielką swojego gatunku, na nasze standardy względnie niską – mierzyła ok. 120 cm wzrostu, czyli tyle, ile przeciętny 7-latek *Homo sapiens*. Istoty takie jak ona mogły wytwarzać bardzo prymitywne narzędzia – najstarsza znana nam technika obróbki kamienia, tzw. lomekwiańska, liczy ok. 3,3 mln lat. Ale niewielki mózg, przypominający rozmiarami szympansi, nie pozostawiał wątpliwości co do tego, jak wyglądała kolejność pojawiania się najbardziej „ludzkich" cech w toku ewolucji. Nasi przodkowie poruszali się na dwóch nogach, zanim wyraźnie urosły im mózgi. I to przynajmniej przez kilka milionów lat.

### Ostatni wspólny przodek

Różnice genetyczne między ludźmi i szympansami sugerują, że linie ewolucyjne prowadzące do nas oraz do tych małp rozdzieliły się ok. 6-8 mln lat temu. Nie wiemy, jak wyglądał nasz ostatni wspólny przodek. Musiał być małpą człowiekowatą, tzn. pozbawioną ogona, ale nie wiemy niczego o jego sposobie życia czy poruszania się. Nie powinniśmy zakładać, że po prostu wyglądał i zachowywał się jak szympansy, bo nie tylko my w ciągu ostatnich 6-8 mln lat ewoluowaliśmy – także szympansy dostosowywały się do życia w swojej niszy ekologicznej.

Skamieniałości niczego nie rozstrzygają. Jedynym, choć nie najlepszym kandydatem na ostatniego przodka ludzi i szympansów jest *Sahelanthropus tchadensis*, opisany na podstawie samej czaszki znalezionej w 2001 r. na terenie Czadu. Występował ok. 7 mln lat temu w środkowej Afryce. To daleko od jezior z pasma Wielkich Rowów Afrykańskich oraz jaskiń południowej Afryki, skąd znamy naszych młodszych i bardziej ludzkich przodków. Nie wiemy, co to oznacza: czy nasi dalecy przodkowie żyli na bardziej rozległym terenie, pochodzili z innego regionu Afryki czy też może *S. tchadensis* był boczną, wymarłą bezpotomnie linią małpy człowiekowatej, a nie jednym z naszych protoplastów.

Zagadkowa jest także jego anatomia: miał mózg o rozmiarach typowych dla szympansa i niewielkie zęby, przypominające te występujące w naszej, a nie małpiej linii ewolucyjnej, zaś niektóre rekonstrukcje sugerują, że u podstawy jego czaszki znajdował się centralnie umieszczony otwór wielki. To przestrzeń, przez którą mózg łączy się z rdzeniem kręgowym – takie umiejscowienie jest typowe dla istot przyjmujących postawę pionową. U szympansów i innych małp pochylających się do przodu i podpierających się na długich ramionach otwór ten jest przesunięty do tyłu czaszki. W tym samym regionie w Czadzie znaleziono także fragment kości udowej, który część badaczy klasyfikuje jako należącą do sahelantropa. Jej anatomia także wskazuje na poruszanie się w pozycji wyprostowanej, ale nie wszyscy paleoantropolodzy ↦

↦ są przekonani, że to jedyna uprawniona interpretacja. Być może nieznane nam fragmenty szkieletu sahelantropa ujawniłyby więcej adaptacji do życia na drzewie.

### Sposoby chodzenia

Znamy też istoty nieco młodsze od sahelantropa. *Orrorin tugenensis* występował ok. 6 mln lat temu na terenie Kenii – kilkanaście fragmentów szkieletu należących do pięciu osobników znaleziono na wzgórzu Tugen. Ponieważ była wśród nich kość udowa o budowie podobnej do naszej, przypadek orrorina jest nieco mniej kontrowersyjny. Z pewnością było to stworzenie zdolne do zgrabnego poruszania się na dwóch nogach. Na pewno orrorinowi spacery w pozycji wyprostowanej wychodziły lepiej niż współczesnym małpom człowiekowatym (szympansom czy gorylom), które są w stanie chodzić na dwóch nogach, ale wymaga to od nich większego wysiłku niż przemieszczanie się w typowy dla nich sposób, z podparciem na knykciach.

W 2022 r. ogłoszony został drugi gatunek orrorina – *O. preagens* – występujący ok. 4,5-5 mln lat temu, jednak skamieniałości, które go reprezentują, nie mogą nam niczego powiedzieć o jego sposobie chodzenia.

W zbliżonym okresie we wschodniej Afryce występował jeszcze przynajmniej jeden rodzaj dwunożnych małp człowiekowatych – *Ardipithecus*. Znamy go z dwóch gatunków: *A. kadabba* (najstarsze skamieniałości datuje się na ok. 6,3 mln lat, najmłodsze na ok. 5,3 mln) i *A. ramidus* (żył ok. 4,6-4,3 mln lat temu). Całkiem liczne skamieniałości, którymi dysponujemy, ukazują przystosowanie ardipideków zarówno do chodzenia w pozycji wyprostowanej, jak i życia nadrzewnego. Na uwagę zasługuje przeciwstawny paluch, który pomagał ardipidekom chwytać się gałęzi przy wspinaczce. Także współczesne małpy człowiekowate mają tę adaptację, dzięki czemu ich stopy wydają się równie zręczne jak dłonie. Ale w mniejszym stopniu niż nasze nadają się do chodzenia.

Paleoantropolodzy nieustannie spierają się w kwestiach klasyfikacji poszczególnych skamieniałości i pokrewieństwa między identyfikowanymi gatunkami. Nie musimy jednak zastanawiać się teraz nad tym, co odróżnia orrorina od ardipideka, czy sahelantrop był przodkiem któregokolwiek z nich, ani na której gałęzi naszego drzewa ewolucyjnego umieścić australopiteki – ważniejszy dla opowieści o początkach dwunożności jest ogólny obraz, który odkrywają te wszystkie skamieniałości.

Możemy sądzić, że małpy człowiekowate przemierzały Afrykę na dwóch nogach już przynajmniej 6 mln lat temu – a więc przeszło 3 mln lat przed tym, jak nasi przodkowie zaczęli wykonywać bardziej zaawansowane narzędzia z kamienia (tzw. narzędzia olduwajskie) i 4 mln lat przed tym, zanim wyraźniej urosły im mózgi. Nie oznacza to, że te wszystkie małpy poruszały się dokładnie tak jak my – ich anatomia mogła pozwalać na krótsze wędrówki na dwóch nogach, ale przynajmniej sahelantrop, jak i ardipidek ciągle sporo czasu spędzały na drzewach. Nieprzypadkowo ich szczątki znajdowaliśmy w miejscach, gdzie dawniej rosły lasy.

Jeśli dwunożność była kluczowym czynnikiem, który sprawił, że weszliśmy na drogę do człowieczeństwa, to pierwsze kroki na tej drodze stawiane były w ślimaczym tempie. To nieco komplikuje odpowiedź na pytanie, dlaczego ten sposób poruszania się w ogóle wyewoluował.

### Dwie nogi: dobrze?

Chodzenie na dwóch nogach może mieć wiele zalet. Przy naszej anatomii to najbardziej wydajny sposób poruszania się, ale nie jest wcale jasne, czy małpom człowiekowatym stawiającym pierwsze kroki dwunożność także pozwalała zaoszczędzić nieco energii. Być może najpierw musiały zajść głębsze zmiany w budowie układu ruchowego, zanim korzyści energetyczne mogły się uwidocznić. Co te zmiany mogło spowodować?

Hipotez jest mnóstwo. Zmiany klimatyczne wygnały naszych przodków z lasu tropikalnego na sawannę. Jeśli dwunożność zastąpiła poruszanie się w pozycji podpartej, tak jak robią to szympansy czy goryle, to uwolniła ich ręce. A te mogą spełniać wiele funkcji. Np. chwytać kamienie czy kije, które mogą służyć jako broń – tak jak wyobrażał to sobie Stanley Kubrick w słynnej scenie z „2001: Odysei kosmicznej". Uwolnione ręce mogą też służyć do przenoszenia jedzenia. Albo, w połączeniu z wyprostowaną postawą, do sięgania po wyżej rosnące owoce – choć ta hipoteza jest dość podejrzana, biorąc pod uwagę to, że nasi małpi przodkowie nie mieli kłopotów z wdrapywaniem się na drzewa.

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Projekt dofinansowany ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach Programu „Społeczna Odpowiedzialność Nauki II".

LJUPCO SMOKOVSKI / ADOBE STOCK

Są jednak i bardziej egzotyczne hipotezy: Owen Lovejoy, znany z badań szkieletów ardipideków i australopiteków, zasugerował, że samce dwunożnych małp mogły w rękach przynosić więcej jedzenia... samicom i takimi podarkami je uwodzić. Feministyczną odpowiedzią na koncepcję Lovejoya jest hipoteza, wedle której to samice korzystały na uwolnionych rękach – mogły wykopywać bulwy i nosić swoje młode. Dwunożność byłaby więc inwestycją w dobry start potomstwa.

Inne proponowane wyjaśnienia odwołują się bardziej do wyprostowanej pozycji ciała niż do uwolnionych dłoni. Przyjmowanie pionowej postawy mogło zapewniać lepszą termoregulację – pozwalać szybciej wypromieniowywać ciepło i ochładzać ciało. Mogło też powodować, że osobniki wydawały się większe, co powinno zniechęcać drapieżniki do polowań. Na sawannie, wśród wysokich traw, trzymana wyżej głowa pozwala obserwować większy teren – i szybciej reagować na zagrożenia. Pojawiła się także osobliwa hipoteza „wodnej małpy", która zakłada, że człowiek na dwie nogi stanął w wodzie, bo jeziora, stawy czy rzeki były miejscami, w których się najlepiej czuł.

### Na podobieństwo gibonów

Która z tych koncepcji jest właściwa? Tego wciąż nie wiemy. Możliwe, że o podążaniu ścieżką dwunożności przez naszych przodków zadecydowała kombinacja kilku czynników. Wiemy za to, że dwunożność miała poważne konsekwencje: spowodowane przez nią zmiany anatomiczne w obrębie miednicy (istoty dwunożne mają ją bardziej zwartą) stały się kłopotliwe, gdy naszym przodkom urosły mózgi. Dla kobiet porody dzieci obdarzonych względnie dużymi głowami są trudne i bolesne, co zresztą mogło wymuszać kolejne zmiany ewolucyjne. Ściślejszą kooperację wśród ludzi, większą zależność niemowląt od rodziców (głowy noworodków nie mogły za bardzo urosnąć w okresie płodowym – ludzkie noworodki są więc bardziej niedojrzałe niż młode małp człowiekowatych) – i z konieczności większe przywiązanie rodziców do dzieci. Ale to wszystko przyszło później – jak pamiętamy, mózgi urosły kilka milionów lat po tym, gdy nasi przodkowie zaczęli stawiać pierwsze kroki na dwóch nogach. I też właściwie nie wiemy, co ten wzrost spowodowało.

> Może nie było tak, że podpierająca się na ramionach małpa w końcu stanęła na dwóch nogach, dzięki czemu uwolniła ręce. **Być może nasi przodkowie zaczynali od wyprostowanej pozycji, choć żyli na drzewach. Jak gibony.**

Być może jednak w myśleniu o ewolucji naszej dwunożności popełniamy istotny błąd. Może nie było tak, jak sugerują rozmaite wersje „marszu postępu", że podpierająca się na ramionach małpa w końcu stanęła na dwóch nogach, dzięki czemu uwolniła ręce i zaczęła robić groźniejsze wrażenie. Być może naszymi przodkami były małpy, które zaczynały od wyprostowanej pozycji, choć żyły na drzewach. Współczesnym odpowiednikiem takich małp są gibony, które potrafią zwisać pionowo na swoich długich ramionach, a po lądzie spacerują na dwóch nogach, choć muszą balansować rękami, by zachować równowagę. Takiej koncepcji sprzyja m.in. Jeremy DeSilva, znany w Polsce z książki „Pierwsze kroki".

DeSilva zauważa, że kilkanaście milionów lat temu w Europie występowały małpy, które mogły żyć w ten sposób: spędzać czas na drzewach, jednocześnie poruszać się po lądzie bez podpierania się na knykciach. To m.in. znany z Niemiec *Danuvius guggenmosi*. Być może był on naszym odległym przodkiem – albo tego przodka przypominał?

Jeśli ten nieoczywisty scenariusz ewolucyjny jest poprawny, to znaczyłoby, że nasi przodkowie zeszli z drzew na prostych nogach. Dopiero potem część z nich – linia, która dała początek szympansom i gorylom – nauczyła się podpierać na knykciach. Ale jeśli badania naszej ewolucyjnej historii czegoś nas nauczyły, to z pewnością tego, że w ewolucji nic nie jest oczywiste. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

REKLAMA

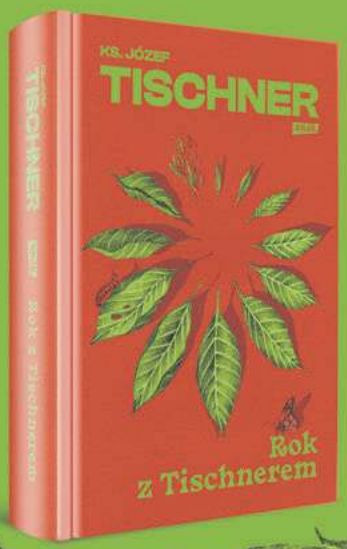


Zbiór mądrych i inspirujących myśli ks. Józefa Tischnera
Nieśpieszny przewodnik po świecie wartości, który pomaga odnaleźć sens

Premiera 27 listopada

"Filozofia jest nieustannym buntem przeciwko schematom (...); jest mądrością, bez której trudno jest żyć, a jeszcze trudniej być człowiekiem wolnym"
- ks. Józef Tischner

znak znak KSIĘGARNIA

SOBIESŁAW PAWLIKOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE ORGNIZATORA x2

Laureaci i sponsorzy Gali Nagrody Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera. Kraków, 21 listopada 2024 r.

# W imię nadziei

WOJCIECH BONOWICZ

**Laureatami 24. Nagrody Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera zostali Jarosław Hrycak za książkę „Ukraina. Wyrwać się z przeszłości" oraz Robert Drogoś, prezes Centrum ds. Katastrof i Klęsk Żywiołowych „Tratwa".**

Zachodzi głęboki związek pomiędzy drogą a nadzieją. Kiedy człowiek ma nadzieję, powstaje droga. Kiedy człowiek traci nadzieję, nie ma drogi. Kiedy człowiek traci nadzieję, wtedy ziemia pod nogami zamienia mu się w grób. Są rozmaite drogi, tak jak rozmaite są nadzieje człowieka". Od tych słów księdza Józefa Tischnera, wypowiedzianych przez niego samego z ekranu, rozpoczęła się w czwartkowy wieczór 21 listopada gala nagrody, która nosi jego imię.

Drogi tego dnia były trudne: padał śnieg na przemian z deszczem, wiał silny wiatr, jezdnie były śliskie. Mimo to na uroczystości, zorganizowanej w Nowohuckim Centrum Kultury, zjawiło się kilkaset osób. I nic dziwnego. Nagrodę Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera, ustanowioną niedługo po śmierci jej patrona, wręczano już po raz dwudziesty czwarty. Lista jej laureatów jest imponująca, są na niej postaci takie jak Barbara Skarga, Jan Nowak-Jeziorański czy Wojciech Jagielski, i takie jak siostra Małgorzata Chmielewska, Janina Ochojska czy Lidia i Jerzy Owsiakowie.

## PRZESTRZEŃ SPOKOJU I MĄDROŚCI

„W naszych czasach jest bardzo mało przestrzeni na spokój i na mądrość", mówiła prowadząca galę dziennikarka Justyna Dżbik-Kluge. I dodała, że taką przestrzeń tworzy właśnie postać patrona nagrody. Przywołała przykład kolegi z pracy, którego przypadkiem zagadnęła o Tischnera, a on z pamięci przywołał jeden z ważnych dla niego cytatów. „Są ludzie, którzy w swojej codzienności żyją myślami ks. Tischnera i to jest jego moc", dodała.

Do dwóch wybranych myśli Tischnera nawiązała też prezeska SIW Znak Dominika Kozłowska, opowiadając o idei nagrody. Najpierw przywołała słowa: „Im więcej między ludźmi prawdy, tym więcej między nimi wolności", a następnie fragment mówiący o solidarności, która „rodzi się z dobrej woli i budzi w ludziach dobrą wolę. Ona jest jak ciepły promień słońca: gdziekolwiek się zatrzyma, pozostawia ciepło, które promieniuje dalej, bez przemocy". „Te dwa wymiary są dla nas szczególnie ważne – dodała – budowanie świata wolności, świata bez przemocy i kształtowanie wrażliwego i solidarnego społeczeństwa".

Przypominając historię nagrody, jej sekretarz Łukasz Tischner zwrócił uwagę, że jego stryj nie chciałby pomników, chciałby natomiast „widzieć ludzi kontynuujących wartości, które były dla niego ważne". Podkreślił, że autor „Etyki solidarności" był filozofem i publicystą, który uczył krytycznego myślenia, a jednocześnie człowiekiem wrażliwym na rozmaite biedy tego świata. „Unikał ludzi ponurych, zawistnych, »ogólnie męcących«, cenił natomiast takich, którzy lubią myśleć, lubią innych ludzi i lubią dobry, przekorny dowcip". I takich ludzi szuka i znajduje od lat jury nagrody.

## PROCES UZDRAWIANIA

Wykład Tischnerowski wygłosiła w tym roku psycholożka i poetka Natalia de Barbaro. Nosił on tytuł: „Dyktatura czy demokracja? Jak osobiste »ustroje wewnętrzne« kształtują naszą codzienność".

Człowiek żyjący w stanie wewnętrznej dyktatury, mówiła prelegentka, pozostaje w nieustannym napięciu, tropiąc i w sobie, i w świecie wszelkie odstępstwa. Staje się w ten sposób swoim własnym więźniem, „nawet jeśli jest to więzienie o złagodzonym rygorze", podkreśliła. „W dyktaturze nie liczy się bowiem to, co jest wypisane na sztandarach, ale to, że wiszą one wszędzie". Dopiero pojawienie się jakiegoś kryzysu stwarza szansę na zmianę tej sytuacji. Człowiek zaczyna współczuć najpierw sobie, a potem innym. „Kiedy dostrzeże w sobie trzcinę nadłamaną, zaczyna się proces uzdrowienia".
Wewnętrzna demokracja to zupełnie inny krajobraz. Jest ona poszukiwaniem i afirmacją wieloznaczności, zarówno w sobie, jak i na zewnątrz. Nie znaczy to, że człowiek pozbawiony jest czegoś, o co mógłby się oprzeć. Obowiązuje go wewnętrzna konstytucja, czyli wartości, istnieje również sąd, czyli sumienie. Wszystkie elementy tworzą płynny, pulsujący, a jednocześnie stały ład. Istotne jest to, że człowiek pozbywa się wspomnianego napięcia. Nie przeszkadza mu własna wielowątkowość, tak jak nie przeszkadza mu, że inni są naprawdę inni.

Wykład Natalii de Barbaro nie był jedyną ozdobą wieczoru. Na scenie pojawiali się też trzykrotnie młodzi artyści – uczniowie krakowskiej szkoły muzycznej, uczęszczający do klasy akordeonu prowadzonej przez Janusza Patera: Łukasz Rogóż, Miłosz Trzópek oraz Natalia i Jakub Kaperowie. Ich brawurowe wykonania utworów m.in. Bacha i Scarlattiego nagradzano gromkimi brawami.

Długie brawa towarzyszyły też samemu wręczeniu tegorocznych Nagród Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera. Piękne i ciężkie statuetki zaprojektowane przez Mariana Gromadę oraz czeki o wartości 50 tysięcy złotych wręczały prezeska SIW Znak Dominika Kozłowska oraz reprezentująca Ergo Hestię i Fundację Artystyczna Podróż Hestii Natalia Wiercińska.

Na zdjęciu od lewej: Robert Drogoś, Natalia Wiercińska, Dominika Kozłowska, Jarosław Hrycak. Kraków, 21 listopada 2024 r.

## LAUREACI NAGRODY

W kategorii pisarstwa stanowiącego kontynuację tischnerowskiego „myślenia według wartości" nominowani zostali: Jarosław Hrycak za książkę „Ukraina. Wyrwać się z przeszłości" (opublikowaną w przekładzie Katarzyny Kotyńskiej i Joanny Majewskiej-Grabowskiej), Wacław Radziwinowicz za książkę „Putin, car Atlantydy. Droga do wielkiej wojny" oraz kard. Grzegorz Ryś za książkę „Chrześcijanie wobec Żydów. Od Jezusa po inkwizycję. XV wieków trudnych relacji".

Jury zdecydowało, że nagroda trafi do Jarosława Hrycaka. „Jego opowieść jest wiarygodna, ukazuje losy Ukrainy w szerokim kontekście, a zarazem nie pomija wszystkiego, co trudne i kontrowersyjne. Jednocześnie kluczowym motywem jest w niej motyw przezwyciężenia przeszłości, uporania się z rozmaitymi mitami, uprzedzeniami i kompleksami", podkreślono w laudacji. „Dostałem sporo nagród ukraińskich i zagranicznych – wyznał autor – ale gdybym miał wskazać taką, którą najbardziej chciałbym dostać, byłaby to Nagroda Tischnera". Dodał, że Ukraina przeżywa dziś chwile wielkiej grozy, ale jest też „wielka nadzieja, która bierze się z wielkiej miłości". Dlatego finansową część nagrody laureat postanowił przeznaczyć dla tych, którzy walczą o wolność na froncie.

W kategorii drugiej – za inicjatywy społeczne lub duszpasterskie wyrażające czynem wartości bliskie ks. Tischnerowi – nominowano: Roberta Drogosia, prezesa Centrum ds. Katastrof i Klęsk Żywiołowych „Tratwa"; ks. Radka Rakowskiego i Parafię Łacina w Poznaniu, nowoczesną, działającą bez własnej świątyni, w oparciu o entuzjazm i zaangażowanie wiernych; oraz Tośkę Szewczyk – osobę, która doświadczyła przemocy seksualnej ze strony duchownego, skutecznie i wytrwale działającą na rzecz upodmiotowienia osób skrzywdzonych w Kościele. Jury zdecydowało się nagrodzić Roberta Drogosia, który – jak zauważono w laudacji – „od przeszło 30 lat działa aktywnie w obszarze pomocy humanitarnej: wśród osób w kryzysie bezdomności, młodych ludzi potrzebujących wsparcia i inspiracji, wreszcie – ofiar katastrof naturalnych oraz konfliktów wywołanych przez człowieka". „»Tratwa« to tysiące wolontariuszy, którzy w ten sposób odnajdują sens własnego życia – powiedział wyraźnie wzruszony laureat. – Tę nagrodę dedykuję właśnie im".

Ostatni obrazek, jaki zapamiętałem z tego wieczoru: ludzie wychodzący z NCK-u w zimną, choć już bezśnieżną noc z mnóstwem książek pod pachą – zarówno książek-nominatek, jak i książek samego Tischnera. ©

MATERIAŁ PARTNERA

ORGANIZATORZY NAGRODY

ERGO HESTIA
Fundacja Znak
znak

# ODMIANA PRZEZ PRZYPADKI

Jan P. Matuszyński to jeden z najlepszych polskich reżyserów filmowych. Docenia kino gatunków, ufa scenarzystom i wierzy, że przypadek może być zawodowym doradcą. Jego „Minghun" wchodzi właśnie na ekrany kin.

MICHAŁ WALKIEWICZ

ŁUKASZ BĄK / MATERIAŁY PRASOWE

*Jan P. Matuszyński na planie filmu „Minghun", 24 lutego 2023 r.*

Zawsze marzyłem o tym, by zadebiutować filmem sensacyjnym – mówi „Tygodnikowi Powszechnemu" Jan P. Matuszyński. Nie udało mu się. Nakręcił za to filmy o polskich amiszach, sparaliżowanym nurku głębinowym, śmiertelnie chorym pisarzu ikon oraz niespełnionej wirtualnej miłości. Te najważniejsze – „Ostatnia rodzina" (2016) o rodzinie Beksińskich i „Żeby nie było śladów" (2021) o sprawie Grzegorza Przemyka – przyniosły mu popularność, nagrody i uznanie. Najnowszy, wchodzący właśnie na ekrany polskich kin „Minghun", jest kolejnym zwrotem przez rufę. Teraz na horyzoncie pojawiają się klasycy, od Kieślowskiego po Hamaguchiego. Czterdziestoletni Matuszyński nie sprawia jednak wrażenia, jakby wiedział, dokąd chce dopłynąć. I właśnie w tej niepewności tkwi największa siła jego kina.

### Kino familijne, ale to Polska

Kapela wyliniałych piosenkarzy country nazywa się „Stare Dobre Chłopcy". Przybytek, w którym rzępolą na gitarach, to „Country Bunkier Boba". A pierwszy bieg w sedanie Dodge Monaco to nie żaden „kop", tylko „niezłe pierdnięcie". Tak twierdził i tłumaczył z oryginału Tomasz Beksiński. A ja mu wierzę.

Zaginiona w telewizyjnych archiwach wersja „Blues Brothers" w tłumaczeniu Beksińskiego jest moim prywatnym skarbem Romanowów. Widziałem ją mniej więcej tyle razy, co „Ostatnią rodzinę" Jana P. Matuszyńskiego – film, w którym rozmaite relikty z życia Beksińskich wsypane są do kuferka ze sztuką o różnej wadze, konsystencji i fakturze. Jak w scenie, w której Tomek Beksiński puszcza w radiu utwór „Don't go" zespołu Yazoo, który ludziom dorastającym latach 80. może kojarzyć się jedynie z klasykiem wstydliwych przyjemności, czyli „Tango i Cashem" Andrieja Konczałowskiego (tak, tego od „Syberiady"). Albo w momencie, gdy, namawiany na sprzedaż dzieł ojca, wygina się w pałąk, wsuwa ręce do kieszeni i hiperpoprawną angielszczyzną oznajmia: „Noł czens".

Tak, Tomasza Beksińskiego przedawkowałem w dzieciństwie. Dziś z kolei rozbija mi się po głowie jego ojciec, Zdzisław. Wszędzie pełno odniesień do jego malarstwa – w horrorowych impresjach wszelkich kategorii wagowych; w grach wideo osadzonych w jego prywatnych pandemoniach; w co drugiej surrealistycznej wizji zaświatów. Jeden z krytyków teatralnych przekonywał, że obrazy Zdzisława Beksińskiego nie dzieją się „poza czasem", tylko na początku listopada. Coś w tym jest. W „Ostatniej rodzinie" Matuszyńskiego dziennikarz nazywał je „pejzażem po klęsce", na co Zdzisław odpowiada przekornie: „Bo ja wiem?".

Podoba mi się w filmie ten stop egzystencjalnego niepokoju, humoru i zwyczajności. Sprowadza relację „katastroficznych" obrazów oraz życia malarza do przypisu w znacznie większej historii. Pozwala zrozumieć, że każdą rodzinę – niekonieczne doświadczoną trudami życia w peerelu czy naznaczoną kolejnymi tragediami – można uczynić jądrem opowieści o przypadku bądź przeznaczeniu. Wreszcie – umożliwia destylowanie czarnego humoru z sytuacji, które zabawne wcale nie są. Na przykład z pierwszej próby samobójczej Tomka Beksińskiego, gdy po eksplozji kuchenki wychodzi osmalony niczym Wiluś Kojot. Albo ze sceny, w której ojciec i syn wsuwają chińszczyznę na czas. „Wygrałem!" – obwieszcza triumfalnie Tomek, obejmując pozycję lidera w wyścigu ku śmierci.

– Zobaczyłem w tym scenariuszu dużą uniwersalność – mówi Matuszyński. – Faktem jest, że w „Ostatniej rodzinie" Beksińskich użyłem jako klucza do znacznie szerszej opowieści. Pielęgnowałem tę potrzebę przez cały proces powstawania filmu. Myślę, że to jedna z odpowiedzi na pytanie, dlaczego ludzie tak chętnie do niego wracają.

Jeśli zdarzało mi się nazywać „Ostatnią rodzinę" arcydziełem i pokazywać ją – zaraz po „Obcym: decydującym starciu" – wszystkim nowo poznanym ludziom, to właśnie dlatego, że jest to dzieło wielokrotnego użytku. Pal licho rodzinę Beksińskich oraz ich klincz z bezlitosnym fatum. Nasze życie, rozłożone tu na serię niekończących się kuchennych rozmów, drobnych rytuałów, bezkrwawych konfliktów z bliskimi oraz podsycany tuż przed snem strach przed śmiercią, zamienia film w żywą kronikę codzienności.

### Po cudzych śladach

Pisarz Łukasz Orbitowski, którego reżyser nazywa „swoją niespełnioną miłością" (z racji tego, że ich artystyczne drogi rozminęły się w trakcie burzy mózgów nad biografią Beksińskich), miał inny pomysł na film. Celował raczej w fantasmagorię i horror, co z jednej strony prowadzi mnie do refleksji, że mam Beksińskiego dość, a z drugiej trochę dziwi. W końcu gatunkowa podszewka to w kinie Matuszyńskiego nic nowego.

– Jestem z pokolenia ludzi, którzy wychowali się w wypożyczalniach kaset wideo. ↦

ŁUKASZ BĄK / MATERIAŁY PRASOWE KINO ŚWIAT

*Fenfen Huang i Marcin Dorociński w filmie „Minghun" w reżyserii Jana P. Matuszyńskiego, 2023 r.*

↦ Moja była w Katowicach na Koszutce, charakteryzowała się tym, że na jednej półce stały nowe filmy Wendersa, czy co tam Tantra wydała akurat z Herzoga, ale także nowe filmy z Chuckiem Norrisem. To we mnie wchodziło latami. Bardzo dużo oglądałem, przeróżnych rzeczy. Tak samo wiele razy widziałem „Grease", „Lot nad kukułczym gniazdem" i „Delta Force". Nie potrafię z czystym sumieniem powiedzieć, który z tych filmów jest dla mnie ważniejszy czy istotniejszy w moim rozwoju osobistym i zawodowym.

Oglądając kolejne produkcje Matuszyńskiego, rywalizujące o weneckiego Złotego Lwa „Żeby nie było śladów" oraz serialowego „Króla" (2020), równie ciężko to stwierdzić. Choć fundamentem obydwu jest literatura (odpowiednio reportaż Cezarego Łazarewicza o sprawie Grzegorza Przemyka oraz powieść Szczepana Twardocha), to pulsują rytmem wyznaczanym przez gatunkowe konstrukcje narracyjne.

Ten pierwszy rozpisany jest na matrycy thrillera *à rebours*, w którym źródłem grozy jest niemal kafkowska bezsilność. Ten drugi jest przykładem gangsterskiej epiki, w której pracująca na pełnych obrotach machina dziejów nie odwraca uwagi od intymnej opowieści.

„Żeby nie było śladów" to historia mordu milicjantów na Grzegorzu Przemyku, ale opowiedziana z pół-dystansu, z perspektywy jego przyjaciela, Jurka Popiela. To postać fikcyjna, choć w oczywisty sposób inspirowana Cezarym F. – świadkiem pobicia Przemyka i późniejszą ofiarą okrutnych represji. Ścieżka do prawdy – inaczej niż w klasycznych thrillerach – nie przypomina tu piekielnej serpentyny, bo i sama prawda nie jest celem. Bohaterowie błądzą raczej w monstrualnym labiryncie politycznych i prywatnych interesów. Zaś sam Popiel, nazywany sarkastycznie przez Matuszyńskiego „facetem, który się napatoczył", funkcjonuje w nim trochę jak fałszywy przewodnik. Motywuje go osobista relacja ze zmarłym, ale to w gruncie rzeczy *porte parole* zagubionego widza.

– Mnie w sprawie Grzegorza Przemyka interesowały przede wszystkim niuanse i przewrotność tej historii. Nikt nie wie, co się dokładnie wtedy wydarzyło na posterunku i na zawsze pozostanie to tajemnicą. Bez względu na to, ile jeszcze rzeczy zostanie (rzekomo) ujawnionych, wciąż będziemy funkcjonować na poziomie daleko idących domysłów. Trochę przypomina mi to optykę z „Powiększenia" Antonioniego. Według mnie Jurek Popiel dobrze ją reprezentuje – konstatuje reżyser.

Domeną matki Przemyka, poetki Barbary Sadowskiej, jest w filmie nie tylko bezbrzeżna żałoba, ale i skazana na porażkę walka o sprawiedliwość. Choć dałoby się zbudować wokół niej inny film, reżyser przekonuje, że ustawienie w centrum tak „płaskiej dramaturgicznie" i „statycznej" postaci odbiłoby się niekorzystnie na szerokości perspektywy. Rozumiem tę argumentację. Ale się z nią nie zgadzam. Oglądając „Żeby nie było śladów", odnoszę wrażenie, że film rozstrzeliwuje się we wszystkich kierunkach jednocześnie, a żonglerka wątkami, tematami i perspektywami sprawia, że mógłby trwać i dziewięćdziesiąt minut, i pięć godzin (a trwa niemal trzy). Jest tu i historia sanitariuszy, na których zrzucono winę za śmierć Przemyka, i dyskretne rozgryzanie specyfiki pracy w bezpiece, i rzecz o gehennie Sadowskiej, i opowieść o Popielu na kursie kolizyjnym z aparatem władzy. Wszystkie te filmy są dobre, choć jako całość nieco zatomizowane.

Najlepszy z nich – ten o rodzinie w centrum politycznej zawieruchy – służy Matuszyńskiemu do nakreślenia jednego z najwyrazistszych portretów konformizmu oraz pokoleniowych tarć w polskim kinie. A jednocześnie do zaakcentowania złożoności wielkich rozliczeniowych narracji, które rozpadają się przecież na małe opowieści o zwyczajnych ludziach.

– Intrygowały mnie frakcje w obrębie ruchu solidarnościowego, opozycyjnego. Sprowadziłem je do kontrastu; do sytuacji rodziny Popiela, która jest oportunistyczna, oraz do Sadowskiej, która wbrew swojej woli została ustawiona na piedestale jako matka Polka uciemiężona – podsumowuje twórca.

### Kręć, ale nie pisz

Kolega śmieje się, że Matuszyński ma dziwaczny „wajb"; że rusza kamerą tak, jakby przybył do nas z Ameryki lat 70., czyli matecznika tzw. Nowego Hollywood. Rzeczywiście, są w jego metodzie twórczej dwie opozycyjne wobec polskiego kina tendencje. Po pierwsze, respekt dla gatunkowych prawideł pozwala mu ocalić rytualny charakter kina, czyli zdrowy balans elementów znajomych i przenicowanych. Po drugie – cechuje go przekonanie, że nawet autor filmowy, który w zgodzie z dewizą „przez całe życie kręci jeden film", nie musi kręcić go na podstawie własnego scenariusza.

– Tradycja kina gatunkowego w zasadzie w Polsce nie istnieje – zauważa Matuszyński. – Była szkoła polska, potem kino moralnego niepokoju, później „Psy" i ich podróby z lat 90. A potem to, co powstało za czasów PISF-u, co pewnie jest jakąś szerszą ofertą. Dla porządku warto wspomnieć o kinie historycznym dla szkół z przełomu wieków, którego nikt nie chce pamiętać, oraz o komediach romantycznych, które z komediami romantycznymi mają niewiele wspólnego. Choć wyróżniłbym w kontekście gatunków filmowych to, co się dzieje w Polsce dzięki Netfliksowi: filmy Mateusza Rakowicza czy horrory Bartka Kowalskiego – zwłaszcza horrory mocno się odznaczyły. Mamy takie podejście do gatunków a nie inne, one się u nas po prostu w większości nie ukształtowały, więc trudno myśleć o nich w kategoriach jakieś czystości. Myślę, że Agnieszka Smoczyńska ma podobny problem. I podobną świadomość gatunku.

W kwestii generalnej niechęci do rozdzielania ról scenarzysty i reżysera twórca też nie jest zbyt optymistyczny: – Dziwi mnie, że szkoły tego nie uczą. Będąc od lat wykładowcą w Katowicach, widzę, że nie mamy do tego narzędzi. Szkoła katowicka to jest wydział Uniwersytetu. Mamy tam reżyserkę, operatorkę i organizację produkcji, a nie ma kierunku scenariopisarskiego, nie ma za bardzo dostępu do samych tekstów, przez co studenci reżyserii muszą sami sobie pisać. Być może w Łodzi jest inaczej.

Serial „Król" na podstawie prozy Szczepana Twardocha był odpowiedzią na obydwa te problemy i zarazem stopem różnych wrażliwości – gatunkowej, literackiej, filmowej. Jego bohater – przedwojenny bokser Jakub Szapiro, który pnie się po szczebelkach warszawskiego podziemia, uwikłany jest w wielką politykę i w małe ludzkie sprawy. W ciele fantastycznego Michała Żurawskiego kotłują się duchy naszych ukochanych antybohaterów z telewizji i kina. Lecz głębiej pracują ważniejsze tematy: pamięć, tożsamość, mechanizmy racjonalizacji nihilizmu i amoralności.

Matuszyński, tradycyjnie, nie pisał „Króla". Miejsca w prowizorycznym writers roomie oddał Twardochowi, Łukaszowi M. Maciejewskiemu i Danie Łukasińskiej. Na ekranie widać jednak stylistyczną i wizualną wrażliwość, charakteryzującą jego kinowe fabuły. Spora w tym zasługa kongenialnego operatora Kacpra Fertacza, który pracuje z Matuszyńskim od lat i odnajduje się w każdej z zaproponowanych konwencji: od „biurkowych" thrillerów lat 70., po kino gangsterskie. Jeśli zatem myślimy o Matuszyńskim jako o autorze, to wszelkie definicje warto rozszerzyć o rozmowę na temat podejścia do samego cyklu produkcyjnego oraz roboty koncepcyjnej.

### Poezja życia, proza śmierci

Motyw śmierci dorosłych dzieci – obecny i w „Ostatniej rodzinie", i w „Żeby nie było śladów", i w najnowszym „Minghun" – to niezły wytrych do twórczości reżysera. Lecz ten korowód żałobników, od Beksińskiego, przez Sadowską, po opłakującego córkę Jurka (Marcin Dorociński), nie prowadzi nas w końcu do jakiejś autobiograficznej refleksji czy namysłu nad metafizyką cierpienia. To raczej katalog żałobnych narracji – z tym że takich, które „nie uchodzą"; zazwyczaj poddanych jakiejś formie społecznej tabuizacji. Matuszyński dostrzega w nich przede wszystkim chwalebne przykłady rebelii.

– Powtarzający się motyw śmierci, o którym mówisz, to mimo wszystko przypadek. Tym, co towarzyszyło mi na przykład przy „Ostatniej rodzinie" – filmie w wielu aspektach formacyjnym dla mnie – było skupianie się na nonkonformizmie, na odejściu od stereotypów myślenia, zachowania, definiowania tego, czym jest wolność. Sam odczuwam niechęć do siedzenia w jednej szufladce – w każdym możliwym sensie. Za każdym razem chcę robić coś zupełnie innego. Nawet jeśli później okazuje się, że nie jest to tak inne, jak mi się wydawało, a wszyscy łapią się wspólnych elementów – odpowiada na pytanie o powracające jak bumerang motywy.

W „Minghunie", który właśnie wchodzi do kin, jest tych elementów znacznie więcej, większość orbituje wokół delikatnego wątku męskich emocji (a jak przekonuje reżyser, z męskimi emocjami jest jak ze scenami seksu w kinie – najpierw jest gra wstępna, następnie cięcie, a potem widzimy, jak bohaterowie palą papierosy w łóżku). Po stracie córki grany przez Dorocińskiego profesor oraz jego teść, Ben (Daxing Zhang) upatrują symbolicznego domknięcia procesu żałoby w tytułowej ceremonii „zaślubin po śmierci". Otwiera to pole nie tylko dla kolejnej opowieści z gatunkową podszewką (wszyscy mówią, że mamy tu kino drogi, choć mnie film kojarzy się raczej z lekkostrawnym kinem kontemplacji), ale i dla szerszej dyskusji o egzystencjalnym azylu w sztuce (albo w sporcie, któremu reżyser przydaje podobne właściwości terapeutyczne).

W jednym ze swoich wczesnych dokumentów, „Deep Love", Matuszyński opowiada o sparaliżowanym nurku, który na ołtarzu pasji jest w stanie złożyć własne życie. W „Niebie" z kolei portretuje śmiertelnie chorego ikonografa, który z myślą o ostateczności oswaja się w szale procesu twórczego. Beksiński i jego obrazy, Sadowska i jej poezja, Szapiro i sport znokautowany przez gangsterkę... Sporo tych przypadków jak na kino o przeznaczeniu. Ciekawi mnie jedynie, w czym szukaliby azylu bohaterowie jego filmu sensacyjnego? Bo że mieliby kogo pomścić, to akurat wiemy doskonale.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

## Matuszyński, jakiego nie znacie

MATERIAŁY PRASOWE

**DEEP LOVE**
**Opowieść o Januszu Solarzu – sparaliżowanym prawniku oraz instruktorze nurkowania – Matuszyński dedykował nieodżałowanym himalaistom Rafałowi Chołdzie i Arturowi Hajzerowi. To piękna klamra w jeszcze piękniejszym filmie o granicach naszej wytrzymałości i wyobraźni. W gratisie najlepsze podwodne zdjęcia na rynku.**

TRICOLOR / EAST NEWS

**OFFLINE**
**Szesnastoletni Kacper Tarski szuka dziewczyny z komputera. Trochę jak „Dziewczyna z komputera". A trochę nie, bo więcej tu dyskretnego humoru, narracyjnej swady i bezbrzeżnej samotności. Jeśli lubicie krótkie metraże, które nie przypominają wpisu w CV albo wprawki do dużej fabuły, trafiliście pod właściwy adres.**

MATERIAŁY PRASOWE KINO ŚWIAT

**NIEBO**
**Rzecz o pasji, która potrafi przegnać widmo śmierci. Kolejny dzień, kolejna ikona – Robertowi, który powinien odliczać dni z innego powodu, sztuka daje drugi oddech i... nowe życie. Kapitalne kino faktu w zaskakująco skromnym, jak na skalę metafizycznych poszukiwań, metrażu.** ©℗ MOCH

# Dotyk dziewczyny

DARIUSZ KOSIŃSKI

**Twórczynie dwóch niedawnych premier wkrótce mogą nadawać ton polskiemu teatrowi. Może nie wiodący, ale czysty i oryginalny. Mimo wielu różnic, ich spektakle łączy coś najważniejszego: dotkliwość.**

HAWA / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU NOWEGO W ŁODZI

Nie, nie wątpię w siłę teatru Ewy Platt i Pameli Leończyk, ale wydaje mi się, że one same nie dążą do bycia głosami dominującymi. Zupełnie nie o to chodzi. Zrobiły przedstawienia kojarzące się raczej z szeptem i tłumionym jękiem, bo tak przecież mówi się o sprawach naprawdę bolesnych i intymnych. Choć mierzą się z nimi otwarcie, bez uników, to zdecydowanie nie słychać tam pragnienia, by swoje zdanie komukolwiek narzucić.

### Inna scena?

W Teatrze Powszechnym w Warszawie odbyła się premiera „Przełamując fale", na podstawie scenariusza do filmu Larsa von Triera, w reżyserii debiutującej w zawodowym teatrze Ewy Platt, a w Teatrze Nowym w Łodzi „Ciało dziewczyny" Darii Sobik w reżyserii Pameli Leończyk, mającej już za sobą kilka uznanych realizacji, a przed sobą – wciąż wydłużającą się listę frapujących planów.

Jeszcze kilkanaście lat temu pisanie o przedstawieniach reżyserek, zwłaszcza młodych i świadomie przyjmujących pozycje jasno i mocno powiązane z ich osobistym doświadczeniem, określanym także przez płeć i regulujące ją konwencje społeczne, łączyłoby się z nawiązaniem do dominujących spektakli męskich. Pewnie pisałoby się o ich feminizmie i wyrażało nadzieję, że w ciągu najbliższych lat kobiety będą odgrywać w teatrze coraz większą rolę. Twórczynie trochę by się zżymały, że są uznawane za przedstawicielki jakiejś grupy, a nie traktowane jak pełnoprawne artystki obdarzone własnymi niepowtarzalnymi indywidualnościami, ale w sumie zaakceptowałyby tę strategię, w imię politycznej konieczności.

Dziś sytuacja się zmieniła, kobieca scena jest wielokształtna i różnorodna, więc sprowadzanie jej do jakiegoś jednego mianownika stanowi tylko uproszczenie i zafałszowanie. Nawet jeśli jest to czynione w imię słusznych i wciąż koniecznych dążeń do równości szans (i zarobków) oraz realnego zapewnienia kobietom należnych im, a wcale nie tak oczywiście gwarantowanych i przestrzeganych praw. A przecież trudno jednocześnie oprzeć się wrażeniu, że istnieją jakieś specyficznie „kobiece" sposoby widzenia świata i rodzaje wrażliwości, nadające przedstawieniom szczególną jakość. Zarazem owa „kobiecość" wcale nie łączy się koniecznie i nieodmiennie z jedną, tradycyjną identyfikacją płciową. Mówiąc krótko: nie tylko kobiety tworzą kobiece przedstawienia. Czy to jest jasne?

No nie jest. Piszę to i sam czuję, że coraz bardziej się plączę. To nieuchronne, bo sama kategoria płci nie tworzy już dziś mocnego rdzenia, ale sieć różnorodnych i indywidualnie tkanych powiązań. Na dodatek na ich układ i sploty oddziałują i jeszcze bardziej go komplikują wciąż przecież funkcjonujące mocne wzorce kulturowe, utwierdzane zarówno przez różnorako motywowany (także ten autentycznie i szczerze zatroskany) konserwatyzm, jak i komercyjne trendy, tylko pozornie propagujące wielość i różnorod-

RADIO 357
Najciekawsze tematy nowego numeru „Tygodnika" w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.
Słuchaj na żywo lub w podkastach na **Radio357.pl**
OGŁOSZENIE

*Scena ze spektaklu „Ciało dziewczyny", reż. Pamela Leończyk, Teatr Nowy w Łodzi, 24 października 2024 r.*

ność. W tej sytuacji coraz trudniej o jeden wspólny front.

Ale istnieje dobre miejsce na taką wielorakość. Teatr dramatyczny od swoich nowożytnych początków z zasady wyżej niż mityczny chór ceni głos jednostki, nawet – a może szczególnie wtedy – gdy jednostka coraz bardziej się plącze i sama nie bardzo umie jasno powiedzieć, o co jej chodzi. W teatrze może się dowiedzieć.

### Miecz

Głośny film Larsa von Triera z 1996 r. opowiadał o dwuznacznej ofierze składanej przez Bess, która kochała poza wszelkimi granicami racjonalności. Jej wiara i miłość doprowadzały w końcu do cudownego uzdrowienia sparaliżowanego męża. Ów cud mógł być wprawdzie przypadkiem lub urojeniem, ale w filmie ukazywany był jako realny, na przekór widzom. Ofiara i wiara Bess nie były daremne. W finale biły niebiańskie dzwony.

W inscenizacji Ewy Platt żaden cud nie następuje, a „boski" głos, którego słucha Bess (Klara Bielawka), należy do niej i bez trudu uznać go można za efekt choroby psychicznej lub urojenie. Jednocześnie jednak postępowanie Bess ukazywane jest jako wręcz oczywiste, niepodlegające zakwestionowaniu, aż chciałoby się powiedzieć – dziecinnie naturalne, naiwne w takim znaczeniu, jakie temu słowu nadawali ci, którzy widzieli w naiwności bliski związek z postawą źródłową, niezafałszowaną przez kulturowe i społeczne konwencje i normy.

Swoistość, by nie powiedzieć – dziwność Bess polega na tym, że nie widzi w swoim postępowaniu niczego niezwykłego. Reaguje na spotykające ją nieszczęścia i wyzwania z tą specyficzną odwagą niedojrzałości, która nie przypuszcza nawet, że mogłoby być inaczej niż jest i że to, co się chce zrobić, jest niedopuszczalne, nie do przyjęcia. Jeśli ostatecznie poświęcenie Bess prowadzi do jej cierpienia i krzywdy, to dzieje się tak z winy otoczenia, które w imię (wytwarzanej zbiorowo) racjonalności świata uznaje miłość i wiarę Bess za szaleństwo.

O ile filmowi von Triera zarzucano konceptualną sztuczność, o tyle warszawskie „Przełamując fale" odebrałem jako historię, której punkt węzłowy przeżyło na własnej skórze wiele osób. Chodzi o moment, gdy przyswojone, idealne wzorce postępowania, zgodne z wyznawanymi wartościami, po raz pierwszy zostają zanegowane i wyśmiane jako naiwne, bo dowiadujemy się, że „takie jest życie" i „nic się nie da zrobić". Ta chwila, gdy nasze dzieci, które staraliśmy się przygotować na wejście w świat przyjazny i dobry do życia, przekonują się boleśnie, że rządzą nim reguły brutalnej rywalizacji, a delikatność i troska to oznaki słabości. To nie są sceny i sytuacje, o jakich kręci się zdobywające światową popularność filmy, nawet jeśli ich twórcy piszą buńczuczne manifesty o potrzebie bycia blisko realnego życia. Są to jednak sceny i sytuacje, z jakich robi się teatr.

Mam wrażenie, że takie przekonanie jest bliskie Ewie Platt, która pozbawiła materiał wyjściowy dramatyczności, a pospiesznym rytmem nadała przedstawieniu jednocześnie lekkości i ostrości. Na podstawowym poziomie dobrze się to ogląda, choć może demonstracyjna dynamika niekoniecznie ułatwia myślenie, opierając się raczej na odruchowym odpowiadaniu na silne bodźce. Wiele z nich bazuje na fizjologii i działaniach objętych wciąż społecznym tabu, więc już przykleiło się do tej inscenizacji określenie „naturalistyczna". Ale spektakl w Powszechnym nie ma z naturalizmem wiele wspólnego. Kopulacja czy sekwencje zabiegów, jakim poddawany jest sparaliżowany Jan (Arkadiusz Brykalski), są tak samo jawnie odgrywane, jak całe to przedstawienie. Odgrywane w sensie dosłownym – precyzyjnej instrumentacji aktorskiej intonacji oraz kompozycji ciał przyjmujących zaplanowane pozy i pozycje. Mamy zewnętrznie chłodną całość, pod którą pęcznieją traumy.

Oglądając lekką i ostrą jak samurajski miecz kompozycję, pomyślałem, że ćwierć wieku temu ten sam materiał posłużyłby do długaśnej ceremonii, w której każda minuta byłaby ciężarna znaczeniami i emocjami. Tutaj reżyserka działa zupełnie inaczej, unikając wszelkich przejawów celebracji własnego zranionego ego czy apoteozowania swojej nadświadomości. Platt wydobywa w całej jaskrawości to, co teatr końca ubiegłego wieku zabijał nadmiernie rytualizując: autentyczność mierzenia się z niewypowiadalnym bólem.

### Stokrotka

Za to w „Ciele dziewczyny" o bólu mówi się dużo i usilnie dąży do jego werbalizacji. Nad tekstem Darii Sobik krąży duch pisarstwa przywoływanej zresztą tu kilkakrotnie w komentarzach noblistki Annie Ernaux, z jej uporczywą pracą nad nazwaniem tego, co przez wieki opatrywane było zakazem wypowiadania lub po prostu wymykało się słowom.

Punkt wyjścia tekstu Sobik i przedstawienia Pameli Leończyk wydaje się bardzo prosty: prowadząca narrację i komentująca doświadczenia siedemnastoletniej siebie dojrzała Daisy (Jolanta Jackowska) chce powiedzieć sobie z przeszłości, że to, czego doświadcza jej ciało i co ona sama traktuje jak niejasne, niepokojące, może groźne, ↦

MAGDA HUECKEL / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU POWSZECHNEGO

*Scena ze spektaklu „Przełamując fale", reż. Ewa Platt, Teatr Powszechny w Warszawie, 16 października 2024 r.*

↦ jest „w porządku". Inscenizowane wspomnienie ma więc być rodzajem pedagogiki ciała skierowanej do siebie młodej, którą – co mówi narratorka na samym początku – traktuje jak córkę.

Pedagogika ta jest też skierowana do osób na widowni – niekoniecznie dziewczyn (te na przedstawieniu, które oglądałem, były w mniejszości). Tytułowe ciało dziewczyny może być bowiem potraktowane jako szczególnie wyrazisty, gdyż obłożony wieloma tabu materiał do studium, na którym przekonująco dowieść można tego, że ciała nie należy dyscyplinować, lecz słuchać, a podążanie za jego potrzebami nie tylko nie jest zabronione, ale wręcz wskazane.

Potrzeby i doświadczenia ciała, wokół których toczy się ta teatralna gra, wiążą się przede wszystkim z erotyką – z pierwszymi doświadczeniami miłosnymi, nieporadnymi, czasem nieodparcie śmiesznymi (i tak rozgrywanymi w tym przedstawieniu, którego urok polega także na tym, że potrafi śmiać się z tego, co traktuje zarazem śmiertelnie poważnie). Wspomina się je z przejmującym wzruszeniem, które jest całkowicie nieracjonalne, bo przecież nie sposób nie zauważyć, że nic specjalnego się nie stało, a wielkie uczucie młodej Daisy do przewodniczącego szkolnego kółka matematycznego (Michał Kobiela) oparte było przede wszystkim na jej fantazjach i pragnieniach.

MIKOŁAJ STARZYŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU NOWEGO W ŁODZI

**PAMELA LEOŃCZYK** jest reżyserką i performerką. Laureatka wielu nagród i stypendiów. Współpracowała m.in. z teatrami w Gdańsku, Toruniu, Warszawie i Turynie.

MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

**EWA PLATT** swój pierwszy spektakl zrobiła wiosną tego roku na scenie macierzystej uczelni (Akademii Teatralnej). Teraz debiutuje na deskach stołecznego Teatru Powszechnego z przedstawieniem „Przełamując fale" na podstawie wybranych motywów filmu Larsa von Triera.

Jeśli ten opis zabrzmiał cokolwiek stereotypowo, nie jest to przypadek, bo w warstwie fabularnej „Ciało dziewczyny" można by uznać nawet za zbiór sytuacji i wątków dobrze znanych: wspominana po latach inicjacja seksualna, poczucie niższości wobec bardziej atrakcyjnej przyjaciółki (Halszka Lehman), niechciana ciąża i erotyczne pragnienia, które muszą być skrywane przed społecznością małego miasta, nadmierne ambicje ojca i równie bolesne zamknięcie w sobie matki – to są wszystko historie, które w takiej sentymentalno-humorystycznej ramie, jaką tworzy wspominająca swoją młodość narratorka, widzieliśmy już wiele razy.

Ale trzeba oddać duetowi Sobik-Leończyk oraz znakomitemu zespołowi aktorskiemu, że nadają tym stereotypom siłę, przeplatając je i przebijając sekwencjami zaskakująco świeżymi (znakomite wejście Michała Kobieli jako tabletki poronnej). Wszystko jest tu otulone uważnością i troską oraz dążeniem do zrozumienia tego, o czym tak długo można było tylko milczeć. To one sprawiają, że sentymentalne wspomnienie o pierwszej miłości nabiera szczególnego znaczenia i staje się modelem procedury o potencjalnie wyzwalającej mocy.

„Ciało dziewczyny" różni od „Przełamując fale" wyraźna troska o klarowność, a nawet dążenie (rzadkie w teatrze naruszającym społeczne tabu) do ułatwienia widzom kontaktu z przebiegiem zdarzeń, problematyką i przeżyciami postaci. Śmiało się tu korzysta z rozpoznawalnych konwencji sztuki dobrze skrojonej i demonstracyjnie robi się miejsce na czyste wzruszenie. Tego rodzaju zabiegów nie sposób znaleźć w przedstawieniu Ewy Platt, która nie stara się być dla widzów miła i nie bardzo się zdaje troszczyć o to, czy podążają za nią, czy nie.

Nie ma więc wątpliwości: to są dwa bardzo różne przedstawienia. Ale łączy je coś od różnic ważniejszego: specjalny rodzaj przejmującej dotkliwości. Jako mężczyzna i osoba z zupełnie innego pokolenia, o zupełnie innych doświadczeniach, który na dodatek mógłby być ojcem obu reżyserek, mogę z pełnym przekonaniem napisać, że owa dotkliwość daje się odczuć niezależnie od odmienności biografii, perspektyw i płci.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

MATERIAŁY PRASOWE CD PROJEKT

*Kadr z gry „Cyberpunk 2077"*

# Geralt łapie oddech

HUBERT SOSNOWSKI

**Po latach nieustannego wzrostu branża gamingowa powoli wyhamowuje. Ale gry wideo to najmocniejszy i najbardziej dochodowy sektor polskiej kultury.**

Polski gaming z początku formował się dużo wolniej od amerykańskiego czy japońskiego. Mimo że w latach 80. mieliśmy zdecydowanie mniejszy dostęp do technologii, zdolnych i zawziętych ludzi nie brakowało, toteż zdarzały się akademickie eksperymenty lub pojedyncze produkcje, takie jak „Puszka Pandory" (1986), „Robbo" i „Blockout" (1989).

Już w latach 90. zaczęto jednak – oficjalnie lub w wersjach pirackich – wydawać także polskie gry. Powstawały też pierwsze firmy, które handlowały kopiami gier na bazarach, a programowały m.in. na maszynach Atari, jak choćby Atari Star Force, z takimi produkcjami jak „Miecze Valdgira" (1991) czy „Skarbnik" (1993).

W ostatniej dekadzie XX w. organizowało się także środowisko gamerskie, którego głosem i oknem na świat były magazyny „Top Secret", „Gambler" czy „Secret Service". To właśnie z nich gracze dowiadywali się o takich produkcjach jak „Tajemnica Statuetki" (1993) czy „Teenagent" (1995). Te gry przygodowe studia Metropolis polegały na odkrywaniu fabuły, eksplorowaniu świata i rozwiązywaniu zagadek, często wymagających abstrakcyjnego myślenia. Gracze i prasa bardzo je cenili. Metropolis nie działało w próżni. Niebawem kolejne firmy zaczynały tworzyć i wydawać gry – to wtedy powstały m.in. TopWare Interactive (później Reality Pump, które wydało m.in. grę strategiczną w klimacie *science fiction* „Earth 2140"), CD Projekt czy Techland.

Rodzimy gaming zaczął nabierać rozpędu po roku 2000. W 2004 r. powstał pierwszy polski przebój z prawdziwego zdarzenia, czyli „Painkiller" – dynamiczna strzelanka, w której akcję obserwujemy oczami postaci. Produkcja imponowała piękną jak na tamte czasy grafiką oraz klimatem przypominającym kultowego „Dooma" i „Quake'a", a także pomysłowym zestawem uzbrojenia i przeciwnikami do pokonania. Graczom, nie tylko zresztą w Polsce, podobała się też heavymetalowa muzyka skomponowana przez polski zespół Mech.

### Wiedźmin idzie na Zachód

Pierwsze polskie gry czerpały z zagranicznych wzorców, estetyki i gatunków, a ich bohaterowie często nosili anglojęzyczne imiona. Próby przeniesienia polskiej historii czy literatury na ekrany monitorów – poprzez strategie w stylu „Ogniem i Mieczem" (2000) czy „Krzyżaków" (2002) – wypadały raczej niezgrabnie. Sytuację zmieniła dopiera adaptacja książek Andrzeja Sapkowskiego, czyli „Wiedźmin" (2007), autorstwa CD Projekt RED.

Zanim jednak słynne dziś studio stworzyło swoją serię przebojów, długo gromadziło wpływy i kontakty. W latach 90. i na początku XXI w. firma zajmowała się wyłącznie wypuszczaniem zagranicznych gier na polski rynek. Hitem wydawniczym okazało się „Baldur's Gate" (1998) studia Larian, w którym głosy postaciom użyczyli tacy aktorzy jak Wiktor Zborowski, Jan Kobuszewski, Piotr Fronczewski czy Gabriela Kownacka. CD Projekt zaczął wówczas budować także relacje ze studiem BioWare. ↦

MATERIAŁY PRASOWE BLOOBER TEAM SA

*Kadr z gry „Silent Hill 2”*

↦ To od nich Polacy dostali kilka lat później technologię Aurora Engine, dzięki której stworzyli pierwszego „Wiedźmina” (2007).

Legendarne już dzieło studia CD Projekt RED należało do gatunku fabularnych gier akcji. Wydarzenia obserwowaliśmy z góry lub zza pleców bohatera, zlecenia przyjmowaliśmy od napotkanych postaci, podejmowaliśmy też trudne moralnie decyzje, walczyliśmy z potworami (i ludźmi) oraz rozwijaliśmy zdolności naszego wiedźmina. Gra wyróżniała się na tle konkurencji mroczniejszą i dojrzalszą fabułą oraz unikatowym klimatem łączącym anglosaskie *fantasy* ze wschodnioeuropejskim sznytem.

Geralt przemierzał bardzo „swojskie” wsie i miasteczka, w lasach czaiły się potwory rodem ze słowiańskich legend (np. południce), a wątki nawiązywały do dzieł polskich romantyków. Grę zauważono na Zachodzie, sprzedała się bardzo przyzwoicie i choć cierpiała z powodu problemów technicznych, zaznaczyła obecność studia na mapie światowego gamingu.

Druga odsłona gry, czyli „Wiedźmin 2: Zabójcy Królów” (2011), zaskoczyła wszystkich poziomem wykonania i jeszcze lepiej opowiedzianą historią. Zachwycała grafiką stworzoną przy użyciu autorskiej technologii (RED Engine), widowiskową walką i dojrzałym podejściem do erotyki. I choć była stosunkowo krótka, zachęcała do kilkukrotnego przejścia, ponieważ wiele wyborów gracza diametralnie zmieniało przebieg rozgrywki.

## Cyberpunk dzieli świat

W 2015 r. CD Projekt RED osiągnęło absolutną dominację w segmencie gier fabularnych przeznaczonych dla jednego gracza. „Wiedźmin 3: Dziki Gon” oszałamiał oprawą audiowizualną, wypuścił Geralta także w otwarty świat (mogliśmy dosyć swobodnie przemierzać rozległą krainę z książek Sapkowskiego), zachwycał charyzmatycznymi postaciami, dialogami, scenami, walką oraz ilością działań, które mogliśmy podejmować w trakcie rozgrywki.

„Dziki Gon” doczekał się też dwóch ogromnych dodatków („Serca z Kamienia”, „Krew i Wino”), które zawstydzały zawartością zachodnich konkurentów (u dużych wydawców panowała wtedy polityka wydawania małych pakietów, podczas gdy rozszerzenia do „Wiedźmina 3” były ogromne i relatywnie tanie). Do marca 2023 r. gra rozeszła się w ponad 50 milionach egzemplarzy.

Produkcję wypełniały odniesienia do światowej popkultury, ale też polskiego kolorytu. Gra nawiązywała do rodzimej literatury, polityki i historii. Najważniejsze miasto, Novigrad, przypominało architekturą Gdańsk. Wątki z „Dziadów” Adama Mickiewicza czy „Chłopów” Władysława Reymonta zostały kreatywnie przełożone na zadania dla graczy.

Po sukcesie „Dzikiego Gonu” Redzi (jak pieszczotliwie nazywają to studio sami gracze) stworzyli kilka mniejszych gier związanych z uniwersum Wiedźmina, m.in. grę karcianą „Gwint” (2018) oraz „Thronebreaker” (2018). W międzyczasie szykowali jednak nowy przebój fabularny – umiejscowionego w świecie *science fiction*, wymyślonym przez Mike’a Pondsmitha, „Cyberpunka 2077”. Oczekiwania były przeogromne, zwłaszcza odkąd okazało się, że rolę kluczowego dla historii muzyka-terrorysty Johnny’ego Silverhanda odegra aktor Keanu Reeves.

Chwilę po premierze „Cyberpunk 2077” (2020) podzielił graczy na całym świecie. Imponował gigantycznym otwartym światem osadzonym w mrocznej, nieodległej przyszłości. Ale też grafiką, złożoną i zniuansowaną fabułą, a w dodatku łatwo było przywiązać się do napotkanych bohaterów. Niestety produkcja nie zawierała wielu obiecanych funkcji i posiadała tyle błędów, że na wielu konsolach i komputerach nie dało się po prostu w „Cyberpunka” grać. Niemniej była to premiera niezwykle głośna, CD Projekt RED ostatecznie naprawiło grę, a wiele obiecanych elementów otrzymaliśmy w dodatku „Widmo wolności”, gdzie jedną z ważniejszych ról odgrywał znany aktor Idris Elba („Luther”, „Prawo ulicy”).

## Zombie i dyktatorzy

Inne studia przez te lata również nie próżnowały. People Can Fly stworzyło dla Epic Games (dziś znanego z „Fortnite’a”) grę „Bulletstorm” (2011). Sprzedała się ona nieco poniżej oczekiwań, ale ucieszyła fanów klasycznych strzelanin z bohaterami rodem z kina akcji.

Techland tymczasem rozwijał skrzydła z westernowym cyklem „Call of Juarez” (2006). W czteroczęściowej serii tylko odsłona trzecia, „The Cartel” (2011), nie przypadła do gustu ani graczom, ani krytykom. Wrocławski game developer zawojował rynek bestsellerowym „Dead Island” (2011), czyli grą akcji o walce z zombie. Cieszyła oko dobrą grafiką, angażowała rozgrywką i bawiła czarnym humorem. Wskutek tarć z wydawcą firma nie była w stanie stworzyć jej kontynuacji. Zamiast tego powstał kolejny autorski przebój, „Dying Light” (2015), w którym przetrwanie w świecie opanowanym przez żywe trupy zapewniała fizyczna sprawność. „Dying Light 2” (2022) sprzedało się bardzo dobrze, podobało się graczom i było jednym z tych hitów, o których może nie mówi się dużo, ale są niezwykle popularne.

W międzyczasie rozwijał się też rynek polskich gier niezależnych. Ogromny rozgłos zyskało 11 bit studios z grą „This War of Mine" (2014), która opowiada o losach cywilów próbujących przeżyć w mieście będącym areną konfliktu zbrojnego. Gracz szuka dla swojej postaci pożywienia, stara się unikać żołnierskich patroli i zmuszony jest podejmować decyzje, od których zależy przeżycie nie tylko jego postaci, ale też osób, które napotyka. Często są to wybory z gatunku „oni lub my". Gra wywołała liczne dyskusje o sposoby obrazowania wojny w kulturze, a w 2022 r. trafiła na listę lektur uzupełniających w polskich szkołach.

Kolejny hit 11 bit studios, czyli „Frostpunk" (2018), był ekonomiczną strategią, w której odgrywaliśmy rolę dyktatora rządzącego miastem próbującym przetrwać w skutym lodem świecie (tzw. *city-survival*). Tu znów musieliśmy wybierać, czy kierować się etyką, czy raczej stawiać na efektywność. Dwa miesiące temu ukazał się „Frostpunk 2", kładący jeszcze większy nacisk na mechanizmy polityczne: musimy przeprowadzić mieszkańców przez kolejne kryzysy, mierząc się przy tym z narastającymi konfliktami społecznymi.

W Krakowie rozwijał się z kolei Bloober Team, producent, który zasłynie z czasem w horrorowej niszy dzięki tytułom takim jak „Layers of Fear" (2016) czy „Blair Witch" (2019). W swoich dwóch największych jak dotąd hitach – „Observer" (2017; w roli głównej Rutger Hauer) i „The Medium" (2021) – Bloober osadza akcję w Krakowie.

W „Observerze" mamy do czynienia z wizją cyberpunkowej przyszłości, a w „The Medium" z horrorem rozgrywającym się w 1999 r. Obie produkcje wręcz pękają w szwach od nawiązań do polskiej kultury, architektury i odniesień do aktualnych wydarzeń. Produkcje krakowskiego studia okazały się na tyle udane, że japoński gigant Konami powierzył Blooberowi stworzenie remake'u jednej z najważniejszych gier w historii – „Silent Hill 2" (2001). Gra ukazała się 8 października 2024 r.

### Czas na zmiany

Branża gamingowa w Polsce nadal rozwija się prężnie. Wiele spółek, w tym CD Projekt czy 11 bit studios, wkroczyło na giełdę. Powodzeniem cieszą się kolejne produkcje niezależne (w ostatnich miesiącach sukces odniosła choćby tworzona w małym gronie strategia „Against the Storm"). Studia zatrudniają tysiące ludzi. Niestety, zmagają się też z wieloma problemami, o których dopiero zaczyna się mówić głośno.

Wiele z hitów, o których tu przeczytaliście, powstało np. kosztem tzw. crunchu. To termin oznaczający wielotygodniowe maratony pracy do granic fizycznych możliwości. Dzieje się tak najczęściej ze względu na konieczność dopracowania produkcji przed premierą oraz z powodu ogłaszania przez studia nierealistycznych terminów wydawniczych podyktowanych wymaganiami inwestorów. Pracownicy kończą wypaleni, często z problemami zdrowotnymi. Crunchowano tak np. przy produkcji „Wiedźmina 3", a przy „Cyberpunku 2077" o mało nie skończyło się to katastrofą.

Inna sprawa, że polska branża znajduje się dziś w stanie kryzysu, który dotknął również zachodnie firmy. Po latach nieustannego wzrostu – przyspieszonego jeszcze pandemią, podczas której po gry sięgały rzesze ludzi zamkniętych w domach – nastąpiły lata chude. Okazało się, że wiele „niezależnych" spółek stosowało nieuczciwe praktyki i przez wiele miesięcy nie płaciło pracownikom, zastraszonym rygorystycznymi umowami.

Twórcy zaś godzili się na kompromisy ze względu na lęk przed utratą wymarzonej pracy. Dziś o takich sytuacjach, które dotknęły m.in. pracowników All in! Games czy Ironbird Creations, można czytać w reportażach publikowanych w branżowej prasie. Ich nawarstwienie zaowocowało bezrobociem wielu utalentowanych programistów i artystów. Kolejne przypadki złego traktowania czy wręcz oszukiwania pracowników gamedevu będą pewnie sukcesywnie ujawniane.

Gra o naszą uwagę toczy się jednak dalej. CD Projekt RED ma dziś na stole kilka gigantycznych projektów, m.in. drugiego „Cyberpunka" i „Wiedźmina 4". Powstało też wiele młodych firm, takich jak Rebel Wolves czy Fool's Theory, które składają się z weteranów CD Projektu i Techlandu, mają wielkie ambicje, ale chcą je realizować w atmosferze zdrowszej niż w ta, która panuje w wielkich już korporacjach. Kto wie, może większość polskiej branży będzie powoli zmierzać właśnie w tę stronę. © HUBERT SOSNOWSKI

## Nie tylko „Wiedźmin"

MATERIAŁY PRASOWE X3

**DYING LIGHT (2015)**

**Horror z zombie w roli głównej. Celem gry jest odnalezienie pliku zawierającego informacje o potencjalnym lekarstwie na chorobę, która zamienia ludzi w potwory.**

**SUPERHOT (2016)**

**Niezależna gra komputerowa z gatunku strzelanek. Opracowano ją w nietypowej, minimalistycznej oprawie graficznej, w której postaci mają barwę czerwoną, zaś broń oraz przedmioty możliwe do uniesienia – granatową, w kontraście do jasnego, biało-błękitnego otoczenia.**

**FROSTPUNK (2018)**

**W alternatywnej wersji przeszłości erupcje wulkanów spowodowały klęskę głodu i śmierć milionów ludzi. Celem rozgrywki jest zapewnienie społeczności ocalałych przeżycia w surowym, zimnym klimacie.** ©℗ MOCH

# Folk horror

ANITA PIOTROWSKA

**„Kąpiel diabła" należy do tych filmów grozy, w których prawdziwy koszmar rozwija się podskórnie, w naszych głowach.**

MATERIAŁY PRASOWE VELVET SPOON

Nastały w kinie złote czasy dla horrorów inspirowanych lokalnym folklorem. Polscy filmowcy korzystają z tego nader rzadko, a szkoda, bo zasoby „niesamowitej słowiańszczyzny" czy góralszczyzny zdają się nieprzebrane. Czasem nawiedzi rodzime ekrany zapomniany dybuk (patrz: „Demon" Marcina Wrony), miejscowa odmiana syreny („Córki Dancingu" Agnieszki Smoczyńskiej"), jakaś ludzko-zwierzęca bestia („Wilkołak" Adriana Panka), albo podlaska szeptucha (serial „Kruk").

Ciągle jednak brakuje filmów, które ze specyficznych wierzeń, obrzędów, miejsc, nie mówiąc o siłach ukrytych w naturze, budowałyby wielopiętrowe światy, wykraczające poza etnografię i filmowy gatunek. Jak choćby „Czarownica: Bajka ludowa z Nowej Anglii" (2015) Roberta Eggersa, estoński „Listopad" (2017) Rainera Sarneta, „Midsommar. W biały dzień" (2019) Ariego Astera czy „Lamb" (2021) Valdimara Jóhannssona. Zaś kino azjatyckie czy afrykańskie to istna kopalnia folkowej grozy.

Podobnie jak większość wymienionych tytułów, „Kąpiel diabła" Veroniki Franz i Severina Fiali nie jest klasycznie rozumianym horrorem. Jeśli w tej opowieści o XVIII-wiecznej chłopce z Górnej Austrii działają siły nadprzyrodzone, z łatwością można je przypisać psychicznej kondycji i odmienności głównej bohaterki. Znajdujemy się w świecie, gdzie kobieta ma być przede wszystkim siłą roboczą i rozpłodową.

Głównym zadaniem Agnes, której zaślubiny z Wolfem oglądamy na początku filmu, jest urodzić i odchować dzieci, żyć pobożnie i usłużnie dla dobra rodziny oraz całej wspólnoty. Tyle że dziewczyna wyraźnie od niej odstaje – stęskniona za rodzinną wioską, targana religijnymi obsesjami, niezdolna (zresztą z nie swojej winy) wypełnić najważniejszej kobiecej roli. I jeszcze na każdym kroku pouczana przez teściową, która coraz bardziej szarogęsi się w izbie nowożeńców. A specjalistą od depresji tudzież innych niepokojących zachowań, nazywanych tutaj „kąpielą diabła", jest oczywiście ksiądz, w najlepszym razie cyrulik, zajmujący się „wysączaniem melancholii". Groza czai się zatem w samym urządzeniu tego świata, lecz twórcy znaleźli dla tej ponurej opowieści specyficzny język audiowizualny, z pogranicza realizmu i magii.

Już prolog, w którym inna, starsza od Agnes kobieta zrzuca płaczące niemowlę wprost do huczącego wodospadu, ma w sobie intrygujący baśniowy klimat. Aczkolwiek dzieciobójstwo nie jest tu wyłącznie tym, czym się wydaje. Nie jest też scenopisarskim wymysłem, o czym informuje historyczny przypis na końcu. Dość powiedzieć, że trzysta lat temu zabijanie dzieci było praktykowane w niemieckojęzycznej części Europy na wcale niemałą skalę i głównie przez kobiety, a często jego podłożem był... strach przed wiecznym potępieniem. Fabuła filmu stopniowo wyjaśnia ów pozorny paradoks, ukazując równocześnie, jak chrześcijańska doktryna współistniała na tych terenach z barbarzyńskim obyczajem: po publicznej egzekucji dzieciobójczyni jej krew sprzedaje się w kubkach, albowiem wedle miejscowych wierzeń ma właściwości uzdrawiające, podobnie jak fragmenty ciała.

Najstraszniejsza „Kąpiel diabła" bywa wtedy, gdy trzyma się chłodnej realistycznej konwencji. Film kręcony na szlachetnej taśmie 35 mm operuje nastrojem, który wykreowany został raczej surowością aniżeli malowniczą stylizacją czy konwencjonalnym podbijaniem grozy. Mistrzowska kamera Martina Gschlachta, wspomagana naturalnym oświetleniem, wydobywa siermiężne faktury ubiorów, codziennych przedmiotów, prymitywnych wnętrz. Jednakże mgły na kartoflisku i rdzawobure lasy, połowy ryb w miejscowym stawie i ludyczne rytuały spokojnie mogłyby posłużyć za scenerię dla gustownych landszaftów, gdyby nie wpisany w nie chłopski znój, smak czarnego chleba i narastające wyobcowanie głównej bohaterki.

Również muzyka coraz bardziej odkleja się od realiów i w tym miejscu trzeba wspomnieć o „lokomotywie" tego filmu, jaką jest Anja Plaschg, odtwarzająca rolę Agnes i jednocześnie grająca w tle. To jej eksperymentalny projekt

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

**KĄPIEL DIABŁA**
*(Des Teufels Bad) – reż. Veronica Franz, Severin Fiala. Prod. Austria/Niemcy 2024. Dystryb. Velvet Spoon. W kinach od 29 listopada.*

*Veronica Franz i Severin Fiala, austriacki duet reżyserski, znany jest z dokumentu „Kern" (2012) czy horrorów „Widzę, widzę" (2014) i „Domek w górach" (2019). Franz jest także współscenarzystką filmów i partnerką Ulricha Seidla, prywatnie wuja Fiali. „Kąpiel diabła", nagrodzona berlińskim Srebrnym Niedźwiedziem za walory artystyczne, to kandydat Austrii do Oscara.*

*Kadr z filmu „Kąpiel diabła"*

Soap&Skin słyszymy na ścieżce dźwiękowej. Zderzony z muzyką etno wykonywaną na tradycyjnych instrumentach wprowadza do tej historii „współczesny" niepokój. Film, dedykowany autentycznym ofiarom swoich czasów (kobietom i dzieciom), oparty na XVIII-wiecznych zapisach kryminalnych i dzisiejszych badaniach naukowych Cathy Stuart, nie jest więc tylko o historii.

Lecz Fiala i Franz unikają także i tego, co bywa u nas (pogardliwie?, lękliwie?) nazywane feminizmem magicznym albo po prostu „heksizmem", w nawiązaniu do głośnej książki Agnieszki Szpili. Filmowa Agnes ma w sobie coś z czarownicy i zarazem męczennicy, ale jeśli nawet „Kąpiel diabła" przypomina chwilami kobiecy *body horror*, nie epatuje fizjologią.

W porównaniu z obrazami serwowanymi nam niedawno przez Julię Ducournau w „Titane" czy Coralie Fargeat w „Substancji", daleko niemiecko-austriackiemu filmowi do estetyki cielesnego szoku. Najbliżej mu do opowieści o kobiecym „duchu inności", osuwającym się stopniowo w psychopatologię pod wpływem powszechnego niezrozumienia i obyczajowo-religijnej opresji. Agnes zrazu przypomina dziewczynę z romantycznych ballad, co to „na głowie kwietny ma wianek" i której na każdym kroku „śpiewają lasy", a z czasem krzyczą odcięte rybie głowy tudzież jej własne ciało.

„Kąpiel diabła" ze względu na swój kontemplacyjny rytm opowiadania może się wydać zaprzeczeniem horrorowej dynamiki i mechaniki. Należy do tych filmów grozy, w których prawdziwy koszmar rozwija się podskórnie, na przykład w czyjejś głowie. Równocześnie wszelka zewnętrzna pomoc bardzo łatwo zamienia się w przemoc, co bywa gorsze od wyrafinowanego okrucieństwa. Austriaccy reżyserzy, związani od lat z tamtejszym etatowym brutalistą Ulrichem Seidlem (był producentem i tego filmu), za pomocą folklorystycznej scenerii opowiadają o bezradności wobec choroby psychicznej i o niszczącej sile wszelkich zabobonów.

W przeciwieństwie do Seidla dużo więcej w nich empatii. W odróżnieniu od typowych wytworów swojego gatunku ich film nie próbuje egzorcyzmować, uwalniać, oczyszczać – jedynie, niczym wspomniany cyrulik, „wysącza melancholię". Może na tym polega największy horror. Oraz na tym, że gatunek jest tutaj wyrafinowanym kostiumem, by dawać świadectwo autentycznym horrorom, zapomnianym i przemilczanym. ©

# Lektor:
## *Bar jak świat*

▪ *Inga Iwasiów*
**BAMBINO**
*Wydawnictwo Drzazgi, Okoniny 2024, ss. 464*

Jedna z najlepszych powieści minionego ćwierćwiecza, wydana po raz pierwszy w 2008 r., doczekała się już drugiego wznowienia, znacznie poszerzonego przez autorkę.

„Bambino" to nazwa szczecińskiego baru mlecznego, który staje się zwornikiem akcji, miejscem, gdzie pracują bądź spotykają się bohaterowie. Powieść daje panoramę powojennych dekad w mieście – najmniej oczywistym nabytku Polski po 1945 r. Nie ma tu publicystyki, a owa panorama wyłania się fragmentami z wrażliwie opisanych pojedynczych losów ludzkich – przede wszystkim kobiecych. Polski Szczecin to miejsce docelowe ludzi w podróży, rodzaj ziemi obiecanej, i tylko dla jednej z postaci – urodzonej w 1930 r. Niemki Ulrike, czyli Uli, stanowi miasto rodzinne, choć już chyba równie obce, jak dla przybyszów.

Przybysze są z różnych stron. Maria-Marysia (rocznik 1940) przywieziona została z rodziną zza powojennej granicy, spod Sambora, dopiero w 1957 r. Jej rówieśnik i przyszły mąż Janek (poznany oczywiście w Bambino) pochodzi z Wielkopolski – i jest, co tu dużo mówić, bękartem wychowanym przez dziadków. Anna (rocznik 1930) przyjechała z południa, by zdobyć wykształcenie, bo większość rodzinnego majątku przejął kto inny, a w przyszłości wyjdzie za prawdziwego marynarza. Ula natomiast rodziny nie założy – jej partner, nauczyciel Stefan, w 1968 r. okaże się Żydem i zostanie zmuszony do wyjazdu, nie bez udziału Janka, który z Zakładów Wytwórczych Aparatury Przemysłowej przeniósł się do Urzędu Bezpieczeństwa. Zresztą żyje za granicą żona Stefana, tak jak on ocalała z Zagłady.

Gęsta opowieść o emocjach, zawiedzionych nadziejach, prywatnych klęskach – Maria i Janek rozpijają się, a ich małżeństwo się rozpada – i klęsk tych przezwyciężaniu, a może raczej zaklinaniu. Oraz o ciężarze przeszłości, której nie da się wymazać, nawet kiedy buduje się nowe życie „na surowym korzeniu", by użyć dawnego terminu dotyczącego lokacji nowych osiedli. No i o wszechobecnej szarości Peerelu – choć pierogi leniwe w Bambino są naprawdę dobre.

„Nie lubię pocieszycielstwa i nie zgadzam się z nim – mówiła kilkanaście lat temu autorka Pawłowi Smoleńskiemu. – A taka jest z reguły literatura dotycząca małych ojczyzn; sentymentalna". Akcja „Bambina" kończy się w 1981 r. Nadchodzące nowe budzi w bohaterach lęk. Nadzieja jest raczej w najmłodszych – Magdzie i Tomku, dzieciach Marii i Anny. Ale to byłaby już inna historia. ©℗

OLGA

# Drenda:
## *Przypnij albo przyłataj*

Nadchodzi nowy rok, co oznacza, że pora się przygotować do wyrzucenia żółtych kalendarzy. Pojawiają się w sprzedaży już przyszłoroczne, a z nimi nowinka. Niektóre firmy nie oparły się niewątpliwej pokusie obniżenia kosztów dzięki nowym technologiom – część ilustracji, nie tylko na kalendarzach, ale także na pocztówkach okolicznościowych, torebkach prezentowych czy małych magnesach, powstaje już przy pomocy generatorów obrazu. Tylko część, bo – przyjrzałam się wielu egzemplarzom – nikt nie miał na tyle nonszalancji, żeby użyć wygenerowanych treści w całości produktu. Ilustracje z Midjourney przeplatają się tam z tradycyjną fotografią stockową, która, notabene, sama kilkanaście lat temu stanowiła oszczędnościową opcję – tańszą od fotografii na zamówienie.

Choć można się spodziewać, że obrazy z generatorów rozpowszechnią się w najbliższym czasie na drobnych przedmiotach codziennego użytku, w konfekcji, to producenci wybierają opcję mieszaną: trochę ilustracji tradycyjnych i trochę „niskobudżetowych". Stoi za tym niewątpliwie pewna racjonalność, którą łatwo sobie unaocznić, przyglądając się tym obrazom w druku. Rozdzielczość, jakiej wymaga drukowanie w dużym formacie, wyciąga na wierzch nierealistyczność „jak prawdziwych" ilustracji i wszelkie ich niedoskonałości. Sierść słodkiego szczeniaczka z Midjourney, który ma zachęcać do zakupu kalendarza, w powiększeniu przypomina rzeźbę ze spaghetti. Trudno sobie wyobrazić, by przyjemnie było taką fakturę pogłaskać.

OLGA DRENDA

*Ten piesek jest być może z waty, ale na pewno nie ze spaghetti*

Naturą konfekcji jest niewysoki koszt wytworzenia, masowa produkcja i przystępna cena. Nie znaczy to jednak, że w tej dziedzinie wszystko uchodzi; każdy lubi niskie ceny, mało kto natomiast toleruje poczucie bycia robionym w trąbę. Myślę, że producenci drobnych upominków, opakowań czy pomniejszych kampanii reklamowych są tego świadomi, dlatego dbają o proporcje między obrazami generowanymi a bardziej klasyczną grafiką czy fotografią w swoich produkcjach. Mimo przyzwyczajenia odbiorców do fotografii tak dalece wyretuszowanych, że czasem trudno odróżnić je od obrazów stworzonych od zera, do filtrów, do fotografii HDR – zwyczajny, najbardziej masowy odbiorca nieszczególnie lubi wpadać do dziury między realnym a fikcyjnym. Ceni umiarkowaną pewność ontologiczną – po prostu woli mimo wszystko wiedzieć, czy coś jest zdjęciem, czy nie, a nie takie ni to, ni sio, ni przypiął, ni przyłatał.

Zaskakująco wielu użytkowników internetu przejawia wobec generowanych obrazów uczucia dalekie od entuzjazmu. Są to zupełnie zwyczajni zjadacze treści, nie graficy ani nie znawcy sztuki, raczej bywalcy grup z ciekawostkami o świecie i odbiorcy treści najbardziej ogólnych (podkreślam to grubo i specjalnie, żeby nikt nie próbował wysuwać argumentu, że „graficy są zazdrośni i nie idą z duchem czasu"; śledzę to dość uważnie i sama czułam się zaskoczona gwałtownością reakcji). Pogodni na ogół seniorzy reagują wyraźną złością na ni to obrazy, ni to fotografie, i podejrzewam, że złość ta bierze się z poczucia, że jest się oszukiwanym.

Być może liczne kampanie ostrzegające przed internetowym scamem i sztuczkami „na wnuczka" przynoszą długofalowy skutek. Oczywiście zdarza się, że ktoś się jednak nabiera – sama widziałam chyba dwa przypadki, gdy przygodny internauta uwierzył w ewidentne fikcje, w radosne, biedne dzieci z dalekich krajów, które kleją cuda niewidy ze śmieci, czy w psotnego białego misia, który dokazuje z załogą kutra – jednak zdumiewa też gotowość do reakcji ze strony innych użytkowników, którzy nie tylko wyprowadzają naiwnego znajomego z błędu, ale też wprost go rugają, jakby poważnie naruszył przepisy bezpieczeństwa. Bo też istotnie to uczynił i jestem przekonana, że jeszcze możemy się spodziewać natężonego i zdeterminowanego ruchu w obronie wiarygodności obrazów, jakiegoś cyfrowego ikonoklazmu – motywowanego poczuciem naruszenia pewności tego, co widzimy.

To oczywiście nie oznacza, że pokusa tworzenia niedrogich ilustracji zniknie. Kto nie chciałby w końcu zaoszczędzić. Spodziewam się jednak kalibracji: generowane obrazy mogą zostać oswojone i przyswojone, przypięte albo przyłatane, ale pod warunkiem, że będą wyglądać dostatecznie fikcyjnie i jak najbardziej nierealistycznie, a nie starać się osiągnąć „aromat identyczny z naturalnym". ©

**Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".**

PAWEŁ

# Bravo:
## *Targowy sondaż*

Zgrabiałe palce nabierają barwy dźwiganych buraków, piją mnie uszy tak zwanej reklamówki, która niczego nie reklamuje poza naszą zdolnością okiwania kolejnych regulacji antyplastikowych. Prędzej Zielony Ład sczeźnie, niż przestaniemy szeleścić siatami. Ostatnio zresztą rządząca nami partia wraz z niezawodną falangą ludową pomogła ukatrupić w Brukseli ważny element legislacyjny ochrony lasów, głosując ramię w ramię z PiS-em, żeby nie było, iż Polacy nie potrafią się zjednoczyć w obliczu zagrożenia.

Szkoda, że nie miałem w kieszeni paru płóciennych toreb, ich szerokie, miękkie paski nie wrzynają się tak boleśnie, a przy okazji można przekazać światu jakąś deklarację. Moja ulubiona i bardzo stosowna do robienia zakupów w gospodarce nadmiaru torba głosi Less is More, czyli „mniej znaczy więcej": angielski poeta Robert Browning przypisał to zdanie renesansowemu malarzowi Andrei del Sarto, a rozsławił je potem wielki budowniczy modernizmu Mies van der Rohe. Ale odnosi się to wcale nie tylko do sztuki i architektury. Im mniej przytaszczysz rozmaitych rzeczy, tym więcej włożysz ducha i inwencji, żeby obiad wydawał się pełny i smaczny.

Stawiając wreszcie zakupy na podłogę dobrze ogrzanego domu, myślałem z wdzięcznością o tych, którzy tam na targu zostali na jeszcze parę godzin. Naznaczonych na licu i w mowie ciała zimnem i zmęczeniem, bo nawet najnowsze termiczne tkaniny nie chronią do końca przed chłodem. Tym bardziej że dzielnicowy targ nie przypomina wybiegu z modą wysokogórską, raczej daje przegląd tego, co w dziedzinie kurtek i polarków oferuje niedaleki lumpeks w dzień przed nową dostawą, gdy wszystko jest po dwa złote.

Gdyby zapytać tych ludzi o stoicyzm, pewnie uznaliby to za kpinę z poważnej pracy. Stoicyzm o tyle, że się stoi. A stoi się, żeby zarobić przecież, a nie z miłości do włoszczyzny i klienta, choć rzeczywiście lepiej idzie interes komuś, kto zna i lubi swój towar. Towar na targu ma ludzką twarz, owszem, ale w tej twarzy czai się też chytrość i chęć zysku. W tych warunkach nie ma miejsca na marketingowe czary i nakręcanie pustych, acz kosztownych aspiracji, gra potrzeb i możliwości odbywa się więc na elementarnym poziomie. Niewidzialna ręka kształtuje ceny bez ceregieli.

Nie ma co popadać w rzewne dumki na temat żywej tradycji, zwłaszcza kiedy się jest sceptycznym co do tradycji w innych dziedzinach życia. Ale ten ludzki żywioł handlu warto doceniać, i tak coraz go mniej, podobnie jak małych sklepików niezrzeszonych w sieciach, takich jak mój za rogiem, gdzie na ścianie wiszą listy zakupów dla starszych osób z okolicy, które nie założą sobie nigdy aplikacji Delivery. Tymczasem przybywa tysiąc Żabek rocznie i ich właściciel, fundusz kapitałowy z pierwszej dziesiątki na świecie, zastanawia się, „ile ich jeszcze Polska pomieści".

Obecność dużych graczy ma pewną małą zaletę – potrzebują danych, stać ich na ich zbieranie, trochę ich publikują. Stąd np. wiem, że w październiku tego roku sprzedało się o 30 proc. octu więcej niż w 2023 r. Dlaczego? Otóż wybitnie obrodziły grzyby, a Polak nie byłby sobą, gdyby ich nie zamarynował. Ogólnie miesiąc był chłodniejszy niż rok wcześniej i nie trzeba pytać klimatologów – dane z rynku spożywczego pokazują lekki spadek sprzedaży piwa.

I to jest solidna wiedza, a nie sondaże na temat z okładki tego numeru. Jeszcze pierwszej świecy adwentowej nie rozpaliliśmy, a już chcemy wiedzieć, kto wygra w maju. Jak kto chce prawdziwego wyborczego mięsa, to w Rumunii wybierają teraz prezydenta i dobry wynik wykręcił jegomość, który umiał przenieść ideologię Legionu Michała Archanioła na TikToka. I opowiada dużo o samodzielności żywnościowej, jest za drobnym handlem, przeciw wielkim graczom.

Ale może zakupy na targu nie muszą być od razu deklaracją polityczną? Mam w razie czego też płócienne torby w bardzo apolityczne kwiatki.

ANNA SHEPULOVA

## Spaghetti z kremem z jarmużu

*Nie wiem jak u was, ale na moim krakowskim targu wciąż można kupić jarmuż, ten tzw. toskański, o wrzecionowatych liściach.*

**Składniki: 10-15 liści jarmużu 400 g spaghetti 150 g sera gorgonzola 150 ml mleka ▪ czosnek | sól | oliwa**

*Pozbawiamy liście grubych nerwów, drzemy palcami, wrzucamy na osolony wrzątek na 5 minut, studzimy w lodowatej wodzie, odciskamy, miksujemy z dodatkiem oliwy i ząbka czosnku oraz niewielkiej ilości wody, tak by wyszedł gęsty krem. Przekładamy na dużą patelnię. W osobnym garnuszku topimy ostrożnie w gorącym mleku gorgonzolę (lub ser tego typu, np. roquefort albo bleu d'Auvergne). Spaghetti pod koniec gotowania przerzucamy na patelnię z kremem z jarmużu, mieszamy na gorąco, dolewając ewentualnie nieco wody z klusek. Sosem serowym polewamy dopiero na talerzach, żeby nie psuć efektu kolorystycznego.* ©℗

**Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow**

**Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).**

ZMYSŁY

# CZAS OLIWEK

Kulinarne marzenia bywają różne. Jedni chcą, by kolację ugotował im Massimo Bottura, inni pragną nauczyć się piec chleb. Moje było prostsze: pojawić się w gaju oliwnym w samym środku sezonu i sprawdzić, jak smakuje oliwa zaraz po ekstrakcji.

BARTEK KIEŻUN

Był późny listopad w Umbrii. Obudziłem się, słysząc dziwny szum i krzyki. Było kilka minut po szóstej, słońce dopiero wschodziło. Naciągnąłem spodnie i wybiegłem z pokoju, który znajdował nad młynem oliwnym. Prace właśnie się zaczęły i skrzyń wypełnionych oliwkami było już całkiem sporo. Stanąłem przy metalowym sicie, na które pracownicy *frantoio* – jak po włosku określa się miejsce, gdzie powstaje oliwa – rzucali owoce.

– Miażdżona oliwka pachnie świeżo skoszoną trawą, zielonymi migdałami, ziołami, gałązkami pomidora. Zapach jest intensywny. Wybija się w powietrzu i utrzymuje całymi godzinami, nawet w nocy, gdy młyny przestają pracować – usłyszałem. Mówiłem już po włosku *abbastanza bene*, czyli wystarczająco dobrze, by zrozumieć słowa, które wypowiadał ubrany na niebiesko mężczyzna.

## W Umbrii

Pokiwałem głową, więc opowieść potoczyła się wartko. Po chwili wiedziałem, że sito ma nie pozwolić na to, by do młyna przedostały się kawałki gałązek. Następnie należało przywiezione oliwki oczyścić z liści. W tym celu wymyślono specjalną dmuchawę. Potem było mycie owoców i wreszcie można było przystąpić do miażdżenia.

Kiedy tak wpatrywałem się w pływające w wodzie oliwki, zadałem pytanie, czemu część z nich jest czarna, część zielona, część czarnozielona i dlaczego mają różne rozmiary. Okazało się, że patrzę na kilka stopni dojrzałości owoców. Czarne były dojrzałe, zielone jeszcze nie do końca, a idealne były te wybarwione częściowo. Dodatkowym aspektem były też odmiany, bo jak się dowiedziałem, w przeszłości w Umbrii, regionie Włoch słynącym z wyjątkowej jakości oliwy, w każdym gaju sadzono pięć gatunków oliwek.

Chodziło o bezpieczeństwo. Gdy jedna z odmian zakwitła wcześniej, a niska temperatura zniszczyła kwiaty, tracono tylko jedną piątą zbiorów, a nie całość. Albo gdyby jakaś choroba zaatakowała inny gatunek, zawsze część drzew miała szansę przeżyć i zapewnić oliwę rodzinie na cały sezon. Do najczęściej sadzonych gatunków należą *Frantoio, Leccino i Moraiolo*. Ceniona jest odmiana *San Felice*. Ponieważ każda z nich dojrzewa w nieco innym czasie, zbiory trwają od końca września do grudnia. Ale na świecie są setki gatunków drzew oliwnych. – Chcesz spróbować, jak smakują? Chodź ze mną – usłyszałem, więc nie wahałem się ani chwili.

## Z niczego

Upały oliwce nie przeszkadzają, bo dzięki wyjątkowemu systemowi korzeni potrafi penetrować nawet najbardziej wymagające, kamieniste gleby. Owocować zaczyna już w piątym roku, a największe zbiory dają drzewa w wieku ok. 35 lat, pod warunkiem, że są odpowiednio przycinane: kwiatostany pojawiają się głównie na rocznych gałęziach.

Drzewa rodzą jednak owoce znacznie dłużej i choć zbiory z roku na rok są coraz mniejsze, ciągle można pozyskiwać z nich oliwę. Zdaniem niektórych, ta tłoczona z rosnących na wiekowych drzewach owoców będzie najsmaczniejsza. Inni oliwni kiperzy mówią, że drzewa oliwne są jak człowiek i swój najlepszy moment mają między 30. a 40. rokiem życia. Ten pogląd nie przekonuje mnie wcale, bo choć skończyłem już 40 lat, to na wydajność nie narzekam. Drzewo oliwne ma też tę umiejętność, że potrafi się odrodzić praktycznie z niczego. Po ścięciu odrasta od korzenia, wypuszcza liście i po paru latach znów owocuje.

Najstarsze stanowiska archeologiczne dowodzące uprawy drzew i wyciskania z nich soku – bo oliwa to nic innego jak sok wyciśnięty z całych oliwek – odnaleziono w tureckiej dziś Ionii i w okolicach izraelskiej Hajfy. W historii ważnym miejscem słynącym z oliwy stała się Kreta, zwłaszcza jej główny ośrodek okresu minojskiego, czyli Knossos. Oliwa z Krety była uważana za najlepszą. Handlowano nią z Egiptem, Rzymem i innymi greckimi miastami-państwami.

## Od bogini

Przyglądanie się antycznym wazom z rysunkami przedstawiającymi zbiory oliwek pozwala się przekonać, że w sumie niewiele się zmieniło. W przeszłości owoce strącano kijami, a następnie zbierano je z ziemi. Dziś pod drzewami rozkłada się specjalne maty, a owoce zrywa grabkami. Gdy spadną w rozłożone sieci, są zbierane i w koszach przenoszone do skrzyń.

Drzewo oliwne Grecy przypisali Atenie, bogini mądrości, sztuki i sprawiedliwej wojny. Powiązali także drzewo oliwne z najważniejszym *polis*. Opowiadali, że król Attyki Kekrops poprosił bogów o opiekę nad miastem. Zeus wpadł na pomysł, by urządzić pojedynek między Posejdonem, bogiem morza, i Ateną. Kto ofiaruje miastu rzecz mu niezbędną, zostanie zwycięzcą. Posejdon uderzył trójzębem w skałę, z której wytrysnął strumień wody. Natomiast Atena pojawiła się z drzewem oliwnym, którego owoce miały przydać się do przyrządzania potraw i pielęgnacji ciała. Ateńczycy wybrali dar od bogini i w ten sposób Ateny zyskały patronkę.

Drzewo oliwne stało się symbolem pokoju i bogactwa, a jego gałązka – znakiem zgody między skonfliktowanymi stronami. Rozwinięcie handlu przyczyniło się do rozpowszechnienia się upraw drzew oliwnych i symboliki z nimi związanej w całym basenie Morza Śródziemnego.

## O świcie

Jak pozyskiwano oliwę? Owoce miażdżono w całości, razem z pestkami, na pastę. Do tego celu używano kamiennych żaren, a pierwszy opis tej czynności pochodzi z mniej więcej 1300 r. p.n.e. Najzabawniejsze jest to, że żarna są wyjątkowo odporne na działanie czasu i niektóre z nich, pochodzenia rzymskiego, nie porastają kurzem w muzeach, tylko nadal są wykorzystywane do tego samego celu, do jakiego zostały stworzone.

Pulpę oliwną układano na słomianych matach, przykrywano drugą taką samą matą, potem znów pulpa i znów mata, itd. Całość układano na prasie i zgniatano, dokręcając wielką śrubę. Sok oliwkowy wyciekał bokami i kapał do zbiornika. Powyższy opis przyprawia dzisiejszych pracowników oliwnych młynów o palpitację serca. Po latach badań wiadomo bowiem, że proces ten nie należał do najbardziej higienicznych. Wszystko nie tak! – mówią i łapią się za głowy. Oliwa musi być pozyskana jak najszybciej, bo po zerwaniu owoców z drzewa w mig zaczynają się procesy fermentacyjne, które sprawiają, że oliwa nie jest tak zdrowa, jak mogłaby być. ↦

*Tłocznia oliwy*

GRAFVISION / ALAMY / BE&W

PIXSELL / ALAMY / BE&W

*Przetwarzanie oliwek w młynie Zeljko Jurinas. Primošten, Chorwacja*

## Z drzewa do butelki

**DO ZBIORÓW NADAJĄ SIĘ WYŁĄCZNIE IDEALNIE ZDROWE I CAŁE OWOCE.** Muszą one zostać zebrane z drzew i natychmiast przewiezione do olejarni w skrzynkach o dużej powierzchni, ale niezbyt głębokich, by pod wpływem własnego ciężaru oliwki nie pękały. Potem mycie, miażdżenie i ekstrakcja. W końcu oliwa musi zostać przelana do zbiorników ze stali nierdzewnej, które zapewniają jej idealne warunki do przechowywania: przykryte, zostaną postawione w stosunkowo chłodnym pomieszczeniu, bo oliwa – jak mawiają Włosi – ma dwóch wrogów. Jednym jest czas, drugim światło.

**NA TO, CO SIĘ ZNAJDUJE W BUTELCE OLIWY, WPŁYWA KAŻDY ETAP PRODUKCJI.** Najważniejsza kwestia to wybranie właściwego momentu zbioru. Należy przeprowadzić go tuż przed tym, zanim oliwki będą idealnie dojrzałe, ponieważ wtedy zawierają najwięcej korzystnych dla człowieka składników. Efektem wcześniejszych zbiorów będzie oliwa bardzo zdrowa, ale o zadziornym smaku i wyczuwalnej na języku charakterystycznej goryczce. Zebrana później będzie łagodniejsza, ale należy pamiętać, że gorycz w oliwie jest zjawiskiem pożądanym. © BK

↦

Druga sprawa to dbałość o właściwą temperaturę miażdżenia owoców i ekstrakcji oliwy. Właśnie z powodu ciepła w najbardziej ortodoksyjnych olejarniach młyny zaczynają pracę o świcie i nie pracują w czasie największych upałów, by wieczorem znów zajmować się owocami pełną parą. W innych praca ustaje na sześć godzin między północą a szóstą rano. W każdym wypadku jednak wszystkie procesy podlegają kontroli, a temperatura podczas ekstrakcji nie może być wyższa niż 27°C (ortodoksi twierdzą, że nie może przekraczać dwudziestu).

Jak łatwo się domyślić, sok wyciśnięty za pomocą mat i prasy musiał zawierać olej z oliwek i... wodę. A to wymagało oddzielenia. Za cały proces odpowiadała grawitacja: oleje są lżejsze od wody i wypływają na powierzchnię. Dziś ten proces wygląda dość podobnie, tyle że w roli kamiennych żaren występują łatwe w utrzymaniu wielkie młynki ze stali nierdzewnej, a do oddzielenia wody od oleju, czyli ekstrakcji, służy proces wirowania. Pulpy zaś nie układa się między matami, odciśnięcie płynu pozostawiając maszynom. To wersja bardziej higieniczna, choć na pewno nie tak romantyczna.

### W butelce

Wędrówka po oliwnych gajach Italii pozwoliła mi poznać jeszcze jedną prawdę. Im wcześniej zerwane zostaną owoce, tym mniej oliwy dają, ale oliwa z nich pozyskana będzie bardzo smaczna i zielona od chlorofilu. Będzie ją też cechować wyższy poziom goryczy. W jednej z moich ulubionych *frantoio* pierwszą oliwę wyciska się w piątym miesiącu księżycowym od kwitnienia drzew.

Oznacza to, że niezwykle wyrazista oliwa może wylądować na włoskich stołach już w pierwszych dniach września. Nos bez trudu wychwyci w niej aromaty ziół, zielonych migdałów, pomidorów i karczochów, a także, a może przede wszystkim, świeżo skoszonej trawy. Na drugim końcu skali znajdują się oliwy pachnące orzechami i migdałami, ale aromaty te nie są pożądane: często sygnalizują, że oliwa jest stara i utleniona.

Dla smakoszy liczy się tylko jedna oliwa: *extra vergine*. Wyciśnięta wyłącznie za pomocą środków mechanicznych powinna spełniać kilka wymagań, np. cechować ją musi kwasowość nie wyższa niż 0,8 proc. Oliwy *extra vergine* różnie smakują i mają różnorakie kulinarne przeznaczenie. Łagodniejsze i delikatniejsze oliwy stosujemy do warzyw, sałatek oraz dań rybnych. Tymi mocniejszymi możemy podkręcić smak mięs.

Ważną rzeczą jest też wybór między oliwą filtrowaną lub niefiltrowaną. Ta druga idealnie podbije smak sałatek, ale nie nadaje się do smażenia. Z kolei na filtrowanej możemy smażyć śmiało. Idealna temperatura do smażenia to 180°C, a bez obaw o zdrowie możemy oliwę rozgrzać nawet do 210°C.

### Ze świata

Oliwa i drzewo oliwne nadal mają w sobie moc wzbudzania ogromnych emocji. Odkąd turystyka kulinarna okazała się popularnym sposobem spędzania wolnego czasu, spory dotyczące tematu najstarszego drzewa oliwnego na świecie stały się naprawdę donośne i nieustępliwe.

Na wschodnim wybrzeżu Turcji, w regionie Muğla, który przez wieki słynął z uprawy drzew oliwnych i tłoczenia oliwy w starożytnym mieście Klazomenaj, archeolodzy odnaleźli jedną z najstarszych olejarni na świecie. To, co z niej pozostało, jest dziś częścią rezerwatu archeologicznego przypominającego o historii jednego z najważniejszych miast jońskich. Tam właśnie zauważono, że w jednym z okolicznych gajów oliwnych rosną drzewa o wyjątkowo grubych pniach. Uwagę przykuła zwłaszcza jedna z oliwek. – Była ogromna. Po zmierzeniu okazało się, że jej obwód ma 12 metrów – opowiadała mi Hatice Aktürk, właścicielka drzewa.

Aby ocenić jego wiek, wezwano na pomoc naukowców z Uniwersytetu w Ankarze, a ci przyjrzeli się oliwce i stwierdzili, że tradycyjna metoda datowania za pomocą węgla $^{14}C$ w tym przypadku nic nie da. Sposób byłby dobry, gdyby rdzeń pnia nie został naruszony. Czas jednak sprawia, że drzewa oliwne tracą środek. Należało poszukać innej metody. Wybrano więc datowanie luminescencyjne, czyli opierające się na pobieraniu próbek gleby z korzeni drzewa i mierzeniu śladów pozostawionych dawno temu przez

HELMUT CORNELI / ALAMY / BE&W

**Miażdżona oliwka pachnie świeżo skoszoną trawą,** migdałami, ziołami, gałązkami pomidora. Zapach wybija się w powietrzu i utrzymuje całymi godzinami, nawet w nocy, gdy młyny przestają pracować.

*Stare drzewo oliwne na wyspie Zakynthos w Grecji*

światło słoneczne. Badaniami kierował profesor Niyazi Meriç. Jak powiedział w jednym z wywiadów: „Udało nam się zebrać próbki z siedmiu różnych części korzeni, które były bardzo głęboko pod ziemią. Wiemy, że drzewo zostało posadzone mniej więcej 3000 lat temu, choć możliwe, że jest starsze".

Oliwę uzyskaną z owoców rosnących na najstarszym tureckim drzewie konfekcjonuje się w malutkie buteleczki i wystawia na aukcje charytatywne. Hatice Aktürk i jej mąż ze sprzedaży oliwy wyremontowali już kilka szkół w okolicy.

Gdy ich odwiedziłem, powiedzieli mi, że kiedy tylko upublicznili wiadomość o swoim drzewie, odezwali się mieszkańcy Krety. „Najstarsze na świecie drzewo oliwne rośnie w Vouves na Krecie" – oznajmili i dodali, że nie mają zamiaru dzielić się tytułem. Gorąco zrobiło się, gdy zaprotestowała inna kreteńska miejscowość, twierdząc, że z całą pewnością starsza jest roślina rosnąca w Kavousi, mająca ponad 14 metrów obwodu.

Drzewo z Turcji wywołało też napięcie w Palestynie, kraju, dla którego drzewo oliwne jest symbolem więzi z ziemią, umiejętności przetrwania i więzi z przodkami. Nieopodal Betlejem, w wiosce Al-Walaja, rośnie oliwka, której pień u podstawy ma mniej więcej 25 metrów, a inne owocujące wokoło drzewa liczą więcej niż trzy tysiące lat. Nic więc dziwnego, że Palestyńczycy chcieli zaznaczyć swoją pozycję na liście najstarszych przedstawicieli tego gatunku flory.

Ale wtedy zaprotestował Liban. „Co to jest trzy tysiące?" – zapytali mieszkańcy jednej z tamtejszych wsi i opowiedzieli o grupie drzew rosnących w wiosce Bechealeh i nazywanych Siostrami Noego. Z badań wynika, że mają mniej więcej sześć tysięcy lat. Hiszpanie nie wytrzymali napięcia i ogłosili, że ich oliwka rosnąca w Farga d'Arió być może nie jest najstarszą, ale posadził ją cesarz Konstantyn Wielki, więc symbolicznie mało co może się z nią równać.

Cóż, najwyraźniej zapomnieli o Jerozolimie. Niestety nie wiadomo, które z tamtejszych oliwnych drzew należałoby oznaczyć jako jeden z najważniejszych pomników kultury, bo położenie Ogrodu Oliwnego, w którym modlił się Jezus, nie jest pewne. Jasne jest za to, że nie do końca chodziło o ogród. Getsemani znaczy bowiem tyle, co tłocznia. Lokalizacja miejsca jest kłopotliwa ze względu na podział wzgórza i osobne narracje prowadzone przez właścicieli terenu.

Franciszkanie upierają się, że chodzi o istniejący do dziś i należący do nich gaj oliwny przy kościele katolickim Wszystkich Narodów. Kościół grecki ma swój własny kawałek Góry Oliwnej, również pełen oliwek, a jego przedstawiciele twierdzą, że właśnie tam doszło do wydarzeń opisanych w Ewangelii. W grę wchodzą jednak jeszcze dwie lokalizacje. Pierwsza z nich to okolice cerkwi Marii Magdaleny, którą łatwo rozpoznać po złotych kopułach, a kolejna znajduje się w sąsiedztwie kościoła Grobu Najświętszej Marii Panny.

### Na Wawelu

Co wiemy na pewno o historii oliwki? Dowody zebrane w Afryce pozwoliły na postawienie tezy o tym, że owoców używano już 100 tysięcy lat temu. W Europie oliwka jako źródło kalorii pojawiała się dużo później, najstarsze znaleziska mają 20 tysięcy lat.

Nikt jednak nie wie, kto pierwszy zaczął sadzić drzewa, by uzyskać oliwę, ale wiadomo, że doszło do tego gdzieś na wschodnim wybrzeżu Morza Śródziemnego. Archeolodzy mówią, że stało się to mniej więcej 5000 lat p.n.e. i że na początku oliwa była używana głównie jako paliwo do lampek. Dziko rosnące drzewo zostało udomowione, zupełnie jak pies i kot.

Dla wszystkich, których duchową i zmysłową ojczyzną jest śródziemnomorze, kraina wyznaczana przez zasięg gajów oliwnych, mam dobrą wiadomość. Stara oliwka rośnie i na wzgórzu wawelskim. Jeszcze kilka lat temu były dwie, ale widok nawet tej jednej, szczególnie w polskim listopadzie, ma potężną moc.

© BARTEK KIEŻUN

STANISŁAW

# Mancewicz:
## *Bokser niezależny*

Oto wszystko jest jasne, jak było już od dawna. Wystarczająca synteza sytuacji politycznej brzmi: w wyborach prezydenckich zmierzą się kandydat PO i PiS-u. Każdy wie, że od jakiegoś czasu, by wystartować w wyborach i je wygrać, nie można mieć żadnego programu. Ba, program stał się poważnym problemem, by nie rzec – zasadniczą przeszkodą w kandydowaniu, w wygrywaniu i w rządzeniu. Popatrzmy. Gdy kandydat ma program przemyślany i – o zgrozo – spisany, mamy pasztet. Gdy program nie polega na rozdawaniu worów pieniędzy, a jest spójny, poważny, merytorycznie piękny, realny, na lata, skomponowany z kalendarzem, a na dodatek ogłoszony publicznie, mamy receptę już nie na przegraną, a na klęskę. Utarło się, że program przedstawiony w kampanii trzeba – w wypadku wygrania wyborów – zrealizować, a realizacja wystawia kandydata i partię na zupełną śmieszność. Realizowanie programów to same kłopoty – począwszy od komentarzy tzw. ekspertów po protesty, wiece, palenie kukieł i strajki. To oczywiste przecież, że programów z kampanii nikt nie realizuje, bo się nie da, pomijając drobiazg – czyli że nikomu się nie chce. Konkurencja jednak nie śpi i ową nierealizację wytyka, wyśmiewa, komentuje, słowem – nierealizacją się żywi.

Dlatego osobników z programami gremia wyłaniające kandydatów na funkcje obieralne w wyborach powszechnych zrzucają natychmiast ze skał tarpejskich, defenestrują, podają im czarną polewkę, tabletki przeczyszczające, bądź po prostu spychają ze schodów, a czasem profilaktycznie donoszą na nich do CBA. – „Żegnamy ozięble" – powiadają do takiego naiwniaka i pięknoducha, i szukają sobie kogoś bez programu, a to nie jest wcale proste. Ludzie odruchowo mają programy, życiowe, nieżyciowe, mądre lub głupie, realne albo wzięte z sufitu. Takich ludzi nam w polityce nie trzeba. I to jest od jakiegoś czasu wiadome.

Ponieważ wszystko się zmienia, a kampanie wyborcze mają coraz to nowe oblicza, doszliśmy do kolejnej modyfikacji. Oto dziś nie tylko program jest zbędny, ale zbędne jest także nazwisko kandydata. Możemy nie mieć ani programu, ani się nie nazywać, byleśmy byli wskazani przez partię lub jej lidera. Na ulotce bądź na afiszu wyborczym mógłby dziś widnieć niepodpisany nazwiskiem wizerunek kogoś, kto mógłby tak naprawdę stać tyłem. To by wystarczyło. Ktoś powie, że ważne są atrybuty kandydata – wzrost, wyraz twarzy, wykształcenie, znajomość języków obcych, hobby, żona bądź mąż wielkiej urody, dzieci, pies, kot, konto, auto... Nie. Wszystko to nie ma już żadnego znaczenia albo ma minimalne. Minęły czasy, w których kandydat na prezydenta kraju musiał być miłym, kulturalnym i wykształconym człowiekiem, dobrze znającym podstawowe zasady fizyki, operującym arytmetyką w zakresie liczb dwucyfrowych, mającym iloraz inteligencji na granicy liczb trzycyfrowych, umiejącym powiedzieć kilka zdań w obcym języku, z uregulowanym życiem rodzinnym, ubranym w coś innego niż krótkie spodenki. To przeszłość. Dlatego zaczęliśmy nasze rozważania zdaniem, które dowodzi naszej przenikliwości, powtórzmy je zatem: w wyborach zmierzą się kandydat PO i PiS-u.

Ktoś teraz powie, że jesteśmy jednak nie na czasie i że przegapiliśmy hipernowość. No więc tego nam zarzucić nie sposób i dlatego zdanie to szybko modyfikujemy: w wyborach zmierzy się kandydat PO z kandydatem zupełnie niezależnym i bezpartyjnym, popieranym przez PiS. Tę bezpartyjność i niezależność musiał wymyślić ktoś zorientowany w trendach i ludzkich możliwościach kojarzenia, które, zdaje się, spadają. Jest to pomysł nowy. Czy skuteczny – zobaczymy. ©

**Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.**

BARTOSZ MINKIEWICZ

**Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.**

TYGODNIK POWSZECHNY

# NOWOŚĆ

## OFERTA NA BLACK FRIDAY

### PO RAZ PIERWSZY PRZEDSTAWIAMY: „TYGODNIK" ONLINE NA 2 LATA

~~540 ZŁ~~ **399 ZŁ** za dwuletni dostęp do treści „Tygodnika"

**Twoje korzyści:**

- **nieograniczony dostęp** do treści „Tygodnika": reportaże, wywiady, analizy, podkasty, long reads
- kurs audio: nauka medytacji „**Szlaki duchowości powszechnej**"
- **słuchowisko „Chaszcze",** o ukrytym obliczu Krakowa, według pomysłu **Olgi Drendy**, z tekstem laureatki Nagrody Conrada **Elżbiety Łapczyńskiej**
- **„Tygodnik" tworzą laureaci i nominowani** m.in. licznych nagród Grand Press, Nagrody Literackiej Gdynia, Nagrody Nike, International Booker Prize, Reporterskiej Książki Roku, Historycznej Książki Roku, Podcastu Roku i innych

Skorzystaj na **www.tygodnikpowszechny.pl/2lata**

**Oferta obowiązuje wyłącznie w dniach 27 listopada – 3 grudnia**

Płatność odnawialna co dwa lata

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

# SUBARU **FORESTER**
## NOWY WYMIAR WYTRZYMAŁOŚCI

**Nowy Forester** definiuje wytrzymałość. Jego zdolność do jazdy w każdych warunkach pogodowych i po każdej drodze oraz zaawansowane funkcje bezpieczeństwa pozwalają Ci na nieprzerwany kontakt ze światem wokół Ciebie, Twoimi przyjaciółmi i rodziną. Nowy Forester został stworzony, by żyć w harmonii z naturą.

SAMOCHODY SUBARU SĄ OBJĘTE 8-LETNIĄ GWARANCJĄ **SUBARU SAFE8**

WIĘCEJ NA **SAFE8.SUBARU.PL**

8 LAT GWARANCJI SUBARU SAFE8

SUBARU

SUBARU ZALECA PRODUKTY

SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU

KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS

warta.

Santander Leasing

ENEOS MOTOR OIL

YOKOHAMA